

# MAX

# OZORNY

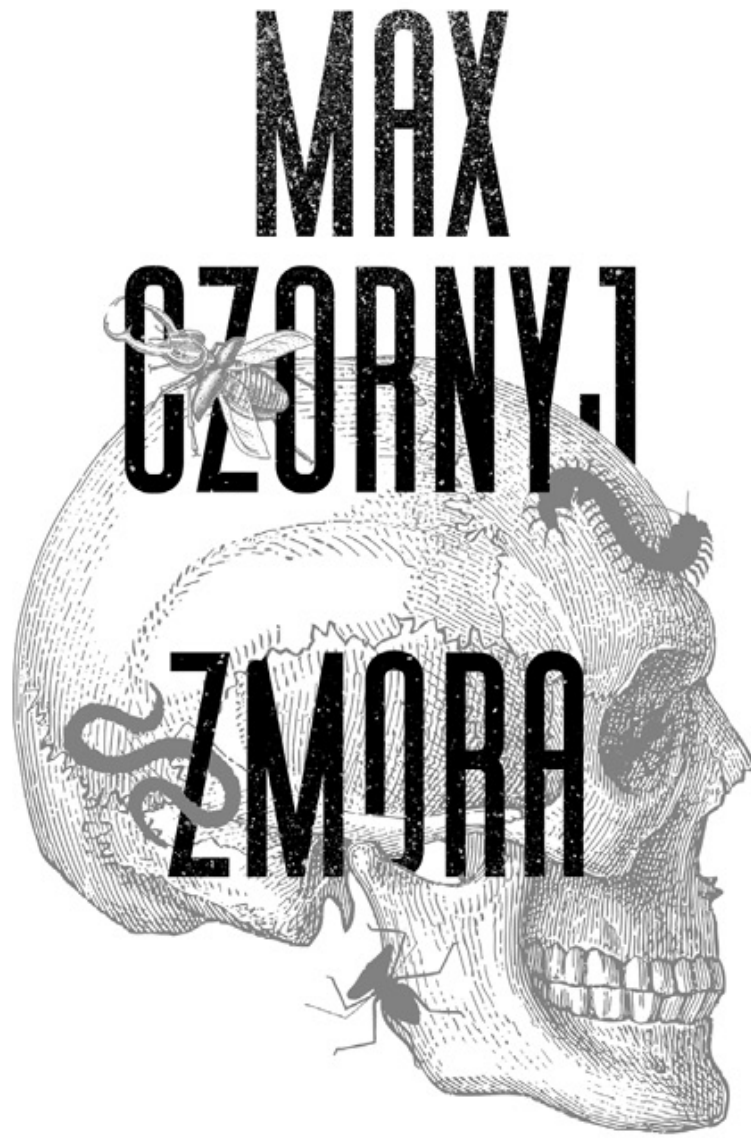


STRACH TO ŻYCIE. CI, KTÓRZY CHCĄ UMRZEC,  
NIE CZUJĄ STRACHU.

# ZMORA



FILIA



FILIA

*Chorym na fibromialgię, ku zwiększeniu społecznej  
i lekarskiej świadomości istnienia tej choroby.*

Nie dłużej po mnie płacz, niż pokąd dzwony  
Będą dla świata posępnym wyrazem,  
Żem z jego nędzy odszedł umęczony,  
Aby zamieszkać z najnędzniejszym płazem.  
Czytając pieśń tę, zapomnij o ręce,  
Co ją pisała: wolę w twojej pamięci  
Zgasnąć, niż myśleć, że utoniesz w męce  
Że się w łzach moich twoje wspomnienie święci.  
O tak, na rym ten patrząc, niech twoja dusza,  
Kiedy już będę porównany glinie,  
Mego imienia z grobu nie porusza,  
Niech miłość twoja wraz z mem życiem zginie.

Nie chcę, by świat ten, słysząc twoje skargi,  
Drwiną z powodu mnie stroił swe wargi.

W. Szekspir, *Sonet XXI* (tłum. Jan Kasproicz)

# DZIEŃ PIERWSZY

## 1



Życie to brak śmierci, a śmierć to brak życia. To twierdzenie, podstawa wielu systemów religijnych oraz filozoficznych, było parszywie naciągane. Nie popierał go żaden dowód. Nikt nie potrafił wskazać wyraźnej granicy między tym, co żywe, a tym, co martwe. Wszelkie próby wznoszenia takich granic zostały bezpardonowo storpedowane przez naukę. Wśród genów odpowiadających za rozbudowę tkanki istniały geny odpowiadające za jej zamieranie. Jedno wynikało z drugiego i kropka. Religie mogą sobie upaść lub muszą się dostosować. Doktryny przecież zmieniano wielokrotnie, dopasowując je do znacznie słabiej uzasadnionych tez.

Henryk wielokrotnie rozważał te zagadnienia i obecnie nie miał żadnych wątpliwości. Był całkowicie przekonany, że życie to umieranie. Wystarczyło to założenie rozebrać na czynniki pierwsze. Zobaczcie sami.

Już pierwszy oddech zaczerpnięty przez niemowlaka jest jednym z oddechów odebranych ze ściśle przepisanej mu puli. Każdy wdech i wydech przybliża człowieka do śmierci. Ten fakt dostrzegały przynajmniej niektóre dalekowschodnie systemy filozoficzne, czego konsekwencją stała się medytacja oparta na koncentracji nad oddechem. Pal diabli medytację. To nie jest zabawa dla każdego. Lepiej skupić się na uświadamianiu samego siebie. Na logice.

Powtórzmy raz jeszcze: fakt, że życie to umieranie, jest dowiedziony naukowo. Już w łonie matki płód ludzki wytwarza komórki, które następnie zaczynają się rozpadać. Część z nich nigdy nie zostanie

zregenerowana, lecz jest zarodkiem tego, co kiedyś będzie człowieczym truchłem.

Człowiecze truchło... W ten górnolotny sposób gnijącego trupa określił ksiądz na jednym z ostatnich kazań, których wysłuchał Henryk. Zapamiętał to sformułowanie, gdyż brzmiało naprawdę wdzięcznie.

Rodzimy się po części martwi, ale dopiero potem następuje prawdziwy festyn śmiertelności. Trawiące ciało choroby, siwiejące i wypadające włosy, degradujące się organy – przecież to wszystko stanowi jedynie stadium umierania. Poza krótką, kontrowersyjną fazą powstawania człowieka z plemnika i komórki jajowej organizm ludzki jest nakierowany na rozpad oraz nicość, a nie na tworzenie. No, może dałoby się to nawet rozebrać na części składowe i poddać statystyce.

– Po co miałbyś to robić? – zapytał Roland. – Masz zbyt mało dowodów? Naprawdę chcesz wnikać?

Henryk wzruszył ramionami. Mijali właśnie zabytkową kamienicę pokrytą wyblakłymi freskami, z której szczytu zwieszało się kilka upiornych pysków gargulców. Niektóre drapieźnie się uśmiechały, inne krzywiły, wypluwając końcówki rynien oraz rur odpływowych. Ten widok zawsze śmieszył Henryka.

– Znowu o tym gadamy – bąknął, opuściwszy głowę. O mały włos nie zderzyłby się z przygarbionym starcem idącym o lasce. W ostatniej chwili go wyminął. – Są tematy, które dosłownie nas prześladują. Wiesz o tym.

– Po prostu nie chciałbym, żeby pula oddechów, którą przepisał mi los, była zbyt duża. – Roland przyśpieszył kroku i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej trzy kolorowe piłeczki, po czym nie zwalniając, zaczął nimi żonglować. – Świat jest zdecydowanie zbyt ponury...

– Zbyt ponury, na co?

– Na to, by bez przerwy myśleć o śmierci.

Henryk westchnął. Miał bladą, surową twarz, której główny element stanowiły wielkie błękitne oczy.

– To ty kiedyś chciałeś się zabić – parsknął ironicznie. – Ledwo cię odratowałem.

– Uznałeś, że lepiej jest się pogrążyć w kilkumiesięcznym niebycie, dać faszerować dziesiątkami tabletek oraz traktować jak szaleńca?

– Przynajmniej teraz możemy ze sobą gadać.

Roland nagle złapał jedną piłęczkę po drugiej i krzywo się uśmiechnął. Spojrzał na przyjaciela z ukosa.

– Widzisz – odezwał się, gwałtownie poważniejąc – ja nie myślę o śmierci, a i tak ciągle chcę umrzeć. Ty o niej myślisz częściej niż ktokolwiek inny, ale chcesz żyć. Który z nas jest bardziej szalony?

Henryk nie odpowiedział. Przygarbił się i nerwowo sapnął. Nie lubił tych filozoficznych gadek. Czasem ciągnęli je całymi godzinami, lecz zawsze kończyły się tym samym. Kłótnią. Impasem dwóch całkowicie różnych stanowisk, których nie dało się ze sobą pogodzić. Choć być może chodziło im dokładnie o to samo. Tak jak o to samo chodziło wyznawcom Jahwe, Mahometa i Chrystusa. Dla każdego z nich ważne było tylko życie wieczne, a mimo to kierowali lufy karabinów w swoją stronę, przy okazji kierując je ku Wzgórzu Świątynnemu.

– Życie wieczne różni się od życia ziemskiego tym, że nie jest naznaczone umieraniem – odezwał się, kierując ku przejściu przez ruchliwą ulicę. Było zapalone czerwone światło dla pieszych, lecz on się nie zatrzymywał. – To jedyna różnica. Nic więcej.

– Henryk!

Roland usiłował chwycić go za ramię, lecz mężczyzna dziarsko wkroczył na jezdnię. Rozległo się przeraźliwe wycie klaksonów. Po chwili dołączył do niego pisk opon oraz cichy trzask. Jedno z aut wpadło w poślizg i zahaczyło o wysoki krawężnik. Na szczęście nie wypadło z drogi, lecz odbiło się ku osi jezdni, po czym otarło o bok autobusu. Kilkadziesiąt osób w środku na skutek gwałtownego hamowania upadło lub kurczowo chwyciło się foteli.

Henryk zdawał się tego nie zauważać. Nawet się nie skrzywił. W tym samym tempie przemaszerował na drugą stronę ulicy i dopiero wtedy przystanął. Spojrzał za siebie, lecz nigdzie nie dostrzegł Rolanda. A przecież to on wymyślił to idiotyczne wyzwanie. Życie to śmierć. Wielość w jedności, tak jak oni dwaj mieścili się w jednym ciele.



– A to ciekawe.

Honoriusz Mond wyprostował się i chuchnął, rozdmuchując pył z oczyszczonego boku renomowanego mebla. Pracował nad fornirowaną mahoniem szyfonierą, a właściwie semanierem, czyli wysoką komodą z siedmioma szufladami. W osiemnastym oraz dziewiętnastym wieku używano ich do segregowania ubrań na każdy dzień tygodnia. W późniejszym czasie pierwotna rola zanikła, lecz ostatnio semaniery na powrót cieszyły się zainteresowaniem klientów.

Mond pasjonował się renowacją i konserwacją zabytkowych przedmiotów. Jak niewielu ludzi miał to szczęście, że na swoim hobby jednocześnie nieco dorabiał. Co prawda nie było to w jego przypadku niezbędne, posiadał wystarczające środki, aby żyć dostatnio bez jakiegokolwiek pracy, ale nie lubił marnotrawić czasu. Dlatego też przed niespełna rokiem zatrudnił się w firmie sprzątającej Allegry Szmit. Oboje stali się znani z tego, że podejmują się najgorszych możliwych zleceń. Porządkowanie mieszkań, w których kilka miesięcy przeleżały zwłoki, deratyzacje najbrudniejszych piwnic lub dezynsekcje zapomnianych spiżarek stanowiły tylko czubek góry lodowej.

– A to ciekawe – powtórzył Mond.

Opuszkami palców otarł bok szuflady z pyłu i przekrzywił głowę. Był ubrany w elegancki czarny garnitur oraz jedwabny krawat, co stanowiło jego strój bez względu, czy właśnie pracował, czy przechadzał się po rynku. Złośliwi nazywali go przez to „przedsiębiorcą pogrzebowym”, choć znacznie częściej mówiono o nim jako o Mortaliście. Przed laty był bowiem twórcą oraz szefem katedry mortalistyki, która zajmowała się zgłębianiem niepodjęmowanej przez nikogo innego metody dochodzeniowo-śledczej. Mond forsował tezę, że punktem wyjścia do



ujęcia sprawców zabójstw lub rozwikłania wszelkich spraw, w których pojawiały się ofiary śmiertelne, były ślady pozostawione właśnie przez śmierć. Nekroflora oraz nekrofauna, elementy rozkładu zwłok, fizjologia umierającego organizmu i tak dalej, bez końca...

Być może to właśnie wrodzona skłonność do analizy wzbudziła teraz jego zainteresowanie. Jedna z szuflad szyfoniery musiała być przerabiana. Klasyczne łączenie desek w tak zwany jaskółczy ogon zostało tu zastąpione gwoździami. Wziąwszy pod uwagę ich stan oraz kolor drewna, naprawę wykonano kilkadziesiąt lat po powstaniu mebla. Sto trzydzieści, może sto czterdzieści lat temu. Prowadnica nie miała jednak prawa się uszkodzić, więc istota problemu musiała tkwić w denku szuflady. Zapewne umieszczono w niej coś zbyt ciężkiego, o czym mogły świadczyć także zadrapania na spodzie szuflady montowanej wyżej. Czarne plamy na tyle mebla przywodziły skojarzenie z rozlanym atramentem. Oczywiście, można byłoby to sprawdzić chemicznie, ale...

Mond przerwał te rozważania. Rozwodzenie się nad podobnymi szczegółami nie miało sensu. Trwonił zbyt wiele czasu na wszelkie zagadki, jakie pojawiały się w jego otoczeniu. Tym bardziej że w specyficzny nastrój wprowadziła go poranna audycja radiowa, której wysłuchał przy śniadaniu. Jakiś specjalista wypowiadał się w niej o nieprzydatności róż historycznych we współczesnych ogrodach. Wymieniał między innymi odmiany Félicité et Perpétue oraz Cardinal de Richelieu, jako te, które kwitnąc jednokrotnie, powinny być zastępowane przez nowsze, niemal bliźniacze róże angielskie. Obie wspomniane odmiany rosły na terenie rodzinnej posiadłości Mondów i stanowiły oczko w głowie ojca Honoriusza. Do tej pory młody Mond doskonale pamiętał, że owszem, róże te kwitły jednokrotnie, lecz bardzo długo utrzymywały kwiat, a przede wszystkim wydzielały nieprawdopodobny zapach. Nic nie mogło się równać z tym aromatem... Na jego wspomnienie powróciła cała seria obrazów z dzieciństwa, które, oczywiście, przywołały też te najgorsze wspomnienia.

Mond po raz kolejny odegnał ponure myśli. Aby zająć umysł czymś całkowicie innym, podszedł do wejścia do pracowni i sięgnął po odłożoną rano paczkę. Znalazł ją przed drzwiami, lecz wtedy nawet nie zwrócił na nią uwagi. Teraz dokładnie zważył ją w dłoniach, po czym obejrzał z wszystkich stron. Nie znalazł nigdzie listu przewozowego, jaki naklejano na większości przesyłek. Krótka, wydrukowana kartka mieściła jedynie jego imię oraz nazwisko. Poza tym tekturowe pudło zdawało się kryć jakiś dość ciężki, lecz zabezpieczony przedmiot. Przewiązано je grubą wstążką, a niewielkie wgniecenie świadczyło, że nadawca pomagał sobie kolanem. Zapewne był osobą samotną lub złożył paczkę, nie chcąc w to angażować nikogo bliskiego. Ślad długopisu obok karteczki wskazywał natomiast, że początkowo planował podpisać się ręcznie. Szybko jednak zarzucił ten pomysł.

– A to ciekawe... – Mond te słowa wypowiedział już po raz kolejny tego dnia.

Ostrożnie pociągnął za wstążeczkę i zmarszczył czoło. Jego ciekawość była teraz niepomiarne większa niż w chwili, gdy rozważał historię szyfoniery. Jednocześnie towarzyszył jej niespodziewany głęboki niepokój. Niepokój, który znalazł swój wyraz w chwili, gdy otworzył paczkę.

– Co to jest, u licha?

### 3



– Chciałaś być szczęśliwa? – wycedził szaleniec. – Naprawdę tego chciałaś?

Kobieta delikatnie pokręciła głową. Baczenie obserwowała reakcję prześladowcy i widząc jego narastający gniew, nagle zaczęła przytakiwać. Po jej policzkach płynęły łzy, pod nosem zebrał się śluz, a białka wytrzeszczonych oczu pokrywała się sieć popękanych naczynek.

– Proszę... – wycharczała.

– O co? O śmierć?

Szaleniec cicho się zaśmiał i uderzył pięścią w podłogę tuż obok głowy kobiety. Nachylał się nad nią, spoglądając jej prosto w oczy. W obu dłoniach zaciskał gruby kabel, który owinał wokół szyi ofiary. Od kilkunastu minut delectował się swoim zwycięstwem, raz po raz to go naprężając, to poluzniając.

Kobieta miała około trzydziestu lat oraz sięgające ramion blond włosy. Teraz były zmierzwione, sklejone krwią, która wyciekła z jej ucha oraz rany na policzku. Jej szara garsonka leżała na dywanie kilka metrów dalej, choć napastnik najwyraźniej nie zamierzał jej zgwałcić. Zdarł ją w trakcie szarpaniny, gdy brutalnie wdarł się do jej mieszkania. Najpierw zadzwonił do drzwi i przedstawił się jako pracownik gazowni. Gdy kobieta, niczego nie podejrzewając, otworzyła zamek, z impetem ją staranował i wpadł do środka. Jego pogodne, miłe oblicze zmieniło się diametralnie. Upodobnił się do dzikiej bestii, której jedynym celem jest rozszarpanie ofiary na strzępy.

– Jeśli będziesz krzyczeć, zabiję cię jeszcze wolniej, niż pragnę – wycedził, gdy usiłowała stawiać opór. – Obedrę ze skóry twoje ręce i zrobię z nich rękawiczki. Twoje stopy włożę do wrzątka tak, by mięso łydek się ugotowało. Wiesz, że ten fragment człowieka smakuje całkiem dobrze? Masz ładne łydki...

Szaleniec wymownie się oblizwał, a jej odebrało dech. Nagle przestała się bronić. Cicho skamlała, gdy owijał jej szyję kablem, lecz nie wołała o pomoc. Choć przecież sąsiedzi byli na wyciągnięcie ręki. Kilka metrów dalej, za betonową ścianą. Być może oglądali jakiś głupi program telewizyjny albo właśnie baraszkowali w łóżku.

Kobieta załkała. To było całkowicie nieracjonalne, lecz gdzieś w głębi duszy liczyła jeszcze, że ten potwór po prostu da jej spokój i opuści mieszkanie. Wierzyła w to, nie dopuszczając myśli, że może chcieć ją zabić. Wiara we własną nieśmiertelność to jeden z największych grzechów ludzkości.

Napastnik przydusił ją kolanem, odbierając jej dech. Kobieta rozwarła wargi, usiłując złapać powietrze ustami. Cicho zakaszła, lecz następnie, pod wpływem ucisku w brzuch, z jej gardła dobył się dźwięk przypominający syk powietrza uchodzącego z balona.

– Pro...

– Chcesz o coś prosić?

Szaleniec nachylił się tuż nad nią i obrócił głowę. Przytknął ucho niemal do jej ust.

– Nie słyszę.... Mogłabyś powtórzyć? Halo?

W tej samej chwili z całej siły naprężył kabel. Guma wzięła się w skórę kobiety, dosłownie zgniatając jej tchawicę. Pętla wokół jej szyi miała ledwie kilkanaście centymetrów obwodu.

Syk zamienił się w ciche bulgotanie, które powoli cichło. Wtedy, jak na dany znak, potwór się wyprostował. Zapierając się stopą o pierś kobiety, napinał kabel. Jego dzieło było skończone.

– Pa, pa – wycedził, szeroko się uśmiechając. Musiał oblizać wargi, na których zebrała się ślina. – Pa, pa, kochanie.

#### 4



Mond ostrożnie rozrywał kolejne kartony oraz odrzucał ciasno zwinięte gazety zabezpieczające główną przesyłkę. W pewnej chwili pomyślał, że może to zwykły żart, a w środku paczki nie ma niczego konkretnego, lecz wtedy ujrzał jakiś przedmiot zawinięty w grubą folię.

Zaintrygowany przełożył paczkę na blat artdecowskiego biurka, po czym sięgnął po jedwabne rękawiczki. Służyły mu przy najbardziej skomplikowanych pracach, wymagających bezwzględnej czystości. Wiele dawnych materiałów było wrażliwych na ludzki pot, przez co należało ograniczyć ich kontakt ze skórą. Tym razem Honoriuszem kierowała jednak całkowicie inna motywacja.

Westchnął i delikatnie sięgnął po zawiniątko. Zrobił sobie tyle miejsca na stole, że bez problemu przeniósł główną zawartość paczki na blat. Kolejne ruchy wykonywał szybko i sprawnie. Działał niemal jak chirurg mający przed sobą wykrwawiającego się pacjenta.

Z ozdobnej mosiężnej szkatułki wyciągnął zagięte nożyczki, a następnie rozciął nimi brzeg matowej folii. Wsunął palce w szczelinę i delikatnie ją powiększył. Powoli wciągnął powietrze, starając się wyczuć jakąkolwiek zmianę zapachu. Nic takiego się nie stało, więc odważnie sięgnął do środka.

– No, proszę – szepnął do siebie. – François Tourte się kłania.

François Tourte był jednym z najbardziej reformatorskich wytwórców smyczków do rozmaitych instrumentów i w rzeczy samej, Mond trzymał właśnie około siedemdziesięciopięciocentymetrowy smyczek. Wykonany był z drewna fernambukowego, które zdradzało nie tylko usłojenie, ale również wyjątkowy czerwony kolor.

Honoriusz nie potrzebował wagi, aby ocenić, że przedmiot ważył pięćdziesiąt pięć lub pięćdziesiąt sześć gramów, czyli tyle, ile według Tourte powinien ważyć smyczek idealny. Punkt ciężkości przypadał dokładnie na dziewiętnasty centymetr od żabki. Charakterystyczna krzywizna pozwalała używać dość mocnego nacisku na struny i stanowiła element charakterystyczny reformy wprowadzonej przez tego genialnego człowieka, zwanego Stradivariusem smyczków.

Przedmiot jednak nie był tak cenny jak mistrzowskie skrzypce sprzed dwóch wieków, poza tym niemożliwym było stwierdzenie jego autentyczności, gdyż Tourte nigdy nie sygnował swoich wyrobów. Mimo to Mond poczuł dreszcz zaintrygowania. Nikt nie prosił go w liście o renowację, a poza tym drzewce smyczka wydawało się całkowicie w porządku. Dziwne natomiast było włosie, ale jego ewentualną wymianę powinien zająć się specjalista. Mimo to Honoriusz nie mógł się powstrzymać przed kolejnymi poczynaniami. Miał wyborną skłonność stawiania samemu sobie mnóstwa pytań i pobudzania potrzeby znalezienia na nie odpowiedzi.

Wystarczyło zapytać: „Po co wysłano ten smyczek pod jego adres?” lub raczej „Po co ktoś położył tę paczkę przed drzwiami jego pracowni?”, a kolejne wątpliwości pojawiały się w tempie wystrzału karabinu maszynowego. Wcale nie ostatnią z nich była właśnie ta – dotycząca włosów.

Mond ostrożnie zwolnił śrubę naciągową i obejrzał pod lupą misternie wykonaną zabkę. Nie znalazł na niej żadnych ciekawych śladów, więc automatycznie przeszedł do dalszych oględzin. Odkręcił niewielką śrubkę i zaskoczony się wyprostował. Mimowolnie zagryzł usta. W rzeczywistości zamiast włosów do smyczka przymocowano pas bardzo cienko zwiniętego pergaminu lub innej skóry. Nie musiał jej nawet rozwijać, by dostrzec maleńkie czerwone zacieki. Plamki, które nasunęły mu kolejne skojarzenia. Nie były one ani miłe, ani wdzięczne jak muzyka, którą dawniej zapewne wydobywano tym smyczkiem.

Wręcz przeciwnie. Honoriusz poczuł nieprzyjemny dreszcz, który spłynął mu po karku. Wyprostował się i zadumany zmarszczył czoło. Swoim zwyczajem wbił wzrok w pustkę. Po chwili ponownie pochylił się nad niezwyklejnym znaleziskiem.

– Niech to diabli – wycedził. – Niech to wszyscy diabli.

To prawda, nie był przesądny.

## 5



Mond używał do pracy niezwykle precyzyjnych narzędzi. Za pomocą skalpela oraz krótkiego japońskiego nożyka rozwijał pergamin. Teraz nie miał wątpliwości, że to fragment specjalnie spreparowanej skóry. Podobnych używano do produkcji średniowiecznych manuskryptów. Swoją drogą Honoriusz niegdyś bardzo się tym interesował. Wiedział, że w krajach śródziemnomorskich korzystano ze skór jagniąt lub kozłat, po czym prasowano je tak cienko, że możliwe

było pisanie tylko z jednej strony. Tę szkołę nazywano południową. W przeciwieństwie do niej, między innymi w Polsce, ale także w Niemczech czy na Węgrzech, stosowano grubszą skórę cielęcą, która była nie tylko bardziej wytrzymała, lecz także nadawała się do zapisu obustronnego. A to generowało oszczędności.

Najdelikatniejsze kawałki stosowano do szczególnie cennych ksiąg. Za unikatowe uchodziły te inkunabuły, do stworzenia których użyto skóry z płodów kozlich, wyrwanych z brzuchów matek. Mond miał dwukrotnie okazję dotykać zachowanych okazów tych dzieł i musiał przyznać, że wrażenie było niesamowite. Zresztą do czasów współczesnych istniały firmy, które z podobnego materiału robiły luksusowe futra oraz elementy strojów. Mimo niepoprawności politycznej znajdowały swoich odbiorców i cieszyły się uznaniem specjalistów.

Tymczasem pergamin rozwijany przez Honoriusza okazał się nie aż tak delikatny, ale dość cienki. Gdy udało mu się go niemal całkowicie rozłożyć na blacie, Mortalista zacisnął usta. W tym samym momencie gdzieś obok rozległ się stukot.

Mond ostrożnie odłożył skalpel i zerknął w stronę prostokątnego okna umieszczonego niemal pod sufitem. Jego pracownia znajdowała się w suterenie, więc niemal nigdy przez nie nie wyglądał. Teraz za szybą oraz grubą kratą dostrzegł puciołowatą twarz Watażki – trzynastoletniego przywódcy miejscowej bandy łobuzów. Przez ostatnie miesiące Honoriusz bardzo zżył się z chłopcem, dlatego natychmiast ruszył w jego stronę. Wszedł na zewnątrz i uważnie spojrzał na malca. Za jego plecami stało jasnowłose rodzeństwo oraz najmłodszy, blady malec zwany Kurduplem.

– Kurdupel uratował pana przed powodzią stulecia – oznajmił Watażka. Miał zaskakująco niski, jak na swój wiek, chropawy głos. – W piwnicy obok puścił zawór... Nic panu nie zalało?

Mond uważnie przyjrzał się najpierw Watażce, a potem Kurduplowi. Najmłodszy chłopiec najpierw się uśmiechnął, lecz po chwili spuścił wzrok.

– Czyżby? – Honoriusz podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu. Kucnął tak, by móc spojrzeć w bladą twarz chłopca. – I chcieliście mi powiedzieć o tym właśnie teraz? Swoją drogą czyżbyś pojawił się w piwnicy dokładnie w momencie, gdy pękła rura?

– To zawór... – bąknął malec.

– Tak. Właśnie. Zawór. I w jaki sposób go zakrećiesz?

Chłopiec pokazał na migi ruch, jakim obraca się koła. Nadal nie patrzył na Monda. Mężczyzna się wyprostował i sięgnął do kieszeni.

– Dostaniesz za to nagrodę. Trzymaj.

Honoriusz wyciągnął dłoń, jakby zamierzał dać Kurdupłowi jakieś drobne, lecz kiedy ten obrócił rękę, gwałtownie ją chwycił.

– Nie masz na nich śladów mocowania się z zaworem – odchrząknął, jednocześnie kręcąc głową. – A twoje buty są całkowicie suche. Poradziłeś sobie z tym hydraulicznym wyzwaniem lepiej niż Jezus Chrystus chodzący po tafli jeziora. – Mond nachylił się i szepnął malcowi prosto do ucha: – Wiem, że od kilku dni chcesz na siebie zwrócić ich uwagę. Uważasz, że cię lekceważą, ale tak nie jest. To minie, nie przejmuj się i nie zgrywaj bohatera. Bądź sobą.

Wyprostował się i bacznie powiódł wzrokiem po kolejnych twarzach.

– Dziękuję – oznajmił beznamiętnie. – Wasz przyjaciel spisał się wyjątkowo dobrze, ale chyba chcieliście mi powiedzieć o czymś innym, prawda?

– Tak – przyznał Watażka niechętnie. – Wie pan, że jesteśmy jak monitoring osiedlowy, dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu. Pańska pracownia jest pod ochroną...

– Wiem, wiem. Ale ktoś zostawił pod nią paczkę. To o nią chodzi.

Watażka spojrział po przyjaciółach, po czym westchnął.

– Wczoraj wieczorem był tu człowiek, który dał tę paczkę Blondynowi. – Kiwnął głową ku jasnowłosemu chłopcu. – To jakiś pański znajomy, prawda? Lubi robić dowcipy...

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo nie odezwał się ani słowem, a na twarzy miał maskę jak z jakiegoś horroru. No bo przecież niczyja twarz nie może być tak



przerażająca...

Mimo że Watażka uchodził za nieustraszonego, łypnął na Monda w nadziei, że ten mu przytaknie. Tak się jednak nie stało. Czym prędzej wrócił do pracowni, by odczytać wiadomość, której zarys dostrzegł na pergaminie.

## 6



– Ile?

Lekarz westchnął i cicho wypuścił powietrze. Odbył wiele takich rozmów, ale za każdym razem czuł mocny dyskomfort. Jakby coś osiadało mu w najgłębszych zakątkach trzewi i przyprawiało go o mdłości. Nie nadawał się do tego. Tym bardziej nie wtedy, gdy patrzyła na niego urocza blondynka z lekko zadartym noskiem oraz dużymi błękitnymi oczami. Co gorsza, z wydatnym brzuchem wskazującym na siódmy lub ósmy miesiąc ciąży.

– Jak długo? – powtórzyła z naciskiem, a w jej oczach zebrały się łzy. Była gotowa rzucić mu się do gardła, byle tylko uzyskać odpowiedź.

– Trudno jednoznacznie ocenić, to nie jest całkowicie przegrana sprawa, ale...

– Panie doktorze. Proszę.

Lekarz delikatnie kiwnął głową. Czubkiem języka oblizał usta i zerknął gdzieś w głąb korytarza. Przeszły nim właśnie dwie pielęgniarki w towarzystwie księdza. Skręciły do jednej z pierwszych sal. Naprzeciw niej leżał mąż blondynki. Rak trzustki, terminalne stadium, trzydzieści jeden lat. Choroba rozwinęła się w piorunującym tempie, pustosząc młody organizm w ciągu kilku miesięcy.

– Kilka tygodni, może kwartał. – Lekarz spojrzał na kobietę, po czym bezradnie wzruszył ramionami. – Powinniście mieć tego świadomość

i czerpać z tych dni. Niektóre zapewne nie będą tak złe jak ten dzisiejszy. Ale nie mogę niczego obiecać...

Kobieta kiwnęła głową i ponuro się uśmiechnęła. Każdy reagował inaczej na podobne informacje. Płacz wcale nie był najczęstszą reakcją na druzgocące wieści. Przynajmniej nie w pierwszej chwili. Lekarz wyciągnął ku kobiecie dłoń, lecz ta uchyliła się i zawróciła w głąb korytarza. Przemierzała go szybko, nawet nadzwyczaj szybko, wzięwszy pod uwagę jej brzemiennność, aż wreszcie pchnęła drzwi oddziału i wyszła na główny korytarz.

Lekarz przez chwilę stał, spodziewając się, że ciężarna lada moment wróci. Kiedy tak się jednak nie stało, zwiesił głowę i powłókł się do dyżurki. Kilka minut później ciężko zwałił się na głęboki, wysiedziany fotel. Sięgnął do kieszeni po telefon i obrócił go w dłoni. Przed kwadransem Barbara napisała, że wraz z dwójką ich dzieci są już na lotnisku. Czekali na bagaż i mieli kierować się do samochodu zostawionego na parkingu. Za półtorej godziny powinni zobaczyć się po dziewięciu dniach rozłąki. Lekarz był wściekły, że przez nagłe zmiany kadrowe nie udało mu się wziąć tak skrętnie planowanego urlopu, ale samotność wreszcie dobiegała końca. Przynajmniej tyle.

Wyłączył pole wiadomości tekstowej i uruchomił Snake'a. Uwielbiał tę grę. Teraz, gdy miał kilka minut przerwy, mógł się zrelaksować, a jednocześnie uprzyjemnić sobie oczekiwanie. Dokładnie za pół godziny opuści szpital i pojedzie do domu. Obiad powitalny już był przygotowany. Córeczki uwielbiały jego lasagne, którą wystarczyło włożyć na trzy kwadranse do piekarnika. Przywieziony z Włoch przepis był niezawodny, a drobne modyfikacje dotyczące beszamelu czyniły to danie wręcz popisowym. Już się nie mógł doczekać.

Zdobywając kolejne punkty w grze, wyobrażał sobie przebieg następnych godzin. Po obiedzie położą się na wspólną drzemkę. Wreszcie będzie mógł przytulić żonę i poczuje jej zapach. Zapomni o pracy, o tych wszystkich paskudnych rozmowach i o wszechobecnej śmierci. Tak, wszystko będzie dobrze. Już wkrótce.

Mężczyzna skrzywił się, gdy długi wąż uderzył w ścianę. Nie udało mu się pobić rekordu, ale uznał to za nieważne. Wyłączył telefon i odłożył go na biurko obok siebie. Jego myśli ponownie powędrowały ku ciężarnej blondynce oraz jej umierającemu mężowi. Zastanowił się, co też robi teraz ta biedna kobieta. Wiedział, że w takich chwilach do głowy przychodzą okropne pomysły.

## 7



Mond nie odwrócił się, by dostrzec reakcję bandy Watażki. Usłyszał za sobą ich rozczarowane, zaskoczone głosy, ale w końcu wiedział tak samo mało jak oni. Wieczór, maska, mężczyzna przekazujący paczkę – to wszystko było pełne niedomówień i odpowiadało bujnej wyobraźni dzieciaków w tym wieku. A jednak wiedział, że to, co się wydarzyło, nie stanowiło efektu fantazji. Paczka była prawdziwa, prawdziwe były też smyczek oraz pergamin.

W pierwszej chwili, gdy Honoriusz dostrzegł ciemniejsze kreski oraz kropki, sądził, że to jedynie zabrudzenia. Potem przyszło mu do głowy, że być może to coś więcej. Jednak teraz, gdy z lupą w dłoni pochylił się nad rozwiniętym pergaminem, nie miał już żadnych wątpliwości. Kreski oraz kropki układały się w konkretne kształty, które znowuż stanowiły zarysy liter. Użyty atrament pochodził najprawdopodobniej z cienkopisu i dlatego po zrolowaniu pergaminu częściowo się wytarł.

Wiadomość napisana na takim materiale, do tego wsuniętym w zabytkowy smyczek, mogła wzbudzać ciekawość. Tym bardziej przez głowę Honoriusza pędziły kolejne pytania oraz teorie. Starał się je kategorycznie odsuwać, skupiając na odczytaniu tekstu. Było to niemal niewykonalne i pojedyncze litery układały się w niezrozumiałe ciągi. Brakowało większości tekstu, który być może nigdy nie powstał.

Ktoś mógł mu zrobić dowcip, używając najbardziej skomplikowanego szyfru świata – szyfru zapisującego nieistniejącą wiadomość. Ten żart ze świata kryptografii wcale nie był tak naciągany, jak by się mogło wydawać. Wielokrotnie w trakcie konfliktów zbrojnych oraz rozmaitych działań dyplomatycznych podsuwano wrogom depesze niemające żadnego sensu. Wówczas odpowiednie służby traciły mnóstwo czasu, aby zrozumieć, że walczą z wiatrakami. W tym przypadku jednak Mond miał inne wrażenie. Wydawało mu się, że niektóre ciągi znaków zyskują jakieś znaczenie, choć nie zamierzał stracić całego dnia na podstawienie brakujących liter.

Odłożył narzędzia i przeszedł wzdłuż pomieszczenia. Z jednej z szuflad metalowego, technicznego biurka wyciągnął kalkę oraz dwa słoiczki z gęstymi roztworami. Za pomocą cienkiego pędzelka pokrył ich zawartością paperek, który suchą stroną przytknął do pergaminu. Następnie położył na niego kalkę. Ostateczny etap deszyfracji stanowiło przyciśnięcie kalki ciężkim, płaskim kamieniem, który służył mu do obróbki metalu.

– No, zobaczmy... – szepnął zafascynowany.

Powoli uniósł kamień i ostrożnie odłożył go na bok. Wyjął kalkę, po czym sięgnął po papier. Od razu dostrzegł, że roztwór wsiąknął w mikrozagłębienia, a na kartce ukazał się niemal zupełnie wyraźny tekst. Wiadomość była krótka i zapisana drobnym drukiem. Mond ponownie wziął lupę, aby nie tylko ją odczytać, lecz również przeanalizować kształt oraz krój liter, a także sposób zapisu tekstu. To mogło naprowadzić go na trop nadawcy.

Nachylił się i zmrużył lewe oko. W tym samym momencie brzęknął dzwonek zawieszony przy drzwiach do pracowni. Ktoś rezolutnie wszedł do środka i ruszył w jego stronę. Honoriusz, nie odrywając się, przeczytał pierwsze zdanie wiadomości. Choć jego twarz rzadko zdradzała emocje, teraz przemknął przez nią grymas konsternacji.



– Allegro!

Mond nawet się nie odwrócił. Pochylał się nad pergaminem i wierzchem dłoni pocierał podbródek.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

Szmit stanęła tuż za nim. Miała na nosie okrągłe zielone okulary, w ustach trzymała ziołowy lizak, a jej sylwetkę dosłownie owijały zwiewne, kolorowe chusty, przypominające szaty beduinki-hipski. Na głowie miała turban, niczym te znane z lat dwudziestych poprzedniego stulecia, którym zastąpiła swój ulubiony czerwony beret. Najwyraźniej było na niego zbyt gorąco, a moda letnia musiała odbiegać od tej spoza szczytu sezonu. Cmoknęła obok ucha Honoriusza, roztaczając jednocześnie zapach słodkich, cytrusowych perfum.

– Po pierwsze, nigdy nie zamykasz za sobą drzwi, tylko czekasz, żeby się same zamknęły – odezwał się Mond. – Po drugie, słabo wychodzi ci skradanie się, gdy masz buty z obcasami. Wreszcie po trzecie, Shalimara Guerlaina wyczuję z kilometra, a ty nie należysz do osób oszczędzających na perfumach.

– Całkiem trafnie powiedziane. I prosto.

– Zawsze wypowiadam się prosto i trafnie.

– A do tego skromnie.

Mond nie zareagował na ten przytyk. Wciąż jak zaczarowany wpatrywał się w pergamin. Szmit stanęła tuż przy nim i wciągnęła dłoń, chcąc go chwycić.

– Nie! – Honoriusz zwierzęcym ruchem złapał ją za nadgarstek. Zrobił to tak samo błyskawicznie jak kilka minut wcześniej, gdy przytrzymał rękę Kurdupła. – Lepiej tego nie dotykaj.

– Dlaczego? – zdziwiła się Allegra. – Gapisz się na ten kawałek kartonu jak w święty obrazek. Oddajesz się nowej religii czy to jakaś ateistyczna relikwia?

– Jest tylko jedna ateistyczna relikwia. Są nią zwłoki Lenina.

Szmit się skrzywiła. Spojrzała na przyjaciela z ukosa i wsunęła palec pod wiązanie turbanu, jakby ten ją uwierał.

– No dobrze. W takim razie skoro to nie są zwłoki Lenina, a z pewnością z tym komunistycznym świrem nie ma to nic wspólnego, nie jest to tym samym relikwia. Ani ateistyczna, ani tym bardziej teistyczna – mruknęła niepewna, czy jej wywód jest wystarczająco zrozumiały. – Wobec tego, czy możesz mi odpowiedzieć, dlaczego gapisz się w ten kawałek tektury jak w święty obrazek?

Mond z ociąganiem się wyprostował i zrobił ruch, mający Allegrze dać do zrozumienia, że może się przysunąć.

– To nie tektura, tylko pergamin – mruknął. – Weź lupę i przeczytaj, co tu napisano.

– Ale...

– Przeczytaj. Skoro jesteś tak ciekawa, to zrób to i zrozumiesz, dlaczego tak się w to wpatruję.

Szmit sięgnęła po leżące na biurku szkło powiększające w srebrnej oprawce i nachyliła się nad pergaminem. Kilkukrotnie zmieniała pozycję oraz mrużyła raz jedno, raz drugie oko, by lepiej dostrzec tekst. Po niespełna minucie jej wygibasów Mond podał jej wreszcie sporządzone przed chwilą odbicie spod kalki.

– Tu widać lepiej – stwierdził bez cienia uśmiechu. – Śmiało.

Allegra spojrzała na niego spode łba. Milcząc, wzięła papier ze skalkowanym tekstem, po czym pośpiesznie przeczytała całą wiadomość. Kiedy skończyła, kompletnie skołowana, ponownie łypnęła na Monda. Rozgryzła lizak, który głośno chrupnął. Pochyliła głowę i zagryzła wargę.

– Co to jest, do cholery? Co tu się odszmitowuje?

Honoriusz niedbale wzruszył ramionami.

– Dostałem list od Śmierci – stwierdził z błyskiem w oku. – Intrygujące, prawda?



– „Dziś, dokładnie w południe, zadzwonię do kwiaciarni Floribunda”. – Mond powoli odczytał wiadomość. – „Lepiej, żebyś to ty odebrał ten telefon, bo w końcu gdy dzwoni śmierć i pyta o ciebie, dobrze wiedzieć, czego chce”.

– Rzeczywiście adresat zdaje się być wskazany w samej treści... – bąknęła Szmit. – Dlatego mogło się obyć bez jakichkolwiek adnotacji na opakowaniu, chyba że...

– Nie było ich – rzucił Honoriusz, nim zdążyła dokończyć. – O ile nie napisał ich jeszcze drobniejszym pismem.

Sięgnął po rozdarty karton i dokładnie go obejrzał. Nie użył do tego lupy, lecz nie miał wątpliwości, że niczego wcześniej nie pominął. Westchnął i przesunął opakowanie w głąb biurka.

– Chciałbym, żeby to był żart, ale mam złe przeczucie.

– Przecież ty nie ufasz przeczuciu.

Szmit miała rację. Mond nigdy nie ufał przeczuciu ani niczemu, co mogłoby opierać się na przesłankach innych niż czysta, żelazna logika. Tymczasem emocje oraz uczucia stanowiły sferę całkowicie dla niego nieodgadnioną. Czarne dziury, które zasysały niektórych naiwnych ludzi, lecz niemające zbyt dużego wpływu na jego życie.

Zabębnił palcami w metalowy blat, po czym odwrócił się na pięcie. Zerknął na cyferblat restaurowanego właśnie zegara wiedeńskiego. Minał już kwadrans po jedenastej, więc do czasu wyznaczonego przez nadawcę wiadomości pozostało niespełna czterdzieści pięć minut.

– Ktoś włożył w to sporo wysiłku – wymamrotał, przymykając oczy. – Skóra może być pochodzenia zwierzęcego, ale...

– Ale? – natychmiast dopytała Szmit.

– Ale traktuję to wszystko jako żart – uciał Mond. – Choć krój pisma przemawia za determinacją oraz pewną agresją, a treść wiadomości wskazuje na rozchwianie psychiczne. Do tego maska...

Honoriusz uzmysłowił sobie, że tej części historii Allegra nie znała. W kilku zdaniach streścił jej rozmowę z bandą Watażki, po czym odruchowo poprawił węzeł czarnego jedwabnego krawatu.

– Nieważne. – Machnął ręką. – Uznam to za żart.

– Uznasz? Przecież dopiero wymieniłeś argumenty, że to wcale nie jest żart.

– Co z tego?

Mond spojrzał na Szmit z góry, a kobieta nerwowo pokręciła głową. Zerkając to na niego, to na leżący na biurku pergamin. Ponownie wsunęła palec pod turban, jakby chciała poluzować jego wiązanie. Skończyła gryźć lizak i odłożyła patyczek na blat. Honoriusz momentalnie chwycił go, po czym wyrzucił do kosza.

– Mam dość wikłania się w sprawy innych – szepnął. – Co mnie obchodzi ten, kto napisał tę wiadomość? Odkąd do mediów trafiły moje dane, dostałem kilkadziesiąt anonimów. Przez całe życie śmierć kroczyła tuż obok mnie, a ja miałem poczucie, że muszę się z nią bratać. Nie. Nie muszę. Mam ją gdzieś.

Mond wbił w Szmit poważne, ponure spojrzenie. Kobieta przez chwilę stała nieruchomo, zagryzając wargi, jakby całkowicie się z nim zgadzała. Nagle drgnęła i chwyciła go pod ramię. Energicznie ciągnąc Honoriusza za sobą, ruszyła w stronę drzwi.

– Matko Boska Opieszala! – krzyknęła z niedowierzaniem. – Aleś ty pompatyczny. Rusz się, bo jeśli nie, to ja odbiorę ten telefon.

## 10



Wielki silnik jaguara przyjemnie wchodził na wysokie obroty. Był to jeden z ostatnich samochodów o wielkiej pojemności, do tego w przeciwieństwie do amerykańskich trucków – elegancki w środku i o nader gustownej linii karoserii. Mond nie traktował go jednak



z przesadnym namaszczeniem, lecz jako niezbędny środek transportu, w upały takie jak tego dnia wygodniejszy od lubianej przez niego hulajnogi elektrycznej.

Można by się zastanawiać, dlaczego ktoś mający takie auto pracuje w firmie sprzątającej, ale Honoriusz był osobowością tak wielowymiarową i tak złożoną, że spędziwszy z nim ledwie kilka minut, od razu rozumiało się, że podobne pytania w jego kontekście nie mają sensu. Skądś miał pieniądze i to miał ich całkiem sporo. Jeździł autem wartym tyle, co niezły apartament, mieszkał w doskonałym hotelu niedaleko rynku, a przecież zajmował się renowacją starych przedmiotów. Zapewne, gdyby Szmit nie wypłacała mu pensji za zlecenia, również by dla niej pracował. W końcu nie chodziło tylko o pracę, ale o coś jeszcze, czego sens rozumiał jedynie sam Mond. Allegra jednak nie miała serca ciągać go do mniej istotnych zleceń i tak też tego poranka sama przeprowadziła niewielką deratyzację. Dopiero po jej skończeniu odwiozła sprzęt oraz ubrania ochronne do biura, a sama przeszła się do pracowni Honoriusza.

– A jeśli po prostu zadzwoni inny klient? – Mond spojrzał na nią, gdy za siedem dwunasta zatrzymał wielki SUV na parkingu przed kwaciarnią. – Wyglupię się.

– Zawsze twierdziłeś, że masz poczucie humoru.

– I dodawałem, że równie wyborne jak klient patomorfologa.

Allegra przewróciła oczami. Sama już nie wiedziała, czy powinna całą sprawę traktować poważnie. Zapewne jako pierwsza obróciłaby ją w żart, gdyby nie to, że pod płaszczykiem zniechęcenia na twarzy Monda dostrzegła autentyczne zaniepokojenie. Choć Honoriusz niemal nie okazywał emocji, po wielu miesiącach bliskiej znajomości potrafiła go nieco rozgryźć. Wystarczyło obserwować jego nieco nerwowe, szybsze niż zwykle ruchy, podejrzliwe spojrzenia oraz dłoń co jakiś czas wędrującą ku kieszeni marynarki, w której trzymał opakowanie ulubionych cygaretek. Wszystko to potwierdzało, że jest istotnie wybity z równowagi.

Kiedy przepuścił ją w drzwiach kwiaciarni, odwróciła się, upewniając, że wejdzie za nią do środka. Nie był jednak żartownisiem, który odwróciłby się na pięcie i pognął do auta. Skinął głową do siwowłosej, tyczkowatej właścicielki lokalu – zajętej właśnie formowaniem z lilii obfitego bukietu ślubnego. Jednocześnie dostrzegł, że na szafce obok niej stoi bezprzewodowy aparat telefoniczny.

– Nie znoszę kształtu większości współczesnych róż bukietowych – stwierdził, wskazując na kilka czarnych flakonów pełnych kwiatów. – Wyciągnięto je i zrobiono z nich coś na modłę dziubków czajników. Gwizdki albo pyski zdeformowanych ryb. Pozbawiono je całej szlachetności dawnych odmian. No spójrz, jak to wygląda?

– Ja w ogóle nie przepadam za różami. – Allegra zdała sobie sprawę, że Honoriusz co chwilę zerka w stronę telefonu i że musi podjąć jego grę. – Musimy wybrać kwiaty na ślub – rzuciła ku właścicielce kwiaciarni. – Będziemy planować duże zamówienie...

– Ach, tak? – Kobieta natychmiast przerwała robotę i ruszyła w ich stronę. – W takim razie mogę w czymś pomóc. Proszę powiedzieć o swoich preferencjach oraz wymaganiach, a z pewnością coś dobierzemy. Nie martwcie się państwo. O konsensus przyszłych małżonków znacznie łatwiej niż w jakimkolwiek innym przypadku.

– Poza wieńcem pogrzebowym – wtrącił Mond. – Gust obdarowanego nie ma tutaj żadnego znaczenia.

Szmit momentalnie zmieniła temat.

– Ma pani piękny wybór. Tyle kwiatów...

– Kiedy państwo planujecie ślub?

Honoriusz krzywo zerknął na Allegrę, ale nie zaprotestował przeciw obranej przez nią strategii. Wręcz przeciwnie, udając, że jest pochłonięty rozglądaniem się po morzu kwiatów, podszedł do biurka. Była za minutę dwunasta, a telefon nadal milczał. Tymczasem za sobą słyszał wywód Szmit.

– Są kwiaty, które mają szczególne znaczenie dla wschodnich cywilizacji. Kwiat lotosu oznacza duchowość i niewinność...

Chryzantema symbolizuje potęgę cesarstwa Japonii. Orchidea pobudza libido oraz płodność.

– Z kwiatów pozyskuje się również trucizny – ponownie wtrącił cierpko.

Właśnie minęło południe i był przekonany, że telefon już nie zadzwoni. Ku jego zaskoczeniu w momencie, gdy wypowiedział ostatnie słowo, dostrzegł, że aparat jest wyciszony, ale na jego boku miga czerwona dioda. Właśnie nadeszło połączenie.

Jak opętany pchnął drewniane drzwiczki lady i dopadł do słuchawki. Zerwał ją z bazy, po czym natychmiast odebrał. Z mikrofonu dobiegł go stłumiony, upiorny śmiech.

## 11



– Wie pani, że nie mogę niczego obiecać. Chciałbym, ale nie mogę.

Lekarz zacisnął w dłoni telefon. Przed kilkoma sekundami wyszedł z auta na podjazd i skierował się do domu. Wtedy właśnie zadzwoniła ciężarna blondynka. Tak jak często bywało, potok żalu, rozpacz i wściekłości wylał się z niej z opóźnieniem. Mężczyzna doskonale to rozumiał. Nie miał do niej pretensji o cierpkie słowa ani o przekleństwa. W końcu sam dał jej swój prywatny numer i poprosił, aby dzwoniła, kiedy tylko zapragnie. Choćby w środku nocy. Choćby wtedy, gdy organizował rodzinne przyjęcie powitalne.

Teraz była ledwie dwunasta, promienie słońca przyjemnie padały mu w twarz i liczył, że to będzie dobry dzień. Jego żona i córki powinny zjawić się za niespełna godzinę. Musiał powoli śpieszyć się z przygotowywaniem lasagne. *Festina lente*, jak mawiał Marek Aureliusz albo Oktawian August – zawsze ich mylił. Niegdyś historia starożytna bardzo go interesowała, lecz od wielu lat nie miał dość czasu, aby oddać

się temu hobby. Teraz też jego myśli zostały błyskawicznie przywołane do rzeczywistości.

– Żyjemy w czasach lotów w kosmos, a nie możemy pokonać jakiegoś cholernego raka? – Kobieta zaśmiała się nerwowo, po chwili jednak zmieniła ton na proszący. Nie, to nawet nie było proszenie, ale skomlenie. Rozpaczliwe skomlenie czołgającego się psa. – Panie doktorze, musi istnieć jakieś wyjście. Zapłacę... Znajdę pieniądze, aby skierować Marka na najlepszą terapię. Do USA, Niemiec albo jeśli będzie trzeba, choćby do Japonii. To nie problem. Ale błagam, niech mi pan pomoże to zorganizować... Muszą być sposoby.

– Niestety. Mówiłem już pani... Każdy, kto prowadzi terapie eksperymentalne, ma i tak full pacjentów z własnego kraju. Przykro mi...

– Wcale panu nie przykro. Ma pan to w dupie.

– Nie. Naprawdę chciałbym...

W słuchawce rozległ się dźwięk zakończonego połączenia. Lekarz westchnął i powoli opuścił telefon. Naprawdę było mu przykro i naprawdę chciałby każdemu pomóc. Być może był jeszcze młody i naiwny, a może był zwykłym idealistą, lecz faktycznie czuł pewną misję. Czasem jednak rozbijał się o ścianę. Nie był w stanie głową przebić muru medycznej pustki. Nie mógł ludzi ludzi nadzieją wyleczenia lub uzyskania dostępu do jakichś cudownych terapii, jeżeli sam w nie nie wierzył. Ba, jego wiara nie miała nic do rzeczy. Liczyło się przekonanie, które musiałyby graniczyć z pewnością o jego skuteczności.

Mimo wszystko postanowił spróbować rozeznaczyć się w programie, o którym słyszał przed paroma dniami. W trakcie sympozjum jego kolega z Wiednia wspomniał o jakimś raczkującym projekcie. Tak, powinien zrobić wszystko, traktując tego umierającego człowieka, jakby walczył o członka własnej rodziny. Z taką ideą wykonywania zawodu rozpoczął studia i starał się trzymać jej do dzisiaj.

Nagle zdał sobie sprawę, że jego telefon wibruje. Dobrze, powie tej kobiecie, że powinna mieć choćby cień nadziei. Na to może sobie

pozwolić. Nie będzie to kłamstwem ani dawaniem złudnej nadziei. Oznajmi wszystko, jak trzeba.

Nie patrząc na ekran, odebrał. Zamiast głębokiego, pełnego emocji głosu ciężarnej usłyszał urzędowy ton mężczyzny. Rozmówca upewnił się, że lekarz jest właśnie tym, z kim rozmawia, po czym cicho odchrząknął.

– Dzwonię ze szpitala klinicznego... Powinien pan tu przyjechać jak najszybciej. Pańska żona miała wypadek i w tym momencie jest operowana.

– Co takiego? – Mężczyzna niemal wypuścił telefon z ręki. – To niemożliwe. Ona wraca z lotniska... A moje córki?

– Przykro mi.

## 12



Mond ze słuchawką przy uchu wyjrzał za okno. Rozejrzał się, starając się omieść wzrokiem jak największy kawałek ulicy. Kwaciarnia znajdowała się w wąskim zaułku na Kleparzu. Przy hali targowej było co prawda wiele osób, ale nikt nie zwrócił jego szczególnej uwagi. Przed Żabką stała kobieta z białym pudłem, który, rozglądając się nerwowo, zdradzał, że oboje na kogoś czekają. Kilka metrów dalej, przy sklepie z wyrobami tytoniowymi, grupka nastolatków paliła papierosy elektroniczne. W zaparkowanym obok jego jaguara oplu siedział starszy mężczyzna. Miał głowę opartą o szybę i z pewnością z nikim nie rozmawiał. Był pochłonięty myślami albo spał. Poza tym nikogo...

– A jednak pan odebrał – odezwał się głos w słuchawce. Był niski, jakby zniekształcony przez jakieś urządzenie lub choćby pięść przytkniętą do ust niczym tubę. – Choć nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. W końcu uwielbia pan rozmaite gry...

– Kim jesteś? – zagadnął Mond. – Co to za głupi dowcip?

– To nie jest dowcip. Ani głupi, ani mądry, mój drogi. Śmierć to bardzo poważna sprawa, i sam doskonale o tym wiesz.

– Nie masz o mnie żadnego pojęcia.

– Myli się pan. Bardzo się pan myli, choć rozumiem, że jeszcze uważa pan inaczej. To święte prawo.

Mond zerknął na Allegrę, która właśnie starała się wytłumaczyć właścicielce kwiaciarni, dlaczego rozmawia przez jej telefon. Musiało jej to całkiem dobrze iść, gdyż florystka nieco się uspokoiła i energicznie kiwała głową, jakby przytakiwała. Szmit snuła jakiś wywód o rozładowanych komórkach, o tym, że wiedzieli, że będą właśnie tutaj, i o planowaniu ślubu. Najwyraźniej ta ostatnia kwestia sprawiała, że kobiety zaczynały się lepiej rozumieć.

– Wiem, że grywa pan w szachy – ciągnął rozmówca Monda. – Kiedyś robił pan to znacznie częściej, ale nadal pan to bardzo lubi.

– Mówiłem o tym na konferencji prasowej kilka tygodni temu – skwitował Honoriusz. – Nadal nie udało ci się mnie zaintrygować.

– Czyżby? A przecież pokonał pan kawał drogi, byle odebrać telefon w jakiejś podrzędnej kwiaciarni. Czy to nie wymiar zainteresowania?

– Raczej przezorności. Która się potwierdziła.

W telefonie rozległ się szorstki, sztuczny śmiech. Po chwili jednak mężczyzna głośno cmoknął i podjął monotonnym tonem:

– Lubi pan też grać w snookera, czego nie rozumiem. To potwornie nudne i nie ma nic wspólnego z logiką...

– Każdy ruch jest w jakiś sposób logiczny.

Mond spojrzał w drugi koniec ulicy, ale tam widok przesłaniał mu parkujący właśnie samochód ciężarowy z logo firmy spożywczej na pace. Tuż przy nim pojawiło się dwóch zwałistych mężczyzn z wózkami widłowymi. Najwyraźniej za chwilę mieli rozładować towar i przewieźć go wprost na stoisko.

– Moja gra jest bardziej złożona i zdecydowanie ciekawsza – oznajmił mężczyzna. – Jest całkowicie nowa, ale stopniowo pozna pan jej reguły.

– Aby w cokolwiek zagrać, trzeba mieć na to ochotę – skwitował Honoriusz. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Allegrą, która

nadal perorowała z kwiaciarką. – A ja zdecydowanie nie mam ochoty, by...

– Dość – rozmówca wszedł mu w słowo. – Pańska ochota niewiele mnie interesuje. Rozpoczął pan swoje *rendez-vous* ze śmiercią. Wszedł pan mi na spotkanie.

– To brzmi tandetnie i śmiesznie...

– Ale takie nie jest, proszę mi wierzyć.

– Koniec tych żartów. Rozłączam się.

Ze słuchawki dobiegło sapnięcie rozczarowania. Chwilę później padły słowa, które sprawiły, że Mond mocniej zacisnął palce na telefonie.

## 13



– Możesz mi wyjaśnić, co się dzieje? Do Przaśnej Anielki! Honri!

Allegra pobiegła za Mondem w stronę jaguara. Gdy Mortalista wsiadł do środka, na moment się zawahała. To było jakieś szaleństwo. Przed chwilą starała się go nakłonić do odebrania jakiegoś telefonu, ale robiła to z przeświadczeniem, że wreszcie wspólnie się rozerwą. Tym czasem teraz Honoriusz sprawiał wrażenie śmiertelnie poważnego. Tak rozerwanego, jak rozerwany bywa granatem terrorysta samobójca.

– Wsiadaj! – Mond opuścił szybę i ją ponaglił. – Chyba że chcesz zostać i nadal szykować bukiet ślubny.

– Pan żartowniś się znalazł...

Kiedy tylko Szmit usadowiła się na fotelu pasażera, Honoriusz dodał gazu. Silnik ryknął i jaguar wyrwał do przodu. Ponad pięćset koni pod maską robiło swoje.

– Dokąd jedziemy?

– Na ulicę Pokoju, dom numer pięć. Mordować mnie naszła okrutna chęć.

– Co ty...

Nagle przez twarz Szmit przeszedł wyraz oświecenia. Właśnie tak musiał wyglądać Budda, gdy doznał stanu swej najwyższej duchowej przemiany. Po chwili w miejsce delikatnej radości z faktu pojęcia jakiejś głębokiej tajemnicy pojawił się wyraz niedowierzania.

– Nie mów, że taką rymowankę usłyszałeś przez telefon...

Kąciki ust Monda uniosły się w półuśmiechu.

– Samozwańcza śmierć usiłuje być również wierszokletą. Marnie jej to idzie, co?

– Przynajmniej lepsze to niż wiersze częstochowskie.

– Myślałem, że jesteś zwolenniczką poezji jasnogórskiej.

Szmit nie podłapała tego dowcipu. Splotła dłonie na piersi, lecz zaraz zmieniła pozycję i skubnęła dolną wargę. Zmniejszyła temperaturę klimatyzacji kierowanej na swój fotel, po czym poprawiła turban. Zawsze była nadzwyczaj ruchliwa, ale w tej chwili przypominała kłębek nerwów.

– No dobrze, teraz bardzo bym chciała, żeby to wszystko było tylko idiotycznym żartem – stwierdziła. – Ponury, głupi żart na poziomie nastolatka dzwoniącego do szkoły, że podłożył w niej bombę. Byle tylko odwołali lekcje.

– Co może zostać odwołane w tym przypadku? – zagadnął Mond. – Ten człowiek nie miał żartobliwego tonu, a poza tym wydawał się w swoich wypowiedziach nadzwyczaj dobrze przygotowany. Jakby wszystko opracował i miał zapisane na kartce. Właściwie to recytował, a nie mówił...

– Co z tego?

– Nie wiem. Stwierdził, że wezmę udział w zaplanowanej przez niego grze.

Szmit odwróciła się do Monda i przekrzywiła głowę.

– No to pięknie – parsknęła. – Sęk w tym, że to jakaś popieprzona gra w mordowanie. Ktoś naprawdę musi mieć wyobraźnię, żeby robić sobie jaja. A ty dajesz się w to wciągnąć.

Honoriusz zerknął na ekran nawigacji i gwałtownie zmienił pas ruchu. Na najbliższym skrzyżowaniu musiał skręcić w prawo. Allegra, widząc,



że nie zamierza podjąć podsunętego przez nią tematu, wyraźnie się strapiła.

– Naprawdę uważasz, że to nie jest jedynie zwykły dowcip? A może to ty mnie wkręcasz? Przyznaj, że chciałeś mi zapewnić ranek pełen emocji, ale już możemy dać sobie spokój... Wsiądźmy i wypijmy chichę. Zapalimy do niej fajkę pokoju i dam ci podwyżkę. To o to chodzi?

– Ten człowiek poświęcił już tej zabawie zbyt wiele czasu. – Mond gładko wszedł w ostry zakręt i lawirował między autami. – Nie istnieje nikt, kto chciałby go marnotrawić, rozumiesz? Jeśli przeznaczasz na coś całe godziny, musi ci na tym zależeć. A jeśli ci na czymś bardzo zależy, traktujesz to cholernie poważnie.

Szmit oparła głowę o zagłówek i głośno wypuściła powietrze.

– Nienawidzę twojej lodowatej logiki. Zawsze brzmi tak cholernie pesymistycznie...

## 14



Kobieta się szarpnęła, ale zakres jej ruchów był bardzo ograniczony. Kable ciasno oplatały jej nadgarstki oraz nogi w kostkach. A może był to jeden długi kabel? Napastnik spętał ją tak szybko, że nie zdążyła się zorientować. Zresztą w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Usiłowała walczyć, lecz nie miała dość siły. Na nic się zdał kurs samoobrony, który w ramach szkolenia pracowniczego przeszła przed dwoma laty. Nieważne, że pilnie w nim uczestniczyła. Została kompletnie zaskoczona i momentalnie powalona. Nie spodziewała się ataku. Przed czymś takim nie obroniłby się zawodowy karateka.

Napastnik wdarł się do jej mieszkania i wykorzystując zaskoczenie, powalił ją na ziemię. Momentalnie wsunął jej w usta szmaciany knebel, a potem skleił je bardzo mocną taśmą. Gdy usiłowała mu się sprzeciwić,

wymierzył jej potężny cios w potylicę. Na moment chyba straciła przytomność. Albo tylko tak się jej wydawało...

Kolejne ciosy już nie były tak mocne. Szaleniec bawił się z nią, napinając lub poluzowując kabel. Pastwił się nad nią i cicho parskął. Nie widziała jego twarzy. Chciała wykorzystać to jako atut, jako element przetargowy, ale nie mogła go przecież wyartykułować. Co z tego, że nie poznała sprawcy i że nie wniosłaby wiele do potencjalnego śledztwa. Na nic byłyby też jej obietniki, że nie zgłosi sprawy na policję. Forma przekupstwa, która często pojawiała się w filmach.

Tymczasem rzeczywistość była taka, że leżała na brzuchu, twarzą do ziemi, ze związanymi kończynami oraz kneblem w ustach. Nie miała pojęcia, czego pragnie napastnik. Z pewnością, gdyby chciał ją zgwałcić, już by to zrobił. A może podniecało go odkładanie najważniejszego na później?

Kobieta była sparaliżowana strachem. Nie płakała, ale zacisnęła dłoń tak mocno, że spod paznokci pociekła jej krew. Nawet tego nie czuła. Serce tłukło się jej jak oszalałe, a w ustach miała kwaśny posmak żółci. Była bliska wymiotowania, choć gdyby to zrobiła, zachłysnęłaby się własną treścią żołądkową. Myśl o tym sprawiła, że zaczęła panicznie oddychać. Brakowało jej tchu i kręciło się jej w głowie. Oblewały ją fale gorącego potu, jakby polewano ją wiadrami wrzątku. Kilkukrotnie usiłowała na oślep kopnąć, lecz jej bose stopy uderzyły jedynie w podłogę. Duży palec wygiął się niemal pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Gdyby nie knebel, wrzasnęłaby z bólu.

Nagle napastnik zbliżył się do niej i gwałtownie się nad nią pochylił. Kilka sekund wcześniej skończył krótką rozmowę telefoniczną, z której kobieta nie wychwyciła nawet słowa. Choć toczyła się kilka metrów od niej, jej mózg kompletnie nie rejestrował sensu wypowiedzianych zdań. Całą jego energię pochłaniała daremna walka o życie.

– Chodź tu...

Napastnik brutalnie przeciągnął ją po podłodze. Trzymał ją za bluzkę oraz oplatające jej ręce i nogi kable. Włókł ją niczym pradawny łowca, taszczący ku jaskini spętane zwierzę. Nie zważał, że uderzyła głową

o futrynę ani że jej dłoń zawinęła się, a cały ciężar ciała oparł na lewym nadgarstku. Jakaś kość pękła z cichym trzaskiem. Szalenciec głośno sapnął i się wyprostował. Naprężył kabel.

– Nadciąga dla ciebie pomoc – wycedził ponuro. – Ale nie miej żadnej nadziei. Nikt nie jest tak szybki jak śmierć.

## 15



Mond wjechał na wysoki krawężnik, lecz zawieszenie jaguara w ogóle nie dało znać o przeszkodzie. Parkowanie na chodniku nie było w stylu Honoriusza, ale teraz działał w trybie przyśpieszonym niczym przewijany odtwarzacz. Naginał zasady na rzecz potrzeb.

– Co robimy? – Allegra podążyła za nim, gdy znaleźli się na zewnątrz auta. – Halo? Może powinniśmy ustalić jakiś zarys planu działania?

Mond zerknął na tabliczkę z numerem domu. Znajdowali się przed niskim, nowoczesnym szeregowcem, po którego przeciwnej stronie zapewne ciągnął się rząd maleńkich przydomowych ogródków. Suchy wiatr niósł kurz oraz fetor rozkładających się śmieci z pobliskiej altany. W pobliżu rozbudowywała się typowa dzielnica sypialniana. Niedawno postawione lub jeszcze wznoszone apartamentowce, pełne piasku ulice, nasadzenia zieleni, która nie zdążyła się jeszcze na dobre przyjąć. Obrazek znany z każdego większego miasta. Multiplikacja ludzkich marzeń i potrzeb podzielona przez ich możliwości.

– To jest ten adres? Ulica Pokoju?

– A jak myślisz?

Honoriusz w chwilach skupienia bywał opryskliwy, choć nie robił tego intencjonalnie. Po prostu jego umysł pracował wtedy w bojowym trybie, w którym nie było miejsca na kurtuazję albo językowe ozdobniki. Jego zdaniem pytanie Szmit było idiotyczne, więc nie należała się na nie

jakakolwiek konkretna odpowiedź. Po chwili się jednak zreflektował i zdawkowo kiwnął głową.

– Chodźmy. – Wskazał ku klatce schodowej, do której drzwi były otwarte i zablokowane potykaczem. – Zaraz wszystko będzie jasne.

– Może to dalszy ciąg dowcipu... Może mieszka tu ktoś z komendy? Chwila moment, czy ty przypadkiem nie masz dziś urodzin? Nie wiem, kiedy je obchodzisz, ale przygotuj się, że zaraz spadnie na ciebie deszcz kolorowych konfetti.

Allegra starała się nadal kurczowo trzymać nadziei, że wszystko jest jedynie żartem. Choć nie spodziewała się, by Honoriusz zachowywał się w ten sposób, nie mając konkretnych powodów do obaw. Musiał wiedzieć lub przynajmniej domyślać się czegoś, o czym ona nie miała pojęcia.

– Nie puścisz mnie przodem? – sarknęła, gdy Mond jako pierwszy wpadł do budynku. – Gdzie twoje maniery?

– Musisz mi teraz wybaczyć.

Honoriusz rozejrzał się i wbiegł na półpiętro. Klatka schodowa prowadziła do jedyne go mieszkania w tym segmencie. Zazwyczaj w podobnych budynkach przynależała do apartamentu, lecz w tym przypadku stanowiła wewnętrzny łącznik między kolejnymi częściami szeregowca. Ustawiono na niej donice z palmami, dracenami oraz jukami. Jedna ściana była całkowicie przeszklona, przez co w środku panował potworny zaduch.

– Szlag.

Mond skrzywił się, widząc, że drzwi do mieszkania są lekko uchylone. Wydało mu się, że jednocześnie kątem oka dostrzega czyjś cień na parkingu na dole. Nim się odwrócił, cień zniknął.

– Ktoś tam był! – Szmit zmarszczyła czoło i zsunęła zielone okulary na czubek nosa. Była gotowa rzucić się ku wyjściu z budynku, lecz Honoriusz opuszkami palców pchnął drzwi.

– Halo? Jest tam kto?

Odpowiedziała mu cisza. Nie jęknęły zawiasy, a z wnętrza mieszkania nie dobiegł żaden podejrzany dźwięk. Mond zapukał we framugę, po czym przestąpił próg.

– Niech to szlag – syknął.  
Jednocześnie rozległ się krzyk.

## 16



Mond zamarł w bezruchu. Wydawało się, że nawet nie oddycha. Przez cały czas z wnętrza mieszkania dobiegał jednak dziki, przerażający krzyk. Szmit chciała się przepchnąć obok Honoriusza i wpaść do środka, lecz nagle zdała sobie sprawę, co się wydarzyło.

– Linka... – wyszeptała, patrząc w stronę butów Monda. – Czy ona...  
– Tak.

Mortalista ostrożnie się poruszył i przykucnął. Sięgnął po cienką metalową żyłkę, o którą zahaczył butem. Od razu dostrzegł, że jest połączona z projektorem ustawionym kilka metrów dalej, naprzeciw ogromnej ściany. W mieszkaniu, niemal zaraz za przedpokojem, znajdował się pokój filmowy z wygodną kanapą oraz stolikiem. Okna były zasłonięte grubymi storami, a pociągnięcie linki sprawiło, że uruchomił się projektor. Urządzenie musiało być połączone z głośnikami, z których dobiegał krzyk.

– Halo! – Allegra krzyknęła w głąb mieszkania. – Jest tu kto? Policja!

Choć żadne z nich nie miało policyjnej legitymacji, to hasło zawsze sprawdzało się najlepiej. Na dźwięk tego krótkiego słowa reagował każdy. A w tym przypadku nie liczył się rodzaj reakcji, lecz samo jej wywołanie. Mimo to z mieszkania nie dobiegł żaden inny dźwięk, poza cichnącym właśnie nagrany krzykiem.

Mond otworzył szerzej drzwi i ostrożnie wszedł do środka. Pierwsze kroki stawiał powoli, łypiąc na metalową linkę. Sprawiał wrażenie, jakby spodziewał się, że lada moment dojdzie do jakiejś eksplozji. Nic takiego się jednak nie stało.

W korytarzu nie dostrzegł nikogo, więc wszedł w głąb pokoju filmowego. Obraz z projektora nie był skorelowany z dźwiękiem. Choć z głośników wciąż dobywał się już mocno stłumiony, rozpaczliwy krzyk, Mond nie miał wątpliwości, że jest to jedynie zapętlone nagranie.

– Co to? – Szmit stanęła tuż obok niego i spojrzała na obraz wyświetlany przez projektor.

– To właśnie twój żart. Powinnaś się śmiać do rozpuku.

Honoriusz przez chwilę obserwował nagranie pokazujące leżącą na podłodze sylwetkę. Była to prawdopodobnie kobieta, choć nie było widać jej twarzy. Przybliżenie zostało skierowane na odsłonięty siny kark. Był całkowicie nieruchomy. Filmowana osoba z pewnością nie oddychała.

– To popieprzone – szepnęła Szmit. – O co w tym, do licha, chodzi?

– Daj mi się skupić.

– Na? Na czym ty się, do licha, teraz skupiasz? Na oglądaniu tego filmiku?!

Mond skinął głową, wskazując na sufit. Dokoła pomieszczenia biegła cienka listwa, pod którą zainstalowano czujkę ruchu oraz szklaną kulę.

– Chcesz powiedzieć, że to wewnętrzny monitoring? Że to cholerny obraz na żywo?

Allegra dostrzegła, że przy postaci na nagraniu znajdują się czarne płytki podłogowe ze złotym wzorem. Takie same, jakie były ułożone w przedpokoju apartamentu, w którym się znajdowali. A zapewne także w jego innych pomieszczeniach.

– Mój Boże...

## 17



– To bardziej intrygujące niż zabawne, czyż nie?

Mond stanął jak wryty w progu łazienki. Przez uchylone drzwi dostawało się sporo światła, które padało na zwinięte ciało. Właśnie to

miejsce emitował obraz z kamery zainstalowanej powyżej. Najwyraźniej w tym mieszkaniu monitoring znajdował się dosłownie wszędzie, lecz zapewne nie został jeszcze profesjonalnie uruchomiony i podłączony do systemu alarmowego. Wszystko wydawało się nowe, jakby do apartamentu wprowadzono się ledwie przed kilkanaście dni.

– Boże Śnięty! – Allegra zatrzymała się obok Honoriusza. Spojrzała na nieruchome ciało i potrząsnęła głową. Głęboko wciągnęła powietrze, po czym się przeżegnała. Po chwili jej lewa dłoń podążyła ku dziesiątkom rozmaitych bransoletek, którymi miała obwieszony prawy nadgarstek. Znajdowały się wśród nich talizmany oraz symbole bodaj wszystkich znanych religii świata. Po pierwszym szoku Szmit rzuciła się ku ciału. Z tej perspektywy nie było wątpliwości, że należy ono do kobiety. – Może ona...

– Nie. – Mond powstrzymał ją zdecydowanym ruchem ręki. Zablokował jej przejście i bacznie się rozejrzył. – Ona nie żyje. Nie masz się co nawet łudzić.

– Ale...

– Powiedziałem: nie. To trup. Trzymaj się na odległość.

Szmit nie zamierzała z nim polemizować. Kto jak kto, ale Mortalista znał się na śmierci. Wiedział o niej wszystko i niemal nigdy się nie mylił. Właściwie nie mylił się zupełnie nigdy, ale zawsze powtarzał, że we wszelkich swoich wywodach zostawia pole na minimalny margines błędu. Teraz przykucnął i z odległości około półtora metra przyglądał się ciału.

Kobieta leżała na brzuchu, z podkulonymi nogami i rękoma spętanymi kablem obok piersi. Pozycja wydawała się bardzo nienaturalna i jeszcze bardziej niewygodna. Średniej długości włosy zasłaniały niemal całą twarz, lecz widać było siny policzek oraz kawałek otartego do krwi podbródka.

Mond powoli wciągnął powietrze. Kilkukrotnie mlasnął, jakby smakował jakąś potrawę. Gwałtownie się podniósł i rozejrzył się po pomieszczeniu.

– A więc to całkiem proste... – szepnął. – Stąd ten zapach.

– Czuję delikatną spaleniznę, jakby przypalone włosy – podchwyciła Allegra. – Ale nie widzę żadnych śladów ognia.

– To nie ogień. Jeden kabel jest podłączony do przedłużacza... Ktoś doprowadził do zwarcia i raził ją prądem. Zapewne zrobił prowizoryczną instalację, aby nie wywaliło korków.

Honoriusz wskazał na przedłużacz oraz skrzynkę elektryczną zamontowaną w rogu korytarza. Zsunął fedorę na tył głowy i westchnął.

– Udusił ją, ale wcześniej przez jakiś czas okrutnie torturował prądem. Napięcie było na tyle duże, by ją pieściło, ale nie spowodowało pożaru. Pod wpływem impulsów elektrycznych włókna nerwowe się obkurczają, dlatego ma podwinięte nogi oraz palce rąk. Podbródek został rozcięty, gdy napastnik przeciągnął ją z salonu. Zapewne trzymał ją w nim przez jakiś czas, gdy grasował po mieszkaniu, organizując resztę widowiska. Na podłodze są kropelki krwi, więc uważaj, aby ich nie zatrzeć i nie utrudnić pracy technikom.

Mond błyskawicznie obrzucał wzrokiem kolejne zakamarki pomieszczenia i łączył fakty. W jego głowie pojawiało się wyobrażenie wydarzeń z ostatnich minut życia tej kobiety. Układało się we w miarę spójną całość. Jednak coś go niepokoiło. Gdy starał się uchwycić, co takiego, z oddali dobiegł go dźwięk policyjnych syren. Po chwili przez zasłony do środka wpadło migające światło stroboskopów.

– Oto przybyła kawaleria. – Mond wyprostował się jak struna i odwrócił w stronę drzwi. Nim ktokolwiek wszedł do środka, odezwał się: – Zapraszam pana, komisarzu. Czekamy w środku.

## 18



– Tam są zwłoki? – Berg parsknął. – Niemożliwe! Spodziewałbym się wszystkiego, ale nie tego, że spotkam Mortalistę na miejscu zbrodni... Coś takiego...



Mond westchnął, po czym w kilku zdaniach wyjaśnił, jakim sposobem znaleźli się z Allegrą w budynku. Jego słowa komisarz przyjął uniesieniem brwi i wymownym mlaśnięciem. Przez ostatnie kilkadziesiąt sekund wraz z dwoma podwładnymi stał w progu mieszkania. Był postawnym mężczyzną, z wydatnym brzuszkiem, nalaną twarzą oraz okrągłymi oczami, które nadawały mu wyraz nieustannie sennego. Choć często wchodził z Mondem w ostrą polemikę, bardzo go cenił. Tym bardziej że choć był nieco starszy od Mortalisty, wziął udział w kilku prowadzonych przez niego przed laty szkoleniach. Być może, niczym przed dawnym wykładowcą, czuł obowiązek pewnego wytłumaczenia się.

– Dostaliśmy telefon o potencjalnej zbrodni... – bąknął. – Właściwie to ja go dostałem na wewnętrzny numer. Dziwne, prawda?

– Dziwność to kwestia perspektywy, tak samo jak normalność – stwierdził Mond. – Mnie mało rzeczy dziwi, panie komisarzu.

– W każdym razie najpierw potraktowałem to jako dowcip...

– To dokładnie tak jak my.

Szmit usiłowała się uśmiechnąć, lecz jej wargi ledwie drgnęły. Wciąż była otumaniona szybkością ostatnich wydarzeń. Odruchowo dotykała kolejnych bransoletek i rzucała krótkie formułki modlitw w rozmaitych językach. Wierzyła, że wszystkie religie są w jakiś sposób powiązane, a nawet jeżeli tak nie było, że któraś musi być właściwa. Dlatego należało praktykować każdą z nich, aby utrafić w istniejącego Boga lub bóstwo. To była skomplikowana teoria, lecz Allegra potrafiła o niej mówić całymi godzinami. Po tak długim wywodzie nawet nieprzekonani zaczęli się zastanawiać nad logiką jej argumentów. Teraz jednak nikt nie zwrócił na jej zachowanie uwagi.

– Ta kobieta padła ofiarą zadzierzgnięcia – odezwał się Mond, przepuściwszy policjantów w progu. – Przynajmniej na to bym stawiał. Raczej nie ma innej możliwości...

Berg przeszedł obok niego, lecz zaraz się odwrócił.

– Skąd ta myśl? Myślałem, że nie lubisz hazardu.

– Nie.

– I mam nadzieję, że nie ruszałeś trupa? I ta panienka, co wygląda jak hipiska wyrwana z safari, również.

Mond ostentacyjnie przewrócił oczami.

– Wie pan, że zagardlenie dzieli się na kilka kategorii, które znowu mają swoje podkategorie, niuanse i szczegóły. Można by o tym długo perorować, ale...

– Co robić? – warknął Berg.

– Perorować – powtórzyła za Mondem Szmit. – Rozwodzić się, gadać, ględzić...

– Pieprzyć – skwitował komisarz.

– Też. Polska mowa – bogata mowa.

Honoriusz łypnął na Allegrę i podjął dalej.

– W każdym razie w medycynie sądowej wyróżnia się zadławienie, które jest rezultatem ucisku na szyję, wywartego uciskiem rąk człowieka. Natomiast zadzierzgnięcie następuje poprzez jakąś pętlę i nie jest jednoznaczne z uduszeniem. Sprowadza się do uniemożliwienia odpływu krwi z mózgu, przy czym jest ona do niego tłoczona tętnicami. Stąd u ofiar występują krwawe wybroczyny w spojówkach, w błonie śluzowej jamy ustnej, sinica twarzy i tak dalej... Z tym wszystkim mamy do czynienia w tym przypadku.

– Świetnie.

Berg nakazał podwładnym zostać w proggu, a sam ruszył ku łazience. Po przejściu kilku kroków, kiedy dostrzegł zwłoki, gwałtownie się zatrzymał.

– Noż kurwa... – rzucił pod nosem. – Nie wierzę...

– Wiara nie ma z tym nic wspólnego – wtrąciła Szmit. – Widział pan przecież niejednego trupa.

– Nie wierzę – powtórzył komisarz.

Głośno parsknął. Odwrócił się i spojrzał wpierw na Allegrę, a potem na Monda. Jego twarz była blada jak pergamin. Zupełnie jakby zobaczył ducha.



Henryk spojrział na zrobioną polaroidem fotografię. Przedstawiała opuchniętą twarz kobiety, z wytrzeszczonymi, przekrwionymi oczami, szeroko rozwartymi nozdrzami oraz krwią zebraną pod nosem. Jej lekko rozchylone wargi były sine, a skóra miała fioletowawy odcień. Wydawała się opuchnięta, jakby przeszła nadmierne ostrzykiwanie botoksem. Albo jakby kobieta wsadziła głowę do gniazda szerszeni.

– Ładna, co? – zwrócił się do Rolanda. – Jak myślisz?

– Wolę bardziej naturalny makijaż. No i rozczarowało mnie, że farbowała włosy. Miałem nadzieję, że to jej naturalny kolor.

– O tak. Oszukała nas.

– Jak one wszystkie. Nie ma kobiety, która nie chciałaby oszukać mężczyzny. Robią to całkowicie świadomie i z rozmysłem. Nienawidzę ich.

– Ja też – gorliwie przyznał Henryk. – Ja też ich nienawidzę, ale mam tego wszystkiego powyżej uszu. Serdecznie dość, rozumiesz? Dość wybierania, dość ryzykowania i dość ulegania tym myślom. To nudne!

Mężczyzna uniósł głos i rzucił zdjęcie na porysowany blat stolika. Wyprostował się, po czym uderzył pięścią w ścianę. Tuż obok wisiało duże lustro ze złoconą ramą oraz taflą zaklejoną folią malarską.

– Znowu jesteśmy w niebezpieczeństwie – stwierdził Henryk. – Musimy z tym sobie poradzić, ale jednocześnie nie rzucać się w oczy. Przez kilka dni, a potem kilka miesięcy. Przerabialiśmy to wiele razy.

Roland wściekle warknął. Uniósł dłoń i pogroził w powietrzu palcem.

– Nie chcę tego powtarzać. Rozumiesz? Mieliśmy z tym skończyć.

– Wiesz, że to nie nasza wina.

– Nie? A od czego to wszystko się zaczęło? Albo raczej: od kogo?

– Cisza!

Roland był gotów rzucić się na Henryka z pięściami. Obaj ciężko dyszeli. I obaj jednocześnie uderzyli głową w ścianę tak mocno, że

z rozcięcia na czole popłynęła krew.

– Przestań! – Henryk odwrócił się do drzwi i ruszył w ich stronę. Sięgnął ku metalowej zasuwie. Upewnił się, że jest na swoim miejscu, a oba zamki są przekręcone. – Nie możemy wpadać w panikę. To nigdy nie przyniosło niczego dobrego.

– Musimy opracować plan. Albo zabieramy się za nasze sprawy od nowa, albo zwijamy interes, obcinamy ptaszka i kończymy z romansami na dobre. Zostało jeszcze kilka tabletek...

Roland urwał w pół zdania. Przeczesał palcami włosy i zrobił kilka kroków dokoła pomieszczenia. Gdy chodził, lepiej mu się myślało. Potrafił wtedy zebrać myśli i opracować najlepsze rozwiązanie każdego problemu. W przeciwieństwie do Henryka, który był znacznie bardziej powściągliwy, a za najlepsze działania uważał brak działań. Milczał również teraz. Dlatego Roland zachowywał się niczym aktor mający całą scenę dla siebie. Uniósł wysoko dłonie, opuścił je za głowę i spojrzał przed siebie spode łba.

– Śmierć nie może bać się śmierci – wyrecytował. – To byłby jakiś żart.

Henryk nerwowo zachichotał. Po chwili także wbił wzrok w ścianę i wybuchnął głośnym, udawanym śmiechem. Nagle się opanował. Jego twarz stała się nieruchoma niczym maska.

– Widzisz, jak mi do śmiechu? – wyszeptał. – Widzisz, jak świetnie się bawię?

W odpowiedzi został spoliczkowany. Tak mocno, że z ust pociekła mu strużka krwi.

## 20



– Wiem, że widok zwłok może przestraszyć najtwardszego chłopca, ale po panu się tego nie spodziewałem.

Mond powiedział to bez cienia uśmiechu, bacznie obserwując reakcję Berga. Tymczasem komisarz odchrząknął, przeciągnął dłonią po ustach i zrobił minę, jakby chciał splunąć. W ostatniej chwili się powstrzymał. Podniósł wzrok na Honoriusza, po czym sapnął.

– To już było. Do cholery, już to kiedyś przerabialiśmy...

– To? – Mond wskazał palcem na zwłoki, a potem na siebie. – Czy to? Nasze skromne *tête-à-tête*.

– Wiesz, co mam na myśli. I wiedziałeś o tym od samego początku, gdy zobaczyłeś zwłoki. A może nawet wcześniej, od chwili, gdy dostałeś wiadomość, co?

Allegra spojrzała na Berga, a potem szybko przeniosła wzrok na Mortalistę. Ten stał odwrócony do niej bokiem, jak zawsze doskonale wyprostowany, z surowym, skupionym wyrazem twarzy. Nagle delikatnie kiwnął głową.

– O czym on mówi? – zapytała Szmit. – Wie, że o czym ty wiedziałeś? Zaraz się w tym pogubię...

– Wyjaśnij jej – bąknął komisarz. – No, śmiało.

– Nie ma czego wyjaśniać. – Mond ledwie łypnął na przyjaciółkę. – Po prostu przed laty działał ktoś o bardzo podobnym *modus operandi*. Również używał kabla, którym zaciskał pętlę na gardłach ofiar. I również atakował w ich mieszkaniach lub domach.

Allegra podniosła okulary i założyła je za turban. Sięgnęła do kieszeni, lecz nie znalazła w niej kolejnego ziołowego lizaka.

– Czy ten człowiek został złapany? Nigdy o nim nie słyszałam.

Mond wzruszył ramionami. Zerknął na Berga, a ten spuścił wzrok. Po chwili przeniósł go na swoich podwładnych. Najwyraźniej nikt nie znał odpowiedzi.

– Sprawa się rozmyła – stwierdził komisarz. – To było ponad dekadę temu... Zbrodnie ustały, a jak potoczyły się losy śledztwa, cholera wie. Temat rozmiękł się na drobne, jeszcze zanim trafiłem do wydziału kryminalnego. Właściwie mniej więcej wtedy, gdy zacząłem grzać dupsko w ławie szkoły policyjnej.

– Ale wykładowcy powinni coś niecoś o tym wiedzieć?

Honoriusz nie zareagował na tę wyraźną zaczepkę Allegrę. Zerknął ponad ramieniem Berga w głąb łazienki. Kilkukrotnie kiwnął głową, po czym zawrócił w stronę korytarza. Przeszedł nim parę kroków, ponownie zawrócił i przystanął.

– Powinieneś teraz wygłosić jedno ze swoich płomiennych, logicznych przemówień – parsknął Berg. – Słuchamy cię uważnie.

Mond jeszcze raz rozejrzył się wokół. Dokładnie analizował kolejne szczegóły wnętrza. Jego wzrok prześlizgiwał się po eleganckich, lakierowanych na głęboką czerń szafkach, po lampkach krytych szkłem Tiffany’ego oraz po zdobionych mosiężnych wieszakach w kształcie łbów końskich. Na jednym z nich wisiała narzutka z mięsistego, bardzo krótkiego futra.

– Gdyby wziąć parę rzeczy z tego korytarza i zastawić je w lombardzie, można by przeżyć wiele miesięcy – zauważył ponuro. – A skoro nie wiadomo, o co chodzi, i nie chodzi o pieniądze...

– Jest bardzo źle – dokończyła za niego Allegra.

– Właśnie tak. Dlatego, panie komisarzu, radzę jak najszybciej wezwać techników. Myślę, że mogą mieć tu sporo do roboty.

Berg sięgnął do kieszeni po telefon. Nim jednak wybrał numer, skinął głową ku jednemu z podwładnych.

– Przesłuchajcie Mortalistę. Bardzo dokładnie i powoli. Tak, jakbyście wbijali na pal Tuchajbejowicza.

## 21



– Chodź. Powinniśmy napić się kawy.

Szmit pociągnęła Monda za rękaw. Honoriusz chciał jak najszybciej wrócić do auta, lecz po krótkiej namowie uległ przyjaciółce. Faktycznie, należała mu się chwila na zebranie myśli. Tyle że przecież najlepiej

myślało mu się samemu. W zaciszu pracowni renowacyjnej albo w trakcie gry na ukochanym, odrestaurowanym przez siebie, szpinecie.

– Proszę... – jęknął. – Zamiast kawy powinniśmy wracać do domu. Poza tym tu na pewno nie ma chichy ani tych twoich magicznych naparów.

– W takim razie napiję się zwykłego cappuccino.

– Myślałem, że taka kawa zamienia czarownice w stosik popiołu.

– Nie masz zielonego pojęcia ani o czarownicach, ani o szamankach.

– Że co? Szamanki?

Szmit spiorunowała Monda wzrokiem i pociągnęła go ku kilku stolikom rozstawionym na drewnianym podeście przed kamienicą. Przed kilkoma minutami opuścili budynek komendy, w której przez blisko godzinę wypytywano Mortalistę o wszelkie szczegóły sprawy. Maglowanie odbywało się na wyraźne polecenie Berga. Ku pocieszeniu Honoriusza okazało się, że komisarz na dobre utknął z ekipą techników w apartamentowcu i chyba w ten sposób starał się zabezpieczyć sobie tyły. Na wypadek gdyby Mortalista dokonał jakichś nowych odkryć.

– Pytali, dlaczego ten człowiek zadzwonił właśnie do mnie – mruknął Mond. Pchnięty przez Allegrę usiadł przy okrągłym stoliku i głośno myślał. – Nic dziwnego, sam bym się o to pytał. Właściwie pytam się o to co chwilę, ale mam jedynie kilka niezbyt klarownych koncepcji.

– Cholera wie – odpowiedziała za niego Szmit. – Na razie taka odpowiedź musi ci wystarczyć.

– Nie.

– Nie?

– Po prostu nie. Wiesz, że dla mnie to za mało. Zawsze.

Mond zabębnił palcami w blat stolika i całkowicie zlekceważył kelnerkę, która właśnie się przy nich zjawiła.

– Interesujące jest również to, dlaczego Telefonista powrócił. I czy to on we własnej osobie, czy może jego naśladowca. A może czysty przypadek.

– Telefonista? – Allegra ponownie nasunęła okulary na nos. – Tak go nazwano?

– Tak.

– Przepraszam... – Kelnerka taktownie odchrząknęła. – Chciałabym przyjąć zamówienie, a może...

Ani Mond, ani Szmit nie zwrócili na nią żadnej uwagi.

– Dlaczego? – dopytała Allegra. – Skąd się wzięła taka idiotyczna ksywka? Ciekawy wyłom od Rzeźników, Katów i im podobnych...

Honoriusz skubnął króciutką skórkę przy paznokciu wskazującego palca i poprawił kapelusz. Następnie odruchowo sięgnął ku węłowi krawata. Ten był zawiązany tak mocno, że Szmit zawsze miała wrażenie, że jej towarzysz lubi się notorycznie podduszać.

– Powiesz mi, skąd ta ksywka? – powtórzyła zadane przed chwilą pytanie.

Mond poprawił się w krześle i spojrzał na Allegrę swoim przenikliwym, świdrującym wzrokiem. Choć jego twarz pozostawała niemal nieruchoma, delikatnie się uśmiechnął.

– Stąd, że zawsze dzwonił do swoich ofiar, zanim je zamordował. To był jeden z jego znaków rozpoznawczych. A teraz zadzwonił do mnie.

## 22



Mond bez problemu dopił podwójne ristretto, lecz Szmit nie poradziła sobie z ogromną porcją kawy wzbogaconej aromatami południowoamerykańskich owoców i azjatyckich przypraw. Choć mieszanka nazwana „Intercontinental shot” miała działać chłodząco, w rzeczywistości Allegrze zrobiło się jeszcze goręcej. Mimo zbliżającego się zachodu słońca temperatura niemal nie spadała. Zapowiadał się duszny, pogodny wieczór, z czystym niebem i wysoką wilgotnością. Skaranie tych, którzy w domach nie mieli klimatyzacji.

Niedługo po tym, gdy zamówiona kawa trafiła na ich stolik, Allegra odebrała telefon od stałej klientki. Była to trzydziestokilkuletnia



blogerka modowa i kulinarna, która dzięki ogromnemu sukcesowi rynkowemu w krótkim czasie zarobiła pieniądze, o jakich większość ludzi nawet nie śniła. Pod wpływem rozmaitych doradców kobieta zaczęła inwestować w stare kamienice oraz domy, które pracująca dla niej niemal na wyłączność ekipa skrzętnie remontowała. Jeżeli w grę wchodziła tylko kosmetyka, dla firmy sprzątajacej Szmit pozostawało spore pole do popisu. Tak było w tym przypadku.

Niewielka kamienica przy Rzeźniczej została jedynie odświeżona. Odrestaurowano co prawda fasadę, wymieniono schody na klatce, ale mieszkania pozostały niemal niezmienione. Ich aranżację oddano w ręce przyszłych nabywców. Strych, ze względu na to, że deskowanie i dach wymieniono kilkanaście lat wcześniej, praktycznie w ogóle pominięto. Załatano jedynie niewielką dziurę przy kominie oraz wymieniono kilka dachówek. Jakież było zdziwienie inwestorki, gdy zjawiała się na poddaszu tego popołudnia... Powitał ją potworny smród, jaki wydobywać mógł się jedynie z rozkładających się zwłok. Pośpieszne oględziny na szczęście zapobiegły wizycie służb porządkowych. Zapach został właściwie zaklasyfikowany, lecz z całą pewnością nie pochodził od truchła ludzkiego. Mond i Szmit zostali wezwani na miejsce w trybie pilnym, jako że kolejnego ranka poddaszowe mieszkania mieli oglądać potencjalni kupcy. Bezwzględnie należało pozbyć się okropnego fetoru oraz jego źródła. I to w „wyszmitowanym tempie”. Tak to ujęła Allegra.

„Pewnym klientom się nie odmawia” – dodała, gdy wypadła z kawiarni i skierowała się w stronę parkingu. Honoriusz doskonale ją rozumiał, więc ani przez chwilę się nie wahał. Choć ich relacja służbowa mogła budzić wiele wątpliwości, zamiast jakiejś formy podległości, czuł czyste, przyjacielskie zobowiązanie. Dlatego tuż po dwudziestej wspólnie stanęli na cuchnącym strychu. Mond błyskawicznie ocenił sytuację. Wziął z podłogi martwego, gnijącego gołębia i uniósł go pod światło padające z okna dachowego.

– Uszczelniono blachę i szlag trafił całe stado, które miało tu przyjemne mieszkanko – stwierdził, wrzucając ptaka do worka na odpady medyczne. – Kilkadziesiąt gołębi...

– Mogło być gorzej – skwitowała Szmit. – Powinno pójść nam całkiem sprawnie.

Rozłożyli kilka walizek ze sprzętem, środki czyszczące, specjalne kosze oraz preparaty chemiczne. Podobną robotę wykonywali co kilka tygodni, choć liczba padłych gołębi rzeczywiście była ponadprzeciętna.

– W czasach wiktoriańskich robiono całe wystawki z preparowanych ptaków. – Mond pracował szybko, bez maseczki, co jakiś czas jedynie poprawiając krawat. – Niedawno restaurowałem jedną z nich. Musiałem przykleić prawie tysiąc piór. Warstwa po warstwie, ale efekt... Byłabyś pod wrażeniem.

– Pięknie to robisz – skwitowała Allegra.

– Dziękuję.

– Nie mówię o restaurowaniu wypchanych ptaków.

Honoriusz zamknął kolejny worek na specjalną zasuwkę i zerknął na przyjaciółkę. Szmit udawała, że nie dostrzega jego spojrzenia. Wyszorowała podłogę płynem dezynfekującym, którego nadmiar umyślnie wlała między deski. To właśnie tam zbierała się rozkładająca się tkanka, która niesamowicie cuchnęła. Wszelkie szczeliny stanowiły newralgiczne miejsca dla ekip sprzątających.

– Gadasz o czymś, o czym całkowicie teraz nie myślisz – odezwała się wreszcie. – Robisz to, aby uniknąć jakichkolwiek pytań. Ale ja wiem, że mędrkujesz teraz nad czymś całkowicie innym niż nad ptakami.

– Ja...

– Nie zaprzeczaj. Nie odezwałeś się na temat tego zabójstwa ani słowem, niech ci będzie. Nie opowiedziałeś mi nic więcej o Telefoniście, okej. Doczytam sobie w internecie. Ale nigdy przy mnie nie udawaj innego, niż jesteś.

Mond bez słowa kontynuował sprzątanie. Szmit miała całkowitą rację, że jego umysł pochłaniało coś zupełnie innego niż restaurowanie wypchanych ptaków. Nie mogła mieć jednak pojęcia co.



Mond po powrocie do hotelu zapalił ulubioną cygaretkę montecristo. Jako że wynajmował pokój długoterminowo, pozwolono mu na dokonanie w nim pewnych zmian. Po pierwsze, uszczelnił drzwi, po drugie, sprowadził do niego kilka własnych mebli, a po trzecie, zdemontował czujkę dymu. Choć mogło to być niezgodne z przepisami oraz regulaminem, nie przejmował się tym. Celebrował ukochany moment palenia cygaretki przez krótką srebrną lufkę. To zawsze go odprężało.

Zamontowany w drugim pomieszczeniu klimatyzator cicho rzeził. Balkon oraz okna były zamknięte. Mond całkowicie pogрузił się w myślach. Kilukrotnie podchodził do małej biblioteczki, w której trzymał swoje ulubione pozycje książkowe. Wśród nich znajdowało się kilka opracowań kryminalistycznych oraz teczki z jego notatkami. Odświeżył sobie część informacji o Telefonistcie. Niemal wszystko się zgadzało. Sposób zabójstwa, ogólny *modus operandi*, użyte narzędzia oraz charakter obrażeń były bardzo podobne. Jednak ten rys nie stanowił czegoś tak unikatowego, by w przypadku podobnych zbrodni musiano mówić o naśladowcy.

Tymczasem nie przeszłość ani ewentualne losy Telefonisty były przedmiotem roztrząsań Honoriusza. Pochłaniało go teraz jedno jedyne pytanie, skupione na kimś innym.

„Dlaczego ja?”

Nie chodziło o poczucie własnej wyjątkowości, choć z pewnością Mortaliście nie brakowało takiego przekonania, jednak sedno stanowiło coś zupełnie innego. Brak wiary w przypadkowość. Mond zawsze powtarzał, że coś takiego jak przypadek nie istnieje. Okazywało się, że ma na to konkretne dowody i argumenty. Właśnie dlatego nie lubił hazardu ani gier, w których czynnik loteryjny miał decydujące znaczenie. I właśnie dlatego nie zadowalała go odpowiedź: „Bo miałeś pecha” albo „Bo tak chciał ślepy los”.

Owszem, mógł zostać adresatem przesyłki dlatego, że ktoś zobaczył jego wywiad w telewizji. Albo przeczytał o nim w którejś z gazet. Po sprawie Inkarnatora zrobiło się o nim naprawdę głośno, ale taka odpowiedź mu nie wystarczała. To było nadal zbyt mało. Dlaczego ten ktoś w ogóle nadał przesyłkę ze smyczkiem? Dlaczego postanowił zaangażować go do śledztwa? Te pytania sprawiały, że sprawa nabierała głębszego znaczenia. Pojawiały się zupełnie nowe aspekty, a on musiał zgłębić każdy z nich. To było jego przekleństwo.

Powoli dopalił cygaretkę i usiadł przy szpincie. Gra na tym instrumencie porządkowała myśli, lecz tego wieczoru nie czuł weny. Położył palce na klawiszach, po czym zaraz wstał. Kilkukrotnie przeszedł w tę i we w tę po pokoju, wreszcie zatrzymał się przed oknem. Światła w pomieszczeniu były zgaszone, więc miał doskonały widok na kościół pijarów. Przez chwilę zdawało się, że kontempluje jego bryłę. W rzeczywistości przez głowę przewijały mu się obrazy z przeszłości nie tak odległej jak wznoszenie tego fragmentu Krakowa.

Zorganizowane przez rodziców jego przyjęcie urodzinowe. Rodzinna rezydencja oraz piękny, starannie zadbane ogród. Porwanie i zamordowanie siostry, której zwłoki trafiły do zakładu pogrzebowego prowadzonego przez jego ojca. To był pierwszy kontakt Monda ze śmiercią. Od razu bardzo głęboki i brutalny. Jednocześnie wydawało mu się, że kolejne wydarzenia jego życia są ze sobą nadzwyczaj powiązane. W końcu przez wszystkie te lata towarzyszył mu tajemniczy Kanclerz – brylujący obecnie w darknecie zbrodniarz, a wcześniej sprawca kilku niezwykłych wydarzeń jego życia. Człowiek, przez którego jego kuzynka zajęła się informatyką oraz hakerstwem. Jednak przecież piętno zbrodni towarzyszyło całej jego rodzinie. I to prawdopodobnie znacznie dłużej, niż sądził.

Czy możliwe było, aby i sprawa tego morderstwa została nacechowana przez jego przeszłość? Aby właśnie to była prawdziwa twarz ostatniego „przypadku”?

Nagle Mond odwrócił się od okna i ruszył w stronę drzwi. Przechodząc przy szpincie, wygrał pierwsze dźwięki fugi d-moll Bacha. Po chwili

wypadł na korytarz, po czym pośpiesznie zbiegł na dół.

## 24



– Panie komisarzu.

Berg aż podskoczył. Nie był przygotowany na to, że ktoś będzie czekał na niego akurat w tym miejscu. Byli umówieni z Mondem uliczkę dalej, na rogu Miodowej, tymczasem Honoriusz wyrósł jak spod ziemi. Od jego pracowni dzieliło ich mniej więcej trzysta metrów, ale Honoriusz najwyraźniej nie chciał ryzykować spotkania policjanta z bandą Watażki. Grupa łobuzów nie znosiła komisarza, mając na jego temat jak najgorsze zdanie. Zawsze dawali Mondowi do zrozumienia, że ten wcale nie bywał tak praworządny i uczciwy, za jakiego się podawał. Choć ich pojęcie o praworządności oraz uczciwości było tak samo słownikowe jak pojęcia polityków.

– Czego chciałeś? – warknął Berg. – O tej porze marzyłem, żeby położyć się z żoną do łóżka. Tym bardziej po takim dniu.

– Mam coś dla ciebie.

Zwyczajowo rozmowy obu mężczyzn przebiegały pod znakiem meandrowania formami bycia na „ty” oraz na „pan”. Nie zamierzali tego jednak zmienić. Stanowiło to pozostałość jeszcze z dawnych czasów.

– Co możesz dla mnie mieć? Klimatyzator? To jedyne, co mogłoby mi się przydać w taką noc.

– Przepraszam za rozczarowanie.

Mond bez cienia uśmiechu wyciągnął ku Bergowi podłużną paczuszkę.

– Twoi ludzie nawet o to nie zapytali – wyjaśnił. – Mimo że wspomniałem im o przesyłce, przez którą znalazłem się tam, gdzie pan... Sądzę, że może się przydać.

– To ten smyczek?

Mond nie odpowiedział. Odwrócił się na pięcie i bez słowa ruszył wzdłuż kamienic. Po kilku krokach gwałtownie przystanął.

– Skóra powinna zostać poddana analizie biologiczno-chemicznej – powiedział, nawet się nie odwróciwszy. To może przynieść znacznie więcej korzyści niż analiza grafologiczna i jej podobne. Autor wiadomości robił wszystko, żeby zmienić swój oryginalny charakter pisma, nacisk środka pisarskiego i tak dalej. Musiał się nieźle przygotować.

– Coś jeszcze? Błagam, daj mi coś jeszcze...

Ku rozczarowaniu Berga Honoriusz nie powiedział już nic więcej. Przez chwilę kluczył uliczkami Kazimierza, wreszcie wszedł na podwórze, gdzie mieściła się jego pracownia, i zabrzączał pękiem kluczy. Od razu dostrzegł jednego z chłopców, czuwającego w głębi bocznej bramy. Ktoś inny palił papierosa na balkonie. Z daleka widać było jedynie pomarańczowy punkcik żaru.

Mond pośpiesznie zbiegł po schodach i otworzył kłódkę. Po chwili znalazł się w pachnącym środkami konserwacyjnymi wnętrzu. Uwielbiał ten zapach i w ogóle to miejsce. Renowacja zabytkowych mebli miała wiele wspólnego z balsamowaniem zwłok. Pamiętał godziny spędzone przy ojcu, który przed ponad dwoma dekadami był jednym z nielicznych polskich specjalistów w tej dziedzinie. Potrafił działać prawdziwe cuda i to on sprawił, że Mortalista od dziecka obcował ze śmiercią. Obcował i ją zupełnie oswoił. W ich domu śmierć nigdy nie stanowiła tematu tabu. Ani śmierć, ani umieranie, ani starość. Aż do dzisiaj.

Jednak nigdy nie porozmawiał z ojcem o śmierci swojej siostry. Było wiadome, że widział jej ciało, nawet bez wiedzy ojca przygotował je do pogrzebu, ale w tym przedmiocie spuścili zasłonę milczenia. W dorosłym życiu nigdy nie zapytał go również o Kanclerza.

– Przestań – syknął sam do siebie, aby uciąć te rozważania. – Daj spokój!

Otworzył górną szufladę szyfoniery i nacisnął ukryty przycisk. Wtedy odskoczyła część wierzchniego blatu, pod którą mieściła się sprytna skrytka wydrążona w słoju drewna. Mond wyciągnął z niej niewielkie zawiniątko. Ostrożnie je rozpakował i upewniwszy się, że zasłonka

w wąskim oknie jest opuszczona, położył na biurku. Pochylił się nad skalkowanym tekstem oraz malutkim fragmentem skóry, który odciął z całości załączonej do przesyłki. Po chwili wyjął mikroskop i kilka odczynników chemicznych. Skrzętnie zabrał się do roboty. Intrygowała go pewna koncepcja.

## DZIEŃ DRUGI

25



Mond przetarł zmęczone, przekrwione oczy. Była szósta rano, a on w ciągu ostatnich godzin kilkukrotnie pokonywał trasę z Hotelu Francuskiego na Kazimierz, do swojej pracowni. Dwukrotnie udało mu się skorzystać z hulajnogi elektrycznej, ale potem ktoś zabrał ją niemal z podwórza kamienicy. Zadumany, wcale się tym nie przejął. W trakcie niespełna półgodzinnych spacerów mógł zebrać myśli oraz rozważyć nowe pomysły.

Z kuwety na odczynniki dobiegł cichy syk. Takiej reakcji się nie spodziewał. Małą pincetą wyciągnął kawałek skóry, po czym odłożył go do czystego naczynia. Zachowany przez siebie fragment materiału podzielił na cztery części mierzące niewiele więcej niż główka szpilki. Dwie zostały już niestety całkowicie uszkodzone.

Wyniki nadal nie zadowalały Honoriusza. Zaintrygowanie światem materii organicznej, reakcji chemicznych oraz botaniki wyniósł z domu, lecz czas rzadko pozwalał mu na zgłębianie tej pasji. Teraz przynajmniej znalazł ku temu wymówkę. Być może była nią również praca dla Szmit, w trakcie której zdarzało się, że jego wiedza praktyczna się przydawała. Teraz jednak w ogóle się nad tym nie zastanawiał.

Mortalista zerknął na zegarek i poprawił mankiet koszuli. W myślach odliczył kilkanaście sekund, po czym ponownie sięgnął po pincetę. Tym razem włożył ją do wysokiej fiolki z grubego szkła. Zamieszał wypełniającą ją ciecz, a następnie chwycił szczypczykami ostatni z pozostałych mu kawałków skóry. Wyciągnął go bardzo ostrożnie, nie chcąc, by zahaczył o ścianki naczynia.



– Transcendencja empiryczna – szepnął, z dziecięcą ciekawością wybałuszając oczy. – Czy też empiryzm transcendentny?

Pytanie, które zadał samemu sobie, nie uzyskało odpowiedzi. Właściwie nie miało tego na celu. Lubił zabawiać się pewnymi figurami retorycznymi dla samych wrażeń dźwiękowych. Uśmiechnął się krzywo i zerknął na kawałek skóry pod światło. Zaskoczony jakąś obserwacją, przełożył go na szkiełko leżące pod mikroskopem. Włączył małą diodkę, po czym nachylił się nad okulem. Przez kilka sekund bardzo ostrożnie oglądał sporządzony preparat.

– A jednak transcendencja.

Wyprostował się i poprawił węzeł krawata. Swoim zwyczajem przez kilka sekund wpatrywał się w pustą ścianę. Wreszcie cicho mlasnął i energicznie zatarł dłonie. Sprawiał wrażenie człowieka, który w tym momencie podjął przełomową decyzję. Sięgnął po leżący na biurku telefon, po czym bez dalszego namysłu wybrał numer. Połączenie zostało odebrane niemal natychmiast.

## 26



– Szczerze mówiąc, jestem dość mocno rozczarowany. Myślałem, że okaże się, że wiadomość napisano na skórze ludzkiej.

Berg spojrział na Monda spode łba. Nie do końca rozumiał, co miał na myśli Mortalista.

– Jesteś rozczarowany czy oczarowany? Bo jeśli to pierwsze, to tylko potwierdzi się moje przypuszczenie, że jesteś po prostu zboczeńcem. Że kręci cię śmierć, umieranie i to wszystko...

– A przed spaniem przebieram się w fatałaszkę wyciągniętą ze starych trumien. Było już paru takich... – Mond delikatnie się uśmiechnął. – Już gdzieś o tym słyszałem. Bo owszem, jestem rozczarowany. Choć wszystko jest oczywiście kwestią motywacji i perspektyw.

– Kompletnie cię nie rozumiem. Ale to nic nowego.

Berg przecesał palcami włosy i zwiesił głowę. Był tak zmęczony, że zasypiał na stojąco. Gdy Honoriusz do niego zadzwonił, pracował już w komendzie nad najnowszym raportem techników. Przez całą noc nie zmrużył oka. Gdy Mond się przyznał, że zostawił sobie maleńki fragment materiału dowodowego, Berg nawet nie zareagował przesadnie gniewnie. Po prostu westchnął, jakby brał to za coś całkowicie normalnego. Ba! Jakby się właśnie tego spodziewał.

Teraz, gdy przemierzali budzący się do życia rynek, starał się przeniknąć sposób rozumowania Honoriusza. Od czasu do czasu zerkał na pierwszych turystów szukających otwartych restauracji i kawiarni albo na pracowników miejskich polewających bruk wodą ze szlauchów. Metoda przeniesiona wprost z gorących krajów śródziemnomorskich.

Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Na niebie nie było ani jednej chmurki, a choć dopiero dochodziła ósma, powietrze przypominało konsystencją parę w gorącej saunie. Unosił się w nim przyjemny zapach parzonych kaw, ustawionych w ogródkach kawiarni róż oraz perfum przechodniów.

– Gdyby to była skóra ludzka, można by dynamiczniej ruszyć do przodu – oznajmił Mond. – Znacznie łatwiej określić potencjalną ofiarę w postaci człowieka niż jakiegoś anonimowego woła. I wiem, że niektóre byki są warte więcej niż dobry samochód, ale w tym przypadku pergamin kupiono na sztuki...

– Można go kupić? – zdziwił się Berg. – Myślałem, że nie używa się go od setek lat.

– Można go kupić w tak wielu miejscach, że nie ma sensu nawet tego sprawdzać. Między innymi ta okoliczność jedynie uwypukla moje rozczarowanie. A zarazem mnie deprymuje.

Komisarz parsknął. Zerknął na wejście do sukiennic i przystanął w jego cieniu. Po skroniach ściekały mu strużki potu.

– Może ten ktoś chciał ci zrobić przykrość – rzucił sarkastycznie. – Myślałeś nad tym? „Rozczarowania gwoździem do trumny Mortalisty”. Już widzę te nagłówki.

– Przypuszczam, że akurat z tym sobie poradzę. To tylko drobne prywatne porażki. Zupełnie nieznaczące w porównaniu z pańskimi, zawodowymi.

– Trafiony zatopiony. Pozamiatane.

Mond wzruszył ramionami i schował dłonie do kieszeni. Przed spotkaniem z komisarzem wrócił do hotelu, ogolił się i zmienił koszulę, ale na nogawkach spodni widział kilka kropli pozostałych po rozbryzgniętych odczynnikach chemicznych. Nie starał się ich nawet ścierać, wiedząc, że to całkowicie daremne. Mimo to podobne niedoskonałości stroju głęboko go irytowały.

– Zastanawiałem się nad tym telefonem – odezwał się po chwili. – Mam nadzieję, że wyniki moich badań potwierdzi laboratorium, lecz to, że nadawca zwrócił się do mnie, wymaga oddzielnego przeanalizowania.

– To twoje okrągłe gadanie przyprawia mnie o dreszcze.

– Spokojnie, panie komisarzu. Już przechodzę do kolejnego konkretnego.

– Mianowicie?

Mond wyciągnął z kieszeni cygaretkę, wsadził ją do lufki i odpalił. Delektował się narastającym zniecierpliwieniem komisarza. Wreszcie wypuścił kłąb gęstego, aromatycznego dymu i odkaslnął.

– Być może wcale nie chodziło o mnie – oznajmił. – Mimo że Telefonista zawsze dzwonił do swoich przyszłych ofiar...

## 27



Berg kilkukrotnie ciężko sapnął, wreszcie zrobił parę kroków, by zwalić się na ławkę. Tego było dla niego zdecydowanie zbyt wiele. Po nieprzespanej nocy zmęczenie dochodziło do głosu i gorącymi falami rozlewało się po całym jego ciele. Potrzebował kawy, ale od kilku tygodni był na odwyku kofeinowym. Zalecenia lekarza były klarowne. Jego serce nie powinno dostawać żadnych dodatkowych pobudzaczy poza tymi,

których dostarcza mu jego praca. Albo, ewentualnie, żona. Choć był jeszcze stosunkowo młody, w zasadzie w sile wieku, genetyka oraz styl życia dawały się we znaki. Założył dłonie za głowę i spojrzał w niebo.

– W takim razie o kogo może mu chodzić? – zapytał, nie opuszczając wzroku. – Pod warunkiem że to rzeczywiście Telefonista.

Mond usiadł obok Berga i również spojrzał w niebo. Wyglądali, jakby obserwowali jakiś niewidoczny dla innych samolot.

– Przypuszczam, że to może nie być on – stwierdził Honoriusz.

– A jednak odniosłeś się do niego...

– W sensie, że to on i nie on, zarazem.

Berg podniósł brwi i zrezygnowany zerknął na Monda. Nim zdołał cokolwiek wyartykułować, Mortalista mówił dalej:

– Rozmawiam z panem całkowicie szczerze, komisarzy. Są rozmaite osoby inicjujące zło. Doskonale pan o tym wie. Dark web czy tam darknet, fora dla najgorszych dewiantów, ogromne pieniądze, sponsoring zbrodni i bestialstwa... Mam to rozwijać jeszcze bardziej?

– Nie. Wiem, o czym mówisz, ale nie mam pojęcia o kim.

– Jest ktoś, kto kilkakrotnie stał za plecami śmierci pojawiającej się niedaleko mnie.

Berg założył nogę na nogę i ponownie odchylił się w ławce. Nikt z przechodniów nie zdałby sobie sprawy, na jak poważny temat rozmawiają.

– Z okrągłych zdań przeszedłeś niemal na poezję – parsknął. – Ale nic mi to nie mówi.

– Moja kuzynka. Kiedyś panu o niej opowiadałem.

– To ona za tym stoi?

– Nie. – Mond rzucił niedopalone montecristo do nieodległego kosza na śmieci. – To o nią może chodzić. Czasem mam wrażenie, że ktoś na nią poluje od lat.

Berg gwałtownie się wyprostował i wstał z ławki. Zapiął marynarkę, po czym gniewnie pokręcił głową.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć dorwać twoją kuzynkę? – zdziwił się.

– Bo jest jeszcze lepsza niż ja – odparował Mond. – Bo opracowała metodę prognostyczną typowania zbrodni. Słyszał pan o niej?

– Coś niecoś.

– To jej dzieło. W Polsce oczywiście nikt by się tym nie zainteresował, więc pracowała w Anglii, a potem w USA. Wykorzystywała dane zbierane przez kamery i inne systemy monitorowania przepływu ludzi do statystycznego prognozowania zbrodni. W idealnym modelu konkretne służby powinny wtedy częściej lustrować dany teren. Przystępczość w kilkunastu miastach objętych pilotażowym programem spadła o ponad pięćdziesiąt procent. Rozumie pan? O ponad połowę!

Berg tęsknie zerknął na kobietę z kubkiem parującej kawy w dłoni. Po chwili ponownie skupił uwagę na Honoriuszu.

– Jej karierę ukręcono – ciągnął Mond. – W sprawę wdarła się polityka, a potem jakieś niezrozumiałe rozgrywki. Już wtedy przeczuwałem, że coś się dzieje i że jej osiągnięcia mogą komuś przeszkadzać. To nie budziło wątpliwości.

– I ten ktoś miałby ścigać ją aż na naszym polskim zadupiu? – Berg najwyraźniej nie był przekonany. – Po raz pierwszy mam wrażenie, że naciągasz fakty do swojej teorii, Mortalisto. Nie wyciągasz danych z okoliczności śmierci, lecz starasz się ściągnąć śmierć bliżej siebie.

– Dokładnie tego się po panu spodziewałem.

Mond nasunął głębiej kapelusz, podniósł się z ławki i ruszył w stronę Floriańskiej. Uwaga Berga zaboląła go znacznie bardziej, niż dał po sobie poznać.

– O, kurwa!

Przekleństwo rzucone przez komisarza musiało odnosić się jednak do czegoś innego. Momentalnie się odwrócił i spojrzał na pobladłą twarz policjanta.



Mond zgodził się jechać razem z Bergiem do zakładu medycyny sądowej. Przez całą drogę policjant nie odezwał się niemal słowem, a on nie dopytywał się o przyczynę jego zdenerwowania. Zresztą wszystko miało wyjaśnić się niebawem. Poza tym nie spodziewał się niczego dobrego po oględzinach zwłok odnalezionych w mieszkaniu. W apartamentowcu, gdy tylko zobaczył denatkę, nabrał pewnych podejrzeń, o których wolał wówczas nie wspominać. Teraz był ciekaw, czy się potwierdzą.

– Idziemy. – Berg, zatrzymawszy auto, rzucił tę komendę, jakby obawiał się, że Honoriusz zostanie w radiowozie.

– Pańskie słowo jest dla mnie rozkazem – sarknął Mond. – Nie może być inaczej.

– Lubisz to miejsce, co? Pewnie znasz je od dziecka?

– To przytyk czy pytania potencjalnego biografy?

– Gdybym miał na twojej biografii zarobić lepiej niż na tej robocie... Powinienem to przemyśleć. A to całkiem możliwe.

Berg wbiegł po schodach i pchnął skrzydło potężnych drzwi. Po chwili mężczyźni znaleźli się w przestronnym holu starego budynku. Mimo że były wakacje, musiały się odbywać w nim praktyki studenckie, gdyż kilkoro ciemnoskórych dwudziestokilkulatków właśnie żywiłowo rozmawiało, popijając kawę. Nim ruszyli w głąb budynku, Mond dostrzegł zwalistą sylwetkę doktora Pudwela. Około sześćdziesięcioletni lekarz, swoim zwyczajem oczekując na gości, musiał zerkać w podgląd monitoringu, który miał zainstalowany w swoim komputerze. Zazwyczaj poczuwał się, by wyjść do przybyłych aż do holu. Tak było i tym razem. Nadszedł czas oficjalnych powitań.

– Co za duet! – krzyknął, podchodząc. – Dobrany jak człowiek i grzyb, że tak powiem. Słyszeliście to?

Zamiłowanie Pudwela do specyficznych dowcipów było szeroko znane, toteż ani Berg, ani Mond nie zdziwili się jego słowami. Po chwili lekarz dodał:

– Żywi ludzie zjadają martwe grzyby, a żywe grzyby zjadają martwych ludzi. Ciekawe, co?

Berg się skrzywił i zmarszczył czoło, a Mond nieznacznie się uśmiechnął.

– Czy w pańskim porównaniu zdefiniowano, który z nas jest grzybem, a który człowiekiem? – zagadnął. – Czy w tym przypadku to nie jest istotne i chodzi jedynie o symbiozę?

– Skoro przyjechaliście radiowozem, pan jest, Honoriuszu, że tak powiem, jedynie pasożytem.

Mond uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– *Touché!*

– Miło mi, że żonglujecie sobie słówkami. – Berg bezpardonowo przepchnął się obok Pudwela i ruszył w głąb korytarza. Był niemal tak samo postawny jak lekarz, choć nosił się znacznie bardziej prosto. Patolog chodził przygarbiony, z nieco zwieszoną głową, lecz Mond uważał, że to jedynie jego poza, a nie naturalna pozycja. – Wybaczcie, ale chciałbym to załatwić, nim przyjdzie południe i się rozplynę. Gdzie jak gdzie, ale w zakładzie medycyny powinno być chłodno...

Pudwel zerknął na Monda i kiwnął głową. Odwrócił się, po czym podążył ze Bergiem.

– Co fakt, to fakt – bąknął. – Swoją drogą nie wiem, czy zamknąłem szufladę chłodniczą. Ha, ha. Gdy wam pokażę, w czym rzecz, skończą się żarty. To się w pale nie mieści. Nawet w tak wielkiej i łysawej jak moja. I mam tu na myśli głowę... Nie myślcie sobie.

Lekarz, mówiąc to, nawet się nie uśmiechał. Wydawał się zafrasowany znacznie bardziej niż zwykle. A o to było naprawdę trudno.



Całe szczęście, że ogródki pracownicze przed laty sprywatyzowano, a przynajmniej wszystkich zainteresowanych dopuszczono do pozornego obrotu. Adam Lambicz nabył jeden z nich za równowartość trzymiesięcznej pensji oraz flaszkę średniej jakości wódki. Takie były jeszcze czasy. Po szaleństwie pandemii oraz fali inflacji podobny areał był wart trzy albo nawet cztery razy więcej. Inwestycja marzenie. Tym cenniejsza, że jego żona przed laty twierdziła, że na tej transakcji straci nie tylko pieniądze, ale i zdrowie. Teraz w ogóle nie poruszała tematu.

Lambicz nie zamierzał jednak spieniężać marzeń. Dziesięć, piętnaście lat temu nawet przez myśl by mu nie przeszło, że własna działka może dostarczyć tylu przyjemności. Największą z nich była możliwość snucia planów oraz fantazji. Dawanie upustu wyobraźni twórczej. W końcu działka przypominała małe dzieło sztuki. Lambicz, niczym Michał Anioł z kamienia, tak on z powietrza oraz ziemi zamierzał wykuwać kształty i barwy. Nie było to wcale gadanie na wyrost. Naprawdę wierzył, że w tym miejscu, zgodnie z biblijnym nakazem, czynił sobie „ziemię poddaną”.

– Nowe nawodnienie?

W pierwszej chwili Lambicz nie zrozumiał pytania zadanego przez sąsiadkę. Wścibska, wiecznie nadmiernie pobudzona doktorowa Holska zaglądała ponad żywopłotem z ligustru. Stała zapewne na niskiej drabince, udając, że podcina roślinę ze swojej strony. W rzeczywistości co najmniej raz dziennie weryfikowała, co się dzieje na sąsiedniej działce.

– Nie – krótko odparł Lambicz.

– Nie? W takim razie po co panu takie rurki i kable?

Mężczyzna otarł pot z czoła i podniósł się z klęczek. Rzucił na ziemię saperkę oraz rękawiczki. Zerknął na rezultat swojej pracy z ostatnich godzin. Myślał, że pójdzie mu znacznie szybciej i łatwiej, ale w kilku miejscach grunt był bardzo ubity.

– To tylko obieg zamknięty wody dla fontanny. – Wskazał na stojące przed altaną pudełko. – Muszę dociągnąć wodę ze studni.



– Fontanny? Kupiłeś pan sobie fontannę?

– Właśnie tak.

– Pewnie kosztowała majątek?

Lambicz zagryzł usta, by powstrzymać przekleństwo. Powiódł wzrokiem po idealnie przyciętych krzewach, po zaimpregnowanej przed miesiącem altanie, wreszcie na powrót spojrzął na pomarszczoną bladą twarz Holskiej. Kobieta miała na głowie swój ulubiony słomkowy kapelusz, który zapewne pamiętał czasy jej dzieciństwa. Czyli mniej więcej okres wypraw krzyżowych i powstania państwa polskiego.

– Owszem, kosztowała całkiem sporo – powiedział, siląc się na łagodny ton. Zdobył się nawet na szeroki uśmiech. – Ale czego się nie robi, żeby sobie dogodzić i uprzyjemnić pobyt na działce, prawda? Wie pani o tym jak nikt inny. Zasadziła pani już ten klon?

Manewr sprawdził się doskonale. Holska udała, że nie słyszy, i pośpiesznie opuściła pozycję na drabince. Znikła za żywopłotem, a Lambicz po chwili usłyszał trzaśnięcie drzwi jej maleńkiej altanki. Klon palmowy był marzeniem kobiety i mówiła o nim niemal bez przerwy. Opowiadała o blisko dwumetrowej roślinie, którą upatrzyła w jednej ze szkółek, a którą specjalnie dla niej ponoć zarezerwowano. Trwało to już dwa lata i opowieści przybierały coraz bardziej fantastyczny ton. Klon miał być tak duży, że trudno było zorganizować transport, jego liście miały mieć kolor przypominający płomienie ognia, a pień być tak ozdobny, że podziwiać go przyjeżdżali wybitni dendrolodzy. Fakt faktem, poza opowieściami po drzewku nie było śladu.

Lambicz ponownie klęknął i założył rękawice. Sięgnął po saperkę. Kiedy zabierał się do roboty, postanowił, że koniecznie musi zasadzić jakieś drzewa. Coś iglastego, żeby przez cały rok zasłaniały go od Holskiej. To było jedyne wyjście.

– Postanowione – szepnął sam do siebie, jakby przypieczętował jakiś zakład.



Doktor Pudwel przepuścił Monda i Berga w progu. Miał zamiłowanie do pewnych teatralnych akcentów, lecz tego dnia poza zdobyciem się na kilka specyficznych żartów pozostawał najzupełniej poważny. Gdy cała trójka znalazła się w pomieszczeniu, gdzie mieściły się chłodnie, bez słowa podszedł do jednej z nich. Zatrzymał się przy niej i dał znać, by jego goście podeszli jeszcze bliżej.

– Mamy się specjalnie przygotować? – zagadnął Berg. – Nie rozumiem, o co chodzi. Dzwoni pan, mówiąc, że całe śledztwo szlag trafi, ale...

– Bez pośpiechu – uspokoił go Pudwel. – Zmarli nigdzie nie uciekną. Ich tajemnice również.

– Ale to żywym brakuje czasu.

Mond drgnął, słysząc swój nieco oklepany *bon mot*. Kilkukrotnie go powtarzał, w pełni przekonany o jego słuszności, lecz teraz komisarz bezpardonowo go sobie przywłaszczył.

– Niech się pan nie niecierpliwi. Zmarli potrafią nas nauczyć, że tak powiem, trupiej dyscypliny.

Pudwel otworzył szufladę i wyciągnął ją z komory. W środku znajdowało się ciało umieszczone w specjalnym worku, ale lekarz w ogóle się nim nie zainteresował. Zamiast tego sięgnął do niewielkiego plastikowego pudełka umieszczonego poniżej zwłok.

– Procedury wymagają przechowywania tego oddzielnie – wyjaśnił konspiracyjnie przyciszonym tonem – ale przyznam, że i ja nie miałem wystarczająco dużo czasu. Nie chciałem do was wychodzić z rzeczami zmarłej, więc... To dla was. Część materiału dowodowego.

– Ubrania zostały złożone oddzielnie? – dopytał Mond.

– Tak. Jeszcze dziś przekażę je technikom.

Berg wziął podane mu przez doktora rękawiczki i starannie je nałożył. Otworzył wieczko pudełka, po czym wyciągnął z niego klucze, breloczek w kształcie sowy oraz telefon komórkowy.

– Liczyłem na portfel i dokumenty – stwierdził rozczarowany. – Choć telefon również może się do czegoś przydać.

– Bateria jeszcze trzyma – zauważył Pudwel. – Nie wyłączyłem go, choć kiedyś wasi ludzie narzekali, że po rozładowaniu baterii trudniej jest złamać jakieś zabezpieczenia... Nie znam się na tym.

Mond milczał. Baczenie przypatrywał się oglądanym przez Berga przedmiotom. Wpierw jego szczególną uwagę zwrócił breloczek. Wyciągnął ku niemu dłoń i ruchem palca nakazał, by komisarz obrócił go na drugą stronę.

– Hę? – Berg niechętnie spełnił zadość jego niememu poleceniu. – Breloczek jak breloczek. Nic ciekawego.

– Tak, ale taka drobnostka potrafi powiedzieć o człowieku więcej niż dziesięć osób. Dlaczego ma taki kształt? Do czego służył? Sowa ma różną symbolikę, a niektórzy się jej wystrzegają... Dawniej oznaczała śmierć i mrok nocy. Czy mamy pewność, że to własność zamordowanej kobiety, czy może gadżet zostawiony przy niej przez zabójcę?

Pytania Monda wywołały uśmiech podziwu Pudwela. Lekarz kiwnął głową i splótł ręce na piersi. Przygarbił się jeszcze bardziej niż dotąd, a na jego czole pojawiła się pozioma zmarszczka.

– Znalazłem go w jej kieszeni – wyjaśnił. – Wszystko szczegółowo opisałem w protokole.

– Sowa to również symbol adwokatury – ciągnął Mond. – Tym bardziej właśnie w takiej formie, z książką oraz w okularach. To wcale nie jest zwykły breloczek kupiony w kiosku... Przemyślany, rozmyślny zakup albo nawet prezent. Poprzecierany i być może noszony jako amulet.

– Twierdzisz, że ta kobieta była adwokatem? – Berg westchnął. – To byłoby coś ciekawego...

– Nadal nie ustaliliście, do kogo należało mieszkanie? – Mond się skrzywił. – Tak, wiem, obstawiam, że zostało zakupione na kogoś innego, z kim nie możecie się skontaktować. Fundusz inwestycyjny? W środku widziałem jednak sporo książek prawniczych. Obstawiam jednak zupełnie inny zawód...

Pudwel przerwał jego wywód głośnym chrząknięciem.

– Pozgadujecie za chwilę. Nie przeszedłem jeszcze do najciekawszego...  
Nim doktor zdołał to zrobić, rozdzwonił się telefon komisarza Berga.

### 31



W chwili, gdy Pudwel przechodził do momentu kulminacyjnego swojego niezbyt rozbudowanego spektaklu, komisarz Berg otrzymał informację, że zamordowana kobieta została zidentyfikowana jako Rozalia Newska. Zgodnie z przypuszczeniami Monda była związana ze środowiskiem prawniczym, choć jako prokurator, co do zasady stała po drugiej stronie barykady niż symbolizowani przez sowę adwokaci. Mimo wszystko breloczek mógł mieć na celu przynosić jej szczęście w trakcie rozpraw lub być upominkiem od kogoś bliskiego. W każdym razie komisarz lada moment miał otrzymać bardziej szczegółowe informacje o zamordowanej. Śledztwo nabierało rumieńców. Albo przynajmniej symbolicznych wypieków.

Berg był wyraźnie zirytowany udaną dedukcją Mortalisty. Jakby chcąc mu dorównać, zaczął oglądać w tę i we w tę telefon znaleziony przy ofierze. Robił to przez folię ochronną, choć okazało się, że jakimś cudem aparat się odblokował. Być może zresztą całkowicie zdjęto z niego blokadę.

– To właśnie z nim wiąże się najciekawszy element autopsji... – odezwał się Pudwel. Gdy Berg podniósł na niego wzrok, dodał: – Wyciągnąłem go z krocza tej kobiety. Został w nie dosłownie wbity, rozrywając to i owo... Chyba nie muszę zagłębiać się w szczegóły.

Komisarz momentalnie zdrętwiał. O mały włos nie wypuścił woreczka z telefonem, co natychmiast wykorzystał Honoriusz. Delikatnie sięgnął po zawiniątko i wziął je od Berga. Informacja podana przez lekarza nie wywarła na nim większego wrażenia. Zdawało się nawet, że się jej

spodziewał. Na szczęście klawisze działały przez folię, więc wykonał kilka operacji.

– Co ty majstrujesz? – warknął Berg, otrząsając się z zaskoczenia. – To dowód, lepiej go nie ruszaj.

– Już został ruszony – bąknął Honoriusz. – Chwileczkę...

W tym samym momencie odezwał się dzwonek jego telefonu. Mond kiwnął głową, po czym oddał woreczek z komórką komisarzowi. Ten wziął go znacznie ostrożniej niż wcześniej.

– To telefon, z którego do mnie zadzwoniono – oznajmił Mortalista oschłym tonem. – Zapewne wśród ostatnio wybranych numerów znajduje się ten należący do kwiaciarni.

– Cacy – wtrącił się Pudwel. – Wydaje mi się, że w tym momencie mogę zostawić was samych i zająć się moimi pacjentami.

– Zdaje się, że tak – przyznał Mond. – Komisarz Berg weźmie ze sobą woreczek dowodowy, musimy jedynie wypełnić papiery...

– Owszem.

Berg ponuro kiwnął głową. Nie spuszczał wzroku z Honoriusza, który zdawał się całkowicie tego nie dostrzegać. Wpatrywał się w ścianę ponad ramieniem Pudwela i głośno myślał.

– Skoro dzwonił z tego telefonu, a potem wepchnął go tam, gdzie wepchnął, znaczy to, że faktycznie znajdował się wtedy przy tej kobiecie. Musiałem dosłownie się z nim minąć. Ogromnie ryzykował, ale musiało to stanowić element jego gry... Tak jak ostatnia wiadomość, którą mieliśmy odczytać właśnie teraz.

– O czym ty mówisz? – Berg parsknął, usiłując zwrócić na siebie uwagę. Mało brakowało, by zaczął machać lub skakać. – Halo, ludzkość do Mortalisty, jesteście tu. *Mayday, mayday!*

Mond włożył dłonie do kieszeni i wreszcie odwrócił się w jego stronę.

– Proszę odczytać ostatnią wiadomość tekstową – stwierdził. – Morderca wysłał ją właśnie do nas.



– Co to ma znaczyć? – Berg fuknął. Zabębnił palcami w kierownicę, zwiększył moc klimatyzacji, wreszcie uchylił okno. Do środka wpadł nieco ożywczy pęd powietrza. Mimo to po chwili odnosiło się wrażenie, że jego głównym składnikiem jest kurz, więc komisarz ponownie uniósł szybę. Był wściekły. – Jasna cholera, kiedy te upały wreszcie się skończą? Czuję się jak na safari po Saharze. W ustach mam więcej pyłu niż śliny.

Siedzący obok niego Mond jak zwykle pozostawał pozornie obojętny na wszystko, co działo się wokół. Z kamienną twarzą wpatrywał się w drogę przed nimi. Zbliżali się właśnie do mostu Piłsudskiego, na którym auta tkwiły w ogromnym korku, choć przecież godziny szczytu były już za nimi.

– Na pańskie drugie pytanie nie mogę odpowiedzieć – odezwał się Honoriusz. – Prognozy zostawiam synoptykom, ale wiem, że ten człowiek ma naturę hazardzisty. Stawia wszystko na jedną kartę, choć wiele ryzykuje. Nie zależy mu na tym.

– To wniosek po odczytaniu krótkiego esemesa?

– „Wkrótce nadejdą kolejne ofiary, a ja z nimi też” – Mond zacytował jego treść. – Po co to pisał? W jakim celu?

Pytania zawisły w powietrzu do momentu, aż Berg nerwowo wzruszył ramionami.

– Po to, abyśmy wiedzieli, że to jeszcze nie koniec. Że ma swój plan i że musimy być czujni. Wielu seryjnych morderców chełpi się swoimi ofiarami, ale niewielu pisze o tym, że dokona kolejnych zbrodni. Przynajmniej nie w chwili, gdy właśnie kogoś zabili.

– Ja nie widzę w tym nic niezwykłego.

– Wręcz przeciwnie. Proszę tylko pomyśleć o zbrodni jako o napięciu seksualnym.

Berg łypnął na Monda i przewrócił oczami. Ponownie skupił się na prowadzeniu, a jako że właśnie wjechali w zator drogowy, włączył

stroboskop. Kierowcy stojący przed nimi mozolnie zaczęli tworzyć korytarz życia.

– Wybacz, ale na samą myśl, że mógłbym tak pomyśleć, robi mi się niedobrze.

– Dlatego ogranicza pan swój umysł. Wszystkie tabu odbierają nam perspektywę. – Mond przymknął oczy i odchylił się w fotelu. Po chwili mówił dalej: – Klasycznie seryjni mordercy dokonują zbrodni kierowani niemal dokładnie tymi samymi bodźcami, którymi kieruje się kochanek zaspokajający swoje libido.

– Niech nawet tak będzie, co z tego?

– To, że po zaspokojeniu zazwyczaj nie mamy ochoty zabierać się do zabawy po raz kolejny. Potrzebujemy chwili przerwy. Potem znów się uaktywniamy i możemy tworzyć listy ostrzegające policję. W tym przypadku taki list, w formie wiadomości tekstowej, napisano, mówiąc obrazowo, niemal tuż po stosunku.

– I o czym to świadczy?

Honoriusz otworzył oczy i zerknął na Monda.

– Nie wiem. To byłyby kolejne prognozy pogody. Nie mam jednak wątpliwości, że to ważny element składający się na całościowy obraz sprawcy. Ryzyko nie jest dla niego ważne i nie chodzi również o samo zaspokojenie pragnienia. To coś znacznie głębszego.

– Brzmi mało optymistycznie.

– Świat nie jest optymistyczny, komisarzu.

Berg mruknął coś niezrozumiale. Zjechali właśnie z mostu i ruch stał się tu nieco bardziej płynny, dlatego komisarz wyłączył stroboskop, jednocześnie znacznie zwolniwszy. Nigdzie się teraz nie śpieszyli. Tymczasem policjantowi zależało na uzgodnieniu z Mondem jak największej liczby faktów. Honoriusz doskonale zdawał sobie z tego sprawę, więc cierpliwie czekał na pytania lub sugestie.

– Ta ofiara... – odezwał się wreszcie Berg – pani prokurator... Jesteś pewny, że będą kolejne?

– Znowu chcesz, abym powiedział o jedno słowo za dużo. Ale myślę, że będę mógł ci pomóc.

– Na jakich zasadach?

– Chcę informacji o zamordowanej oraz akta sprawy Telefonisty. Allegra dostaje do nich taki sam dostęp jak ja i traktuje ją pan z należyтым szacunkiem.

Berg nawet się nie skrzywił.

– To chyba mogę zaakceptować...

– Nie może pan, lecz musi. To warunek *sine qua non*.

– Okej. Niech będzie. – Komisarz z zaintrygowaniem ponownie zerknął na Monda. – Zdradzisz mi chociaż, dlaczego poszło mi tak łatwo? Dlaczego ta sprawa tak bardzo cię zainteresowała i nie postawiłeś warunków niemożliwych do spełnienia?

Mortalista na powrót spojrział przed siebie. Jego twarz ponownie nie zdradzała najmniejszych emocji. Jedynie spojrzenie wydawało się czujniejsze niż zwykle.

### 33



Nadchodził wieczór. Allegra czekała na Monda w swoim przestronnym, jasnym apartamencie. Ściany były pomalowane na krzykliwe kolory, ale i tak większość ich przestrzeni pokrywały rozmaite dzieła sztuki – obrazy świętych wszelkich znanych ludzkości religii, buddyjskie mandale w zdobionych ramach, gabloty z amuletami oraz miniaturowe kapliczki.

Wystarczyło kilka minut, by Mond streścił jej wydarzenia ostatnich godzin. Zrobił to we właściwy sobie, usystematyzowany i wyjątkowo konkretny sposób. Szmit nie musiała nawet o nic dopytywać. Nie zdziwił jej również fakt, że Honoriusz angażuje ją do prowadzonego śledztwa.

– Przeczuwałam, że tak to się skończy – zawyrokowała, gdy na stole krytym wielkim plastrem drzewa wylądowało kilka tomów akt. – Od



początku coś cię łączyło z tą sprawą. Tkwieś w niej, choć nie chciałeś się do tego przyznać... Nie przez przypadek zadzwoniono właśnie do ciebie.

Mond westchnął. Nie podzielił się ze Szmit żadnymi wątpliwościami dotyczącymi Kanclerza ani swojej kuzynki. Allegra miała jednak nieznaną nauce szóstą czy też siódmą zmysł, pozwalający jej domyślić się znacznie więcej, niż chciał zdradzić. Jego logiczny umysł całkowicie tego nie pojmował. Dopuszczał, że stanowi to jedynie jakiś wyłom w sferze objętej jego wrażliwością, co w końcu mogło znaleźć statystyczne usprawiedliwienie. Miał nawet na to przykład. Wśród stu osób musiał się trafić choć jeden przypadek nieobjęty nauką. Szmit była właśnie takim rodzynkiem w stadzie baranów, których Mond potrafił przejrzeć po pierwszym rzuceniu okiem.

– Tylko nie proponuj mi chichy – zastrzegł, rozkładając kolejne teczki.  
– Nieważne, czy ma smak truskawkowy, czy mango, ale to jad Indianek w najczystszej postaci.

– Napój bogów.

– Napojem bogów są wino oraz ambrozja, ewentualnie absynt. Dlaczego w tej kwestii nie przetrzucisz się do innego kręgu kulturowego?

– Bo musiałabym zaakceptować garum. Ponoć jego smród potrafi powalić dorosłego byka.

– W takim razie, jeśli kolejny raz poczęstujesz mnie chichą, wiesz, co podam ci na następnym spotkaniu.

Szmit zachichotała i upiła łyk czerwonego, lekko spienionego napoju. Oblizwała usta, po czym sięgnęła po jedną z teczek.

– Czego szukamy?

– Wiesz dokładnie tyle co ja – bąknął Mond. – Mam wrażenie, że w tym wszystkim jest znacznie mniej przypadkowych elementów, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. I nie chodzi tylko o mnie.

Szmit przetrzuciła kilka stron, po czym zmrużyła oczy. Po chwili przeniosła zaskoczony spojrzenie na Honoriusza.

– To akta sprawy tego Telefonisty? Matko Boska Nieprzypadkowa...

– Co się stało?

– To. Powiesz mi, że o tym nie wiedziałeś?

Allegra wskazała na fragment akt. Mond zerknął jej przez ramię i cicho mlasnął.

– Słowo daję, że nie miałem o tym pojęcia.

Bywały momenty, że nawet na jego twarzy pojawiał się wyraz zaskoczenia. To był jeden z nich.

### 34



Kolejne formularze, protokoły oraz inne dokumenty zawierały podpis tej samej osoby, Rozalii Newskiej. Zamordowana kobieta była prokuratorem w sprawie Telefonisty i to ona prowadziła większość czynności. Wydawała się wyjątkowo systematyczna oraz zorganizowana. Istniały informacje o całym mnóstwie sporządzonych przez nią odręcznych notatek.

– Ingerowała w pracę policji jak mało który prokurator – zauważył Mond. – Oczywiście miała do tego prawo, ale to rzadka praktyka. Większość z nich woli tylko przybijać pieczętki...

– Może przybiła o jedną za wiele. Na swoim akcie zgonu.

Cierpki żart Allegry sprawił, że Honoriusz ponuro odsunął od siebie kolejną teczkę. Przejrzeli już część z nich, ale ciągle trafiał na to samo.

– Jej pisma są sformułowane logicznie i szczegółowo – stwierdził. – Tyle że w aktach nie ma znacznej części dokumentów. Znajdują się w nich informacje o sporządzonych notatkach, ale nigdzie ich nie dodano. To znaczy dodano, ale następnie gdzieś usunięto...

– Jak to?

Mond wskazał na róg pierwszej lepszej strony w kolejnej tezcze.

– Widzisz? Są numerowane. Od jednego do dwustu pięćdziesięciu. To standardowa objętość akt. Skoro brakuje numerów, a raczej skoro numeracja nie jest ciągła, coś było w dokumentach, ale się zbyło.

– Jak to możliwe?

– Tak samo jak to, że i my je teraz przeglądamy. Na tym świecie ręka rękę myje. Piłat stanowił wyjątek w swoim nastawieniu do sprawy... Był samowystarczalny.

Allegra ledwie zauważalnie się uśmiechnęła. Przejrzała kolejne strony i nagle uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Ten szaleniec mordował w okrutny sposób. Nie tylko zaciskał pętlę na szyi ofiary, ale jeszcze dociskał ich piersi kolanem. Boże Śnięty!

To jedno z ulubionych powiedzonek Szmit padało w momencie, gdy była najbardziej wzburzona. Bóg mógł być dla niej śnięty niczym ryba, ale tylko wtedy, gdy działo się najgorsze zło.

– Kilka ofiar Telefonisty miało dosłownie połamane mostki i żebra – ciągnęła, z niedowierzaniem kręcąc głową. Odruchowo chwyciła się palcami za jeden z amuletów pobrzękujących na jej nadgarstku. – W trakcie autopsji podejrzewano, że morderca albo był bardzo ciężki, albo skakał po ofiarach... Liczne obrażenia wewnętrzne, obrzęk otrzewnej, krwotoki, pęknięta śledziona oraz wątroba... Masakra.

– I to wszystko niespełna dwadzieścia lat temu, a niemal nikt o nim nie słyszał – skwitował Mond. – Tak jak o tym seryjnym z Gdańska. Była afera, ale kryzys finansowy zamiótł temat pod dywan. Ludzie mieli poważniejsze problemy niż seryjny morderca z paroma ofiarami na koncie... Dla każdego ważniejsza jest stracona dyszka z portfela niż zaciukana sąsiadka za ścianą.

– Niestety masz rację.

– Dlaczego natomiast? Wolałabyś, żebyśmy przedkładali innych nad samych siebie? To doprowadziłoby do anarchii. Twój Bóg lub bogowie, o ile istnieją, zaprojektowali świat tak, by było w nim sporo miejsca na indywidualizm.

Szmit z irytacją fuknęła. Nie lubiła wywodów, jakie czasem zaczynał snuć Mond. Jego system wartości oraz moralność znacząco różniły się od jej wyobrażeń w tych tematach.

– Mówisz o mordercy? Z pewnością był indywidualistą.

– Mówię o ofiarach – cierpko poprawił ją Honoriusz. – Ale myśl, co chcesz.

Szmit przysunęła do siebie kolejny tom akt i pośpiesznie przerzuciła jego karty. Co chwilę zwilżała opuszki palców śliną.

– Tak właśnie myślę – odezwała się po dłuższej chwili milczenia. – Swoją drogą ta sprawa chyba wcale nie musiała być tak starannie zamieciona pod dywan, jak się zdaje. Nie ukręcono jej łba. To znaczy mniej metaforycznie, niż sądziłam...

## 35



Anna Polus miała trzydzieści jeden lat, a za sobą bardzo spaczone dzieciństwo. Molestowana przez wuja, który oficjalnie zastępował jej ojca, poniżana przez matkę i starsze rodzeństwo, szybko zeszła na drogę grzechu. Wyrzucana ze szkół, pałętająca się po domach poprawczych oraz ośrodkach leczniczych, trafiła na niejakiego księdza Stefana. Duchowny wziął ją pod opiekę i dotarł wprost do jej duszy. Kobieta ponoć przeżyła duchową przemianę.

Początkowo chyba nie ufała samej sobie. Podjęła dodatkową terapię w ośrodku leczenia uzależnień, a potem rozpoczęła tam wolontariat. Z podopiecznej stała się mentorką upadłych narkomanów. Własnym przykładem pokazywała, do czego zdolny jest człowiek i jak bardzo warto zerwać z nałogiem. Z brzydkiego kaczątka z narkotyczną cerą, twarzą pełną wyprysków oraz mętnym spojrzeniem przekształciła się w pięknego łabędzia. Mężczyźni za nią szaleli, lecz ona oddała się Maryi.

Ojciec Stefan mógł być dumny z siebie oraz z Anny. Jednak jako człowiek ambitny, szczerze poczuwający powołanie, potraktował to jako znak. Ze zdwojoną siłą zaczął działać w środowisku narkomańskim. Anna Polus towarzyszyła mu niczym wierna pomocnica, żywy przykład i głos człowieka, w zetknięciu z uduchowionymi tonami księdza.

Niebawem powstał oddzielny ośrodek leczenia uzależnień. Na jego czele stanęła właśnie ta dwójka. Część pacjentów pochodziła z zakładu,

w którym niegdyś leczyła się Polus, wielu zgarnięto wprost z ulic oraz squatów. W pewnym momencie ich liczba urosła do niemal pięćdziesięciu. W związku z natłokiem rozmaitych spraw jako trzeci członek zarządu dołączył niejaki Jan Egmont, człowiek, który kilkanaście lat wcześniej pod wpływem nagłej miłości odszedł z seminarium, lecz nadal pozostał głęboko wierzący. Pod władzą tej trójki ośrodek zdawał się rozwijać w najlepsze, zebrał wiele nagród, a nawet odwiedzali go prominentni politycy. Wtedy zaczęto mówić o sekcje.

Pojawiły się plotki, że ojciec Stefan opracował własne modlitwy oraz formuły religijne, że na pomoc równie często co Boga, przywołuje Szatana, wreszcie, że w rytuałach wykorzystuje krew oraz moc. Zupełnie niczym tysiąc lat temu templariusze. Ksiądz wszystkiemu zaprzeczał, zaprzeczała również Anna, a pacjenci stanęli za nimi murem. Nieliczni, którzy się wyłamali, i tak nabrali wody w usta.

Rozpoczęło się specjalne dochodzenie kościelne pod przewodnictwem samego arcybiskupa. W niewielkiej podkrakowskiej agroturystyce, gdzie znajdował się ośrodek, przeprowadzono kilka kontroli. Niby nie wykryto większych nieprawidłowości, lecz dziwnym było, że znaczna część pacjentów nie zna choćby podstawowych modlitw. Kilkukrotnie zamiast nich recytowali jakieś dawne formuły magiczne. Jako ludzie w znacznej mierze zniszczeni przez narkotyki byli całkowicie poddani ojcu Stefanowi oraz Annie Polus. Zgodnie z relacją świadków niektórzy przypominali żywe trupy.

W sprawie nie postawiono jednak żadnych zarzutów. Zalecono kolejne czynności dowodowe, a wydanie raportu odroczone w czasie. Nie budziło wątpliwości, że terapie przynosiły skutek, gdyż część pacjentów była na dobrej drodze do zwycięstwa z nałogiem, a kolejni – podobnie jak Anna – stanowili przykład, że można go pokonać.

Wtedy wydarzyła się tragedia. Jak wszystkie najgorsze tragedie miała miejsce całkowicie niespodziewanie. Anna Polus przepadła bez wieści, ale nim wszczęto poszukiwania, jej ciało zostało odnalezione kilkaset metrów od ośrodka. Leżała na plecach, z rękoma rozrzuconymi na boki

i nogami ułożonymi tak, jakby została ukrzyżowana. Oczywiście było, że jej zwłoki upozowano, choć skojarzenia religijne mogły być tylko na wyrost. Ostatnie wydarzenia sprzyjały przecież rozmaitej nadinterpretacji.

Kobieta została uduszona przy użyciu cienkiego kabla żyłowego, którym niemal odcięto jej głowę. Jej kark dosłownie wisiał na kawałku skóry niczym na włosku. Kręgosłup został rozerwany.

– Teraz przechodzę do sedna. – Allegra odkaszlnęła. Miała zaschnięte usta, więc wypiała do dna chichę, po czym powróciła do relacji. – Chyba czeka nas najciekawsze.

## 36



– W tej notatce wszystko wydaje się jasne. – Szmit dwukrotnie przeczytała liczący dwa akapity tekst. – Newska nakazywała skupienie uwagi śledczych na Janie Egmoncie. Nie mam tylko pojęcia dlaczego... Nagle się pojawia w aktach i tyle.

Mond się zamyślił. Podniósł się z krzesła i delikatnie rozmasował skronie. Starał się przeanalizować wszystko, czego dowiedzieli się w ciągu ostatniej godziny. Tymczasem zaszło już słońce i na dworze zapaliły się latarnie. W apartamencie Szmit również automatycznie uruchomiło się oświetlenie. Honoriusz nigdy nie rozumiał tego systemu, zdecydowanie był za klasycznymi sposobami sterowania światłem, ale teraz nie zwrócił na to uwagi.

– Samo nagłe pojawienie się podejrzanego nie jest niczym nadzwyczajnym – mruknął. – Tak jak i ty, tak Newska mogła mieć jedynie przecucie. To charakterystyczne dla kobiet.

– Słabe podparcie w świecie skostniałych formuł prawnych.

– Potwierdza tylko, że śledczy kręcili się w kółko. Nie mieli żadnej konkretnej koncepcji, więc chwyтали się jakichkolwiek powiązań. Tak jak

dzisiaj, gdy zatrudniają profilerów lub mortalistów... Wiemy o tym aż nazbyt dobrze.

Szmit odsunęła od siebie akta i się przeciągnęła. Roztarła zmęczone oczy, po czym sięgnęła ku butelce z chichą. Stwierdziwszy, że ona również była pusta, rozczarowana westchnęła.

– To chyba bardziej znak czasów niż desperacji. Jak skłonność do psychoterapii, diet bezglutenowych i tak dalej.

– Czy to nie to samo? – Mond przygładził dłonią wierzch jednej z teczek. – Dla mnie wychodzi na jedno, chyba że...

Zawiesił głos i wbił wzrok gdzieś za Szmit. Sięgnął ku węłowi krawata, ale go nie poprawił. Zastygł w bezruchu niczym rzeźba.

– Chyba że? – dopytała Allegra. – Wpadłeś na coś? Byłoby miło, gdybyśmy wyciągnęli jakikolwiek wniosek...

Honoriusz błyskawicznie się obrócił i dopadł do drugiego stolika. Zaczął przerzucać kolejne tomy akt. Zerkał na numery stron, cicho wzdychał, wreszcie ponownie znieruchomiał. Szmit dźgnęła go palcem w ramię.

– Co się stało? Zaraz zacznę się niepokoić i wstrzyknę ci adrenalinę...

– Nie, czekaj...

– Na co?

Mond obrócił jedną z teczek w stronę Szmit. Zastukał palcem w stronę zapisaną maszynopisem.

– Co tu mamy? – Allegra zerknęła na nagłówek. – Policyjna notatka służbowa? Co z tego?

– Raczej czego tu nie mamy. Notatka jest tylko punktem wstępnym do dalszych czynności.

– Chyba nie rozumiem.

Honoriusz wskazał na kolejne numery stron. Znów była pomiędzy nimi przerwa.

– Zobacz, w tym miejscu powinien się znajdować protokół przesłuchania Egmonta w charakterze świadka. – Powoli przełożył kilka kartek, po czym pstryknął palcami. – A tu zapewne rozpytywali go po raz pierwszy. Ktoś majstrował przy tych dokumentach w bardzo

konkretnych miejscach. Choć nie mieli na tego człowieka żadnych dowodów...

– Może chcieli z niego zrobić kozła ofiarnego? – zgadywała Szmit.

– Przynajmniej mamy jego adres. Chodź, chyba powinniśmy z nim pogadać. – Mond naciągnął rękawy marynarki i skierował się do wyjścia.

– Co mówi twoje przeczucie?

Allegra bez zastanowienia podążyła za przyjacielem.

– To, że ilekroć o nie pytasz, dzieje się coś nieprzewidzianego. A najczęściej dochodzi do jakiejś tragedii.

### 37



Po sześciu godzinach pracy wszystko było gotowe. System zamkniętego obiegu wody został doprowadzony do maleńkiej fontanny i zarazem wkomponowany w ścieżki ogrodu tak, by w razie potrzeby robić za dodatkowe nawodnienie. Konstrukcja była przemyślana i nietypowa. Adam Lambicz mógł być z siebie zadowolony. Gdyby poprosił profesjonalną firmę, za podobne dzieło musiałyby zapłacić kupę kasy.

– Okej, czas na inaugurację sezonu fontannowego – rzucił sam do siebie. – Niech się staną chlupot i światłość!

Włączył wtyczkę i w tej samej chwili zapaliły się dwie ledy podświetlające okrągłą misę. Po sekundzie z dyszla zaczęła ciurkać woda, po kolejnych dwóch ciurkanie zamieniło się w piękny strumień rozbryzgujący się w formę parasola. Wszystko działało jak należy.

Mężczyzna otarł ręce o spodnie robocze i się uśmiechnął. Od dawna planował wprowadzić w ogrodzie dodatkowe oświetlenie, a fontanna stanowiła jedynie preludium. Z pewnością brakowało tu dość światła. Najbliższa latarnia znajdowała się kilkadziesiąt metrów od furtki prowadzącej do jego działki. Jej rozproszone światło padało na



przeciwległy zakątek, tymczasem najbardziej reprezentacyjne miejsce pozostawało w mroku.

Nawet taka doktorowa Holska miała rząd eleganckich, niskich latarenek. Nieważne, że te miały zasilanie solarne i dawały tyle światła, co kot napłakał, ale mimo wszystko... Tymczasem po zachodzie słońca jego działka stanowiła plamę ciemności. Przez ostatnie pół godziny posługiwał się latarką, a teraz ledy zamontowane w fontannie ładnie oświetlały wodę, lecz nie miały wpływu na widoczność już choćby kilka metrów dalej. Spodziewał się nieco innego efektu i poczuł się trochę rozczarowany.

Zdecydowanie musiał nad tym popracować. Co prawda pociągnięcie kabla od rozdzielni byłoby problematyczne i wiązałoby się z koniecznością przekopania rabaty z bylinami, jednak należało przedkładać korzyści nad straty. W końcu musiał się zdobyć na to drobne poświęcenie.

Gdzieś z boku dobiegł go trzask, a potem szmer. Wyprostował się i głośno sapnął.

– Znowu ta stara prukwa – syknął. Nie interesowało go, czy Holska go usłyszy, czy nie. Choć najbardziej prawdopodobne było, że jest głucha bardziej niż uschnięty pień. – Niech ją diabli. Niech ją szlag...

Choć co do tej głuchoty nabrał wątpliwości. Doktorowa musiała usłyszeć szmer fontanny i dlatego znowu wspięła się na swoją drabinkę, by zerknąć ponad żywopłotem. Nie było innego tłumaczenia. W końcu na pewno nie zobaczyła łuny ledowego światła.

– Chyba zasadzę u siebie ten klon palmowy, skoro tak go pani poleca – odezwał się, rozmasowując obolałe plecy. Od tkwienia w jednej pozycji okropnie zdrętwiał. Nie miał już dwudziestu czy trzydziestu lat i powinien się bardziej szanować. – Muszę tylko znaleźć dobry egzemplarz... Wysoki i piękny.

Zmrużył oczy, ale nie dostrzegł nikogo ponad ścianą żywopłotu. Holska musiała już opuścić pozycję albo...

– Nie będziesz miał okazji.

Ktoś wysyczał te słowa tuż za nim. Lambicz nie zdążył się nawet odwrócić, gdy rozległ się świst jakiegoś ciężkiego przedmiotu przecinającego powietrze. To było ostatnie, co zarejestrował. Potem pochłonął go całkowity mrok.

## 38



Jan Egmont miał około pięćdziesięciu lat, szpakowate, krótko ostrzyżone włosy i gładko ogoloną twarz. Spoglądał na Monda i Szmit baczny, świdrującym spojrzeniem oczu tak ciemnych, że wydawało się, że są niemal czarne. Był ubrany w czarne jeansy oraz popielatą koszulkę polo. Swoim ciałem zasłonił wejście do domu i wyjrzał na zewnątrz. Początkowo nie chciał w ogóle słyszeć o rozmowie z kimkolwiek powiązanym z policją, ale wtedy Mond sięgnął po najmocniejsze argumenty. Albo krótka pogadanka z nim oraz Szmit, albo znacznie dłuższa i smutniejsza w komisariacie. Choć takie postawienie sprawy nie było etyczne, jeśli chciał pchnąć sprawę do przodu, musiał zrobić to właśnie w ten sposób.

– Kwadrans – oznajmił Egmont. – Mam dla was najwyżej kwadrans, a potem wracam do oglądania meczu, cokolwiek miałyby się dziać. Niech mnie stąd wyciągną antyterrorysty.

– Mecz? – zdziwiła się Szmit. – Chyba wszystkie ligi mają teraz przerwę wakacyjną?

Mężczyzna wpuścił ich do niewielkiego przedpokoju i cicho się zaśmiał.

– No dobra, to nie była udana wymówka – przyznał z łagodnym, kpiącym uśmiechem. – Po prostu mam dość opowiadania po raz setny o tym samym.

– Sądziłem, że już dawno pan przestał o tym mówić... – Mond podchwycił jego myśl. – Nasze rozpytanie miało mieć charakter incydentalny...

– Incydentalny? – dopytał Egmont. – A był jakiś incydent?

– Chodziło raczej o jego wyjątkowość – wyjaśniła Szmit. – O coś, co stało się raz i było niepowtarzalne... Przynajmniej chcielibyśmy, aby tak było.

Gospodarz, nie dopytując o nic, wskazał gestem, by poszli za nim. Honoriusz ruszył tuż obok niego, lecz Allegra trzymała się kilka kroków z tyłu. Mond w pewnej chwili dał jej znać, by się pośpieszyła. Tymczasem Egmont poprowadził ich do małej kuchni, w której znajdowały się okrągły stolik, trzy krzesła oraz najbardziej niezbędne sprzęty. Bez wątplenia żył skromnie, choć w mieszkaniu było jednocześnie bardzo schludnie. Podłoga lśniła, na blatach nie było zbędnych rzeczy, a okna były starannie zasłonięte roletami.

– To skończyło się już jakiś czas temu. – Egmont usiadł na jednym z krzeseł i wykonał ręką gest nakazujący zajęcie im dwóch pozostałych. – Ale wcześniej ciągle zawracano mi głowę. Anonimowe telefony, prośby o wywiady, jakieś wiadomości, niby od policjantów, ale o których w życiu nie słyszałem... Prawdziwy koszmar.

– Telefony, telefony, telefony... – cicho zanucił Honoriusz. Pozostawał jednak zupełnie poważny, a gdy gospodarz spojrział na niego z ukosa, jedynie wzruszył ramionami. – Interesują się panem, bo mieli postawić panu zarzuty... Mam rację?

– Mieli, ale nie postawili! Ze sprawą nie miałem nic wspólnego, lecz te sukinsyny pilnie szukali podejrzanego, byle tylko dać coś prasie i przełożonym. A skoro afera sama ucichła, uznali, że nie muszą już z siebie robić durni. Brnąc w ten idiotyzm, tylko by się podstawili i zaryzykowali, że przy oficjalnym uniewinnieniu uwaga ponownie skupi się na nieudolności służb.

– W takim razie na czym bazowały ich podejrzenia?

Egmont splótł ręce na piersi i odchylił się na krześle.

– Czy wy przypadkiem nie mieliście współpracować z policją?

– Powiedzmy, że prowadzimy wewnętrzną kontrolę. – Mond obrócił w dłoni dawną wizytówkę, po czym schował ją do kieszeni marynarki. – Więc?

– Gdy nadszedł kres dwóch ofiar, powiązano mnie z nimi – wyjaśnił Egmont. – Zrobiono to tylko dlatego, że jedna była kuzynką pacjentki ośrodka terapeutycznego, a druga jego szefową.

– Mówi pan o Annie Polus?

– Tak. Słabe dowody, co? Mogliby skupić uwagę na dowolnej osobie związanej z ośrodkiem, ale ja nie miałem dobrego alibi. Byłem wtedy w depresji, większość czasu poza pracą spędzałem sam ze sobą. Nikt nie mógł potwierdzić, że w dniu morderstwa przez sześć godzin siedziałem właśnie w tej kuchni, gapiłem się w ścianę i płakałem.

– Płakał pan? – Szmit przesunęła się bliżej stołu. Nadszedł czas, by przystąpiła do rozmowy z właściwą sobie łagodnością. – Czy ta depresja miała jakiś konkretny powód?

– Depresja zazwyczaj nie ma żadnego powodu.

– Tak, ale...

– I nie ma swojego końca. Nigdy, choćby mówili wam, że jest inaczej. Depresja jest tak samo mordercza jak uzależnienie od narkotyków. Można przestać ćpać, ale nigdy się z tego nie wyleczy. – Egmont pociągnął nosem i odchrząknął. – Kryzys wiary pociąga za sobą kryzys miłości, a miłość pociąga rozczarowania. Straciłem i Boga, i sens życia.

– W takim razie co pan robił wczoraj w południe? – dopytał cierpko Mond. Nie zamierzał bawić się w półśrodki. Nadszedł czas, by przejść do sedna. – Depresja pozbawiła pana kolejnego alibi?

Egmont spojrział na niego spode łba i nerwowo się zaśmiał.

– Mam jakichś dziesięciu świadków, że byłem w przychodni – wycedził. – Potwierdzi to również nagranie kamer monitoringu ośrodka zdrowia. Coś jeszcze? Chyba obiecany kwadrans właśnie minął. Do widzenia państwu.

Mond i Szmit wymienili ukradkowe spojrzenia. Oboje nie kryli rozczarowania.



Natychmiast po opuszczeniu mieszkania Egmonta Mond skontaktował się z policyjnym informatykiem. Mężczyzna miał niezwykle bogate znajomości wśród firm ochroniarskich oraz monitorujących rozmaite miejsca, co zdecydowanie ułatwiało uzyskanie nieformalnych danych. Honoriusz nie potrzebował na ten moment niczego innego.

Schował telefon do kieszeni i przystanął przed jaguarem. Zapalił cygaretkę, po czym po raz pierwszy od paru minut wymienił spojrzenie ze Szmitem. Kobieta była skonfundowana, a nawet przybita. Choć jej udział w podobnych, nie do końca legalnych dochodzeniach stanowił jeszcze dobitniejsze złamanie prawa, tym bardziej się w nie angażowała. Przy pierwszych sprawach czuła pewną niechęć, prawdopodobnie wynikającą ze świadomości niezdrowego zaciekawienia, ale z czasem pozbyła się jakichkolwiek skrupułów. Wiedziała, że jej wkład w dopadnięcie zbrodniarzy bywa nieprzeceniony. Potrafiła spojrzeć na wszelkie zagadnienia z całkowicie nowej perspektywy i rzucała na nie nowe światło. To pozwalało Mondowi wyrwać się poza ściśle kanony logicznego myślenia. Byli duetem idealnym.

– Co o nim myślisz? – zapytała, poprawiając kosmyk włosów, który który niesfornie opadł jej na czoło.

– Pewnie dokładnie to samo co ty. – Honoriusz wypuścił kłęb dymu i zmrużył oczy. – Jego gesty i ruchy wskazywały na zdenerwowanie, ale zarazem mówił z dużym przekonaniem. Kłamał, lecz nie we wszystkim.

– A w czym? W tym, że nie jest mordercą?

– Żeby to było takie proste... Nie mam wątpliwości, że ma coś za uszami. Zwróciłaś uwagę, że o śmierci mówił jako o „kresie”? To dość nietypowe.

Allegra kiwnęła głową.

– Tak. To prawda. Ale ty też masz tyle swoich powiedzonek, że gdyby rzucać za nie podejrzenia, powinieneś mieć więcej procesów niż Donald Trump.

– A jednak...

Mond pstryknął niedogaszoną cygaretkę do studzienki ściekowej i wsiadł do auta. Gdy Allegra usiadła tuż obok, uruchomił silnik.

– Kiedy mnie pośpieszałeś w jego przedpokoju... – Allegra zawiesiła głos, czekając na relację Honoriusza. W momencie gdy ten wreszcie na nią spojrzał, odezwała się ponownie: – Zajrzałam do jego jedyne­go pokoju. Sypialni i salonu.

– I?

– Na jednej ze ścian wisiał zabytkowy telefon, wiesz, taki z okrągłą tarczą i tubką zamiast słuchawki.

Mond założył koniakowe rękawiczki przeznaczone tylko do prowadzenia auta i ostrożnie wycofał się z wąskiego miejsca parkingowego.

– Teraz to ty rzucasz podejrzenie – stwierdził. – Wiele osób montuje takie telefony zamiast obrazów lub innych bibelotów. Produkuje się nawet współczesne, plastikowe kopie tak zwanych teletrofonów Meucci­ego.

Szmit nie była przekonana.

– Ten człowiek nie wyglądał na takiego, który ze specjalną dbałością ozdabia swoje mieszkanie – skwitowała ponuro. – Wiem, co mówię, w biznesie sprzątającym pracuję od ponad dekady.

– Ale jego ręce...

– Co z nimi?

Mond mocniej zacisnął palce na kierownicy i dodał gazu. Silnik jaguara zabulgotał, a auto raźnie wyrwało do przodu. Przyśpieszenie wręcz dociskało do wygodnych skórzanych foteli.

– Newska została zamordowana przy użyciu kabla, ale zaciąganego ręcznie. Gdyby zastosowano coś podobnego do garoty, jej szyja byłaby dosłownie zmiażdżona...

– Więc?

– Egmont powinien mieć ślady na dłoniach. Żadnych nie dostrzegłem, a tak jak ty znasz się na sprawach estetyki, tak ja nie mam wątpliwości,

że nawet w rękawicach nie da się kogoś udusić bez pozostawienia jakiegokolwiek śladu. Poza tym...

Honoriusz przerwał, spostrzegłszy, że ktoś do niego dzwoni. Przyciskiem na kierownicy odebrał połączenie.

– Panie Mond, mam już to nagranie. – Z głośników dobiegł głos policyjnego informatyka. Był z siebie wyraźnie zadowolony. Miał zresztą po temu prawo, gdyż rzeczywiście zadziałał błyskawicznie. – Nie wiem, czy właśnie to chciałby pan usłyszeć...

## 40



Przez całą noc Mond źle spał. Nachodziły go fantastyczne koszmary, potem budził się nieświadomy miejsca i czasu, wreszcie wstał z łóżka i nim minęła piąta, starannie się ogolił. Poranne ceremoniały skutecznie odganiały znużenie i senność oraz potrafiły pozytywnie nastroić do nowego dnia. Tym razem było o to jednak szczególnie trudno.

Nagrania z kamer bez dwóch zdań potwierdzały, że w chwili zamordowania Newskiej Jan Egmont czekał na wizytę u lekarza. Z pola widzenia monitoringu zniknął jedynie w jego gabinecie oraz gdy na kilka minut wyszedł na parking. Poza tym niemal półtoragodzinne nagranie eliminowało go z grona podejrzewanych. Można by rozważyć jeszcze, że zamiast niego zjawił się ktoś zbliżony do niego wyglądem, ubrany jak on i zachowujący się podobnie, lecz mężczyzna kilkakrotnie pokazywał twarz do kamery. Uzyskanie takiego podobieństwa było możliwe tylko przy zastosowaniu profesjonalnego makijażu albo w przypadku bliźniaków jednojajowych. Obie koncepcje należało raczej wykluczyć. Raczej – gdyż Honoriusz nie cierpiał kategorycznych osądów w przypadku, gdy nie miało się jednoznacznych dowodów. Dlatego wszystko było możliwe.

Kilka minut po szóstej Mond jako pierwszy gość zjadł w restauracji śniadanie, po czym zadzwonił do Allegry. Gdy tylko przyłożył do ucha telefon, poczuł dziwne mrowienie. Miał wrażenie, że zamiast Szmít usłyszy głos kogoś innego, jednak tak się nie stało.

– Chcesz się wybrać na wycieczkę czy mamy robotę? – zapytał bez przywitania.

Szmít nie musiała się zastanawiać.

– Choćbym miała robotę, wybieram wycieczkę – odparła natychmiast. – Nie sądzę jednak, żeby miała ona coś wspólnego ze spędzaniem razem wakacjami, picciem ziołowych drinków i wizytą w aquaparku. A tym bardziej z odnową duchową szlakiem ayahuaski...

– Aquaparki to zbiorowiska bakterii rywalizujące z ugandyjskimi szaletami publicznymi. A ayahuasca uzależnia mocniej niż opium.

– Ale...

Nim Allegra zdążyła zaprotestować, Mond nakazał jej, by była gotowa za kwadrans. Rozłączył się i zgodnie z zapowiedzią po niespełna piętnastu minutach zaparkował pod jej apartamentem. Szmít już czekała na dworze. Wsiadła do jaguara i nie zadając żadnych pytań, obserwowała drogę. Wydawało się, że doskonale wie, dokąd zamierza zabrać ją Honoriusz. Mimo to gdy po półgodzinie zatrzymali się pośród pól, bacznie się rozejrzała.

– To gdzieś tutaj zamordowano Annę Polus, prawda?

– Skoro rozumiemy się bez słów, po co pytasz?

Mond pchnął drzwi i wysiadł z auta. Przeszedł kilka kroków po ubitej, wąskiej drodze. Prowadziła ona między polami, lecz na skutek ostatnich upałów przypominała szlak wytyczony z ubitego, pustynnego pyłu. W zasięgu wzroku nie znajdowały się żadne zabudowania. Dawny ośrodek terapii mieścił się zapewne za linią drzew widoczną kilkaset metrów na wschód od nich.

Honoriusz zerknął na kamienny murek, na rozpadającą się drewnianą kapliczkę i wskazał na ziemię tuż przed sobą.

– To tu znaleziono ciało – oznajmił. – Widziałem zdjęcia.



– Czy to coś zmienia? Nie wiem, dlaczego domyślałam się, że będziesz chciał tu przyjechać. Tyle że nie mam bladego pojęcia po co...

– To ty wierzysz, że w miejscu zgonu pozostaje fragment duszy zmarłego.

Mond kucnął i roztarł w palcach grudkę ziemi. Głęboko wciągnął powietrze, po czym obrócił się wokół własnej osi.

– Szła stamtąd. – Wskazał w stronę odległej kępy drzew. – Została zaatakowana i przeciągnięta na bok, a potem odwrócona na plecy. W ziemi były ślady jej obcasów.

– Chyba nie zostały do dzisiaj...

– Nie. Ale doskonale to widzę oczyma wyobraźni. Teraz rozumiem, jak ułożono jej ciało.

Honoriusz przymknął oczy i przeszedł kilka metrów po prostej linii. Nagle się zatrzymał, po czym spojrzał na Szmit. Kobietę przeszył nieprzyjemny dreszcz. Zdarzało się, że podobne zachowania Mortalisty ją przerażały. Niemal namacalnie czuła wtedy przy sobie obecność śmierci i duchów zmarłych.

Zauważyła, że Mond zmarszczył czoło i lekko pochylił głowę. Zaczął nasłuchiwać. Coś zwróciło jego uwagę, lecz w tej samej chwili tuż obok rozległ się trzask, a potem szmer. Zaskoczona Allegra aż podskoczyła. Niedaleko niej, pomiędzy tyczek okrytych zieloną szatą chmielu, wynurzyła się ludzka sylwetka.

## 41



Allegra przełknęła ślinę. Naprzeciw niej stała wysoka kobieta, ubrana w białą przewiewną suknię. Dla kontrastu miała założony czarny kapelusz z czarną woalką, która niemal całkowicie zasłaniała jej twarz. Bez wątplenia nieznamiona była jednak elegancka i sprawiała wrażenie przeniesionej z innej epoki. Wytworne koronki przypominały

suknię sprzed stu lat, a drobne białe buciki jakby wprost wyrwano z czasów art déco.

Mond zagryzł wargę. Z niedowierzaniem parsknął, a następnie cicho syknął. Szmit nigdy nie widziała go w podobnym stanie. Wykonał jednocześnie kilkadziesiąt ruchów, co – biorąc pod uwagę jego temperament – zazwyczaj przypadało na wiele godzin. Wreszcie odchrząknął i delikatnie uniósł rondo fedory.

– To... – Honoriusz wykonał gest, jakby chciał Allegrze przedstawić nieznaną, lecz ta znacząco uniosła dłoń.

– Nie mam imienia – zastrzegła ostro. – Wiesz, od kiedy. Możecie nazywać mnie po prostu „Kuzynką”. Tak będzie najwygodniej.

– Ale...

– Milcz, braciszku.

Szmit aż otworzyła ze zdumienia usta. Po chwili opanowała się, oblizała wargi i przekrzywiła głowę.

– To ty jesteś tą słynną krewną Honoriusza? Tą, która...

– Zapewne wszystko, co o mnie powiedział, jest prawdą – odparła Kuzynka. – Sądzę, że już dobrze wiesz, że Honoriusz nie umie kłamać. Możesz to dowolnie wykorzystywać. Śmiało, zapisz tę informację na konto moich dobrych uczynków.

Mond odzyskał rezon. Wyprostował się i założył ręce za plecy. Z lekkim uśmiechem spojrzał na Kuzynkę.

– To ty nas tutaj ściągnęłaś – mruknął. – Podsunęłaś mi ten trop, naprowadziłaś na zainteresowanie Anną Polus i wiedziałaś, że nie odpuszczę za żadne skarby świata. Dlatego coś mi nie pasowało...

Kobieta niemal bezszelestnie przeszła tuż przy Allegrze. Przypominała zjawę, od której niósł się zapach piżmowych perfum.

– Ale to nie ja do ciebie zadzwoniłam w kwaciarni – odezwała się głębokim, dumnym głosem. – I nie nakłoniłam nikogo do zabicia tej biednej kobiety.

– W takim razie co tutaj robisz?

– Przyprowadziła mnie statystyka. Wiesz, że wynikało z niej, że w tym miesiącu powinniśmy wreszcie spotkać się osobiście? I że nie zjawisz się

sam? – Kuzynka cicho się zaśmiała. – Niestety, statystyka oraz prognozy matematyczne bezlitośnie nakierowały mnie na tę sprawę. Wiedziałam, że coś się wydarzy i że zapewne będzie miał z tym coś wspólnego Kanclerz. Swoją drogą to strasznie durne przezwisko, nie sądzisz? A ty?

Wywołana do odpowiedzi Szmit drgnęła. O Kanclerzu nie wiedziała niemal nic. Podejrzewała nawet, że może nie istnieć, lecz stanowić jedynie wymysł pokrętnego rozumowania Monda. Odrobina szaleństwa mogła być u nich rodzinna. Ze zdumienia wysoko uniosła brwi, po czym westchnęła. Nie odezwała się jednak ani słowem.

– Gdy zamordowano twoją siostrę, odnaleziono ciało niemal całkowicie pozbawione krwi – ciągnęła zawoalowana kobieta. – Pamiętasz o tym?

Mond nie odpowiedział. Spojrzał na nią z tak rzadko widoczną na jego obliczu złością.

– Wiesz, że to mógł być jedynie wybieg. Sposób zmylenia śledczych...

– O czym ty mówisz?

– Jako chłopiec skupiłeś się właśnie na tym. Gdy zobaczyłeś ciało i chciałeś je przygotować do pogrzebu... Uważałeś to za bohaterstwo.

– Chciałem oddać hołd siostrze.

Kuzynka się zaśmiała. Tym razem drapieźnie i głośno. Delikatny powiew wiatru jeszcze mocniej rozniósł duszący aromat jej perfum.

– O nie, nie. Chciałeś zaimponować swojemu ojcu, a tym samym sobie. Pomyślałeś kiedykolwiek, że mogłeś wtedy stracić kontakt z rzeczywistością? Nawet dla tak wyjątkowego dziecka, jakim byłeś, to nadzwyczajne przeżycie. Musiało zostawić swój ślad w twojej psychice...

– Co ty insynuujesz? – Szmit nerwowo zaciskała i rozluźniała pięści, jakby zaraz miała się rzucić na kuzynkę Monda. Słyszała historię jego siostry, ale nie znała szczegółów związanych z okolicznościami jej śmierci. – Dlaczego w ogóle o tym mówisz? Dlaczego to robisz?!

Kobieta nie zwróciła na nią uwagi. Nadal była zwrócona wprost do Honoriusza.

– A jeśli to ty spuściłeś z niej krew? – zapytała niemal szeptem. – Jeśli w ten sposób chciałeś zwrócić uwagę na jej śmierć? W końcu morderstwo ma więcej sensu niż śmierć w zwykłym wypadku, prawda?

Kuzynka parsknęła i ruszyła przed siebie. Po chwili skręciła w wąską dróżkę wiodącą między tyczkami chmielu. Mond szybkim krokiem podążył za nią.

– Dlaczego mieszasz mi w głowie?! – krzyknął. – Po raz kolejny zjawiasz się, żeby poplątać mi myśli.

Kobieta niemal biegła. Jedną ręką podniosła skraj sukni, a drugą przytrzymała kapelusz.

– Wszystko jest tylko prognozą na przyszłość. Zapamiętaj to. Statystyka kazała mi się z tobą spotkać.

– Chrzanię ją. Chcę wiedzieć, czy...

Mond urwał. Kuzynka zniknęła mu z oczu za ścianą zieleni, a kiedy zza niej wyszedł, dostrzegł czerwony sportowy kabriolet. Miał włączony silnik. Jego kuzynka trzasnęła drzwiami i nim zdążył do niej dobiec, dodała gazu. Spod kół wystrzeliły kamyczki, a auto popędziło wąską polną ścieżką. Po chwili wszystko zasłoniły kłęby wzbitego w powietrze pyłu.

## 42



– Co to miało być? – Szmit uniosła dłoń, jakby miała się przeżegnać, lecz w pół ruchu się rozmyśliła. Zamiast tego chwyciła jedną z bransoletek. – Ta kobieta wpadła jak duch i jak duch się rozplynęła...

– Nie przesadzaj – bąknął Mond. – Rozplynęła się w kabriolecie, więc aż tak dramatycznie nie było.

– To bez znaczenia. Ja pierniczę, czy u ciebie w rodzinie wszyscy są tacy pochrzanieni?

– Mamy wiele wspólnego, dlatego trzymamy się na odległość.

Honoriusz założył dłonie za plecy i pochylił głowę. Rondo kapelusza rzucało cień na jego twarz. Na kilka sekund zastygł w całkowitym bezruchu. Nagle drgnął i sięgnął do węzła krawata. Bodaj po raz

pierwszy na oczach Szmit delikatnie go poluzował. Uniósł głowę, po czym potrząsnął nią jak pies otrzepujący się z wody.

– Zawsze to robi – syknął. – Miesza mi w głowie. Od najmłodszych lat to jej ulubione zajęcie. Jakby eksperymentowała na mnie lub się mną bawiła. Jakby sprawdzała swoje teorie...

– Ale o czym ona mówiła? Jakie prognozy? Jakie zwracanie uwagi na śmierć?!

Szmit odciągnęła od włosów turban i bezwładnie opuściła dłonie. Była całkowicie skołowana. W pewnej chwili odwróciła się i wymierzyła w Honoriusza palec.

– Mów. Należy mi się choć kilka wyjaśnień. Poza tym... Dlaczego ona, do Przasnej Anielki, nie chciała powiedzieć swojego imienia?

– To długa historia...

– Mamy czas. Brakuje nam jedynie pomysłów. Choć wy chyba znacznie częściej nazywacie je inspiracjami, co?

Zirytowany ton Szmit sprawił, że Mond ciężko sapnął. Podniósł na nią wzrok, po czym bezradnie rozłożył dłonie.

– Nie chcę się rozwodzić nad nieważnymi szczegółami – szepnął. – Wiesz, czym jest trauma, którą wywołują słowa? Refreny piosenek, które kojarzą się z bólem? Rozkazy wyuczone niczym odruchy Pawłowa? Cytaty, które słyszymy na pogrzebach, i żałosne pocieszenia? Wiesz to wszystko? A może twoje amulety i dzwoneczki skutecznie przed tym cię strzegą?

Allegra zacisnęła usta. Mond nigdy wcześniej nie zwrócił się do niej tak cierpkim tonem. Była zaskoczona, lecz natychmiast sama przed sobą usprawiedliwiła go w myślach. Miał prawo do irytacji.

– O bólu wiem mniej niż ty – stwierdziła spokojnie. – I chyba mniej niż reszta twojej rodziny, bo mam wrażenie, że wszyscy się wzajemnie zabijacie, analizujecie i dręczycie. Nie chcę powiedzieć za dużo, ale ta akcja sprzed chwili była chora. Rozumiesz? Chora!

– W takim razie nie brnij.

– Okej. Skoro tak... Wybacz.

Mond po raz kolejny sapnął i poprawił fedorę. Przystąpił z nogi na nogę, po czym zerknął na tyczki podpierające chmiel. Odezwał się, nie patrząc na Szmit.

– Przepraszam. – Pokutnie zwiesił głowę i sięgnął do kieszeni po cygaretki. – Sednem jest, że jej imię było ostatnim słowem wypowiedzianym przez osobę, którą bardzo kochała. Od tego czasu wzbrania się przed jego używaniem. Choć to trochę bardziej złożona historia, ale...

Nagle Honoriusz urwał. Zamiast cygaretek wyciągnął z kieszeni coś całkowicie innego. Lodowatym wzrokiem spojrzął na zawiniątko.

– Niech ją diabli...

## 43



Mond szybkim, giętkim krokiem ruszył w stronę jaguara. Uważał, aby nie potknąć się o któryś z węży nawadniających ani nie wdepnąć w powstałe niedaleko nich kałuże. Szmit przez chwilę obserwowała go, kompletnie nic nie rozumiejąc, wreszcie zdecydowała się za nim pobiec.

– Mam dość tych zaskoczeń! – krzyknęła. – Gramy w jednej drużynie, więc wypadaloby, żebyśmy znali swoje karty.

– To nie budzi wątpliwości...

Honoriusz otworzył jej drzwi auta i dał głową znać, by wsiadła do środka. Szmit przewróciła oczami, po czym posłusznie zajęła miejsce na wygodnym fotelu. Mortalista obszedł jaguara i zasiadł za kierownicą.

– W takim razie co to za karty? – dopytała Allegra. – Możesz mi zaufać, wiesz o tym...

– Tak, ale nie wiem, czy to dla ciebie dobre.

– O to się nie martw.

– Mimo swojej mizantropii mam taką pierwotną, znenawidzoną dziś cechę – dbania o kobiety.

– Dziś nazywamy to szowinizmem. – Szmit nerwowo fuknęła. – Ale ja mam to w dupie i bardzo lubię twoją troskę. Pozwól jednak, że...

Przerwała, gdy Mond podsunął jej kawałek pergaminu, podobny do tego, który załączono do smyczka. Był nieco jaśniejszy i bardziej porowaty, lecz właśnie dzięki temu wyraźnie widniał na nim atrament. Kilka nakreślonych słów bez wątpienia stanowiło jakiś adres.

– Czy to ona...

– Nie. – Honoriusz ponownie wszedł Szmit w zdanie. – Nie sędzę, żeby była autorką pierwszej wiadomości i w ogóle miała z nią coś wspólnego. Ten pergamin to marne nawiązanie do tamtego, ale jak zwykle zadbała o formę.

– W takim razie skąd wiedziała o tamtej wiadomości?

– Nie mam pojęcia. Może włamała się do systemu policji, a może dalej surfuje po darknecie. Obstawiam, że obie wersje są równie prawdopodobne lub nawet się zazębiają. Słyszałaś o holistycznej teorii pojmowania wszechświata?

Szmit obserwowała, jak palec Monda wystukuje kolejne litery w pokładowym systemie nawigacji. Po dodaniu nazwy ulicy oraz numeru domu wyświetliła się klepsydra.

– O co chodzi? – zapytała zaskoczona.

– Zapewne właśnie ładuje się jakaś nazwa przypisana do tego miejsca. – Mond uruchomił silnik i ostrożnie zaczął cofać po wąskiej ścieżce. – Do celu mamy niespełna osiem kilometrów. To same obrzeża Krakowa.

– Chcesz tam jechać?

– A ty nie?

Szmit wyciągnęła gdzieś spomiędzy fałd sukienki zielone okulary i nasunęła je na nos. Uśmiechnęła się, wydymając pomalowane różową szminką wargi.

– Nie przepuściłabym żadnej okazji, żeby sprawdzić, co zaserwował nam jakikolwiek członek twojej rodziny – odezwała się, porzucając niedawny lekko zirytowany ton. Ponownie była zdeterminowaną, pełną energii Allegrą. – No, jazda, ciekawe, co to za miejsce!

W tym momencie klepsydra na wyświetlaczu jaguara zamieniła się w konkretną nazwę, a uśmiech kobiety nieco przygasł. Mond wymownie zabębnił palcami w kierownicę.

## 44



– Bilet wstępu kosztuje dwadzieścia pięć złotych. Oczywiście od osoby.

Mond spod runda kapelusza spojrział na przysadzistego, około czterdziestoletniego mężczyznę, którego sylwetkę musiały kształtować rozmaite suplementy. Obwód jego szyi mógł konkurować z obwodem szyi nosorożca, a widoczny na podbródku kolorowy tatuaż wychylał się gdzieś spod koszuli. Okrągła, łyśa czaszka i głęboko osadzone oczy przywodziły na myśl opryszka dosłownie wyrwanego z kart komiksu.

– Interesuje nas tylko jedna wystawa – odezwała się Szmit.

– To nieważne. Bilet obowiązuje na całość. Wchodzicie czy nie?

Mond wyciągnął portfel i ze sporego ruloniku starannie odliczył banknoty. Podał je mężczyźnie.

– Skoro nie mam innych grup, mogę was oprowadzić – odezwał się gospodarz nieco przychylniejszym tonem. – Koło południa ma przyjechać wycieczka z jakiegoś domu spokojnej starości. Oni lubią takie wrażenia.

– Zwykła śmierć jest zbyt nudną codziennością.

Mond sztucznie się uśmiechnął i zerknął na zawieszony nad kolejnymi drzwiami szyld. Napisany tandetną czcionką informował, że pod nim znajduje się wejście do „Muzeum Zbrodni”. Właśnie taki przybytek znajdował się pod adresem wskazanym na pergaminie podrzuconym Honoriuszowi przez kuzynkę. Po krótkiej kwerendzie przeprowadzonej w internecie Szmit dowiedziała się, że to „jedyne w Polsce miejsce mieszczące pod swym dachem mnóstwo przedmiotów związanych z seryjnymi mordercami”. Atrakcje miały zostawić ślad w pamięci



odwiedzających aż do „końca życia”. Jedna z wystaw dotyczyła Telefonisty i to właśnie do niej kazał się prowadzić Mond.

Właściciel muzeum wskazał im drogę wiodącą długim korytarzem ze ścianami wyłożonymi imitacją zawilgoconego kamienia. Z głośników dobiegały rozmaite jęki oraz szmer kapiącej wody. Kicz mieszał się z tandetą. Minęli salę tortur zrobioną rzekomo na wzór jakiejś prawdziwej, skręcili przy cuchnącym pomieszczeniu wypełnionym stosami ubrań, wreszcie znaleźli się przed odgrodzonym taśmą pokoikiem.

– To jedna z naszych perełek – odezwał się właściciel. Zatarł dłonie, a jego oczy błysnęły. Uniósł dłoń, jakby przedstawiał gwiazdę wieczoru. – Panie i panowie, oto Telefonista.

Zamaskowana postać przypominała człowieka nie tylko w zarysie oraz proporcjach. Została uwieczniona w pochylonej pozycji, z kablem w dłoni, a do tego całkiem dobrze oddano pozorny ruch. Zbrodniarz kładł obutą stopę na piersi leżącej przed nim ofiary. Kobieta w czerwonej, zadartej sukience miała szeroko rozwarte oczy i kawał szmaty wepchnięty w usta. Również wykonano ją nadzwyczaj realistycznie, zważywszy na ogół muzealnych eksponatów.

– Pozyskałem prawdziwy kabel używany przez Telefonistę, prywatne przedmioty jego ofiar, w tym sukienkę, w którą ubrany jest manekin. – Muzealnik dumnie wyszczerzył zęby. – Poza tym buty zrobiono dokładnie na podstawie odlewu odcisków znalezionych na jednym z miejsc zbrodni. Wszystko dokładnie odpowiada policyjnym raportom i protokołom. Wydałem na to kupę kasy. Naprawdę kupę.

– To wszystko? – zdziwiła się Szmit. – Przecież to tylko teatralna szopka.

– Reszta rekwizytów dotyczy innych ofiar. Anny Polus, Grety Sumilskiej, Kamili Darskiej... Odtworzyłem tylko tę jedną scenę mordu.

– A tamto?

Mond wskazał palcem na jakiś przedmiot znajdujący się w samym rogu wystawy. Właściciel muzeum jeszcze szerzej się uśmiechnął i dumnie się wyprężył.

– Gratuluję spostrzegawczości... To mój rarytas.

## 45



– Jest oryginalny, prawda? – zapytał Mond.

– Jak najbardziej. Udało mi się go odkupić za niezbyt duże pieniądze. Powiedziałbym nawet, że po atrakcyjnej cenie.

Uśmiech muzealnika jeszcze mocniej się poszerzył. Mało brakowało, by pękły mu kąciaki ust. Allegra nie była przekonana, czy dobrze rozumie, który przedmiot wzbudził tak wielkie zainteresowanie Honoriusza.

– Mówisz o tamtym kawałku kabla? – Wskazała na fragment inscenizacji, gdzie na podłodze leżały dwie części cienkiego gumowego przewodu. Obok ułożono odbite w glinie odciski butów. – Co jest w nim ciekawego?

– Rozerwanie – odparł lakonicznie Honoriusz.

– Rozerwanie? Owszem, to dwie części, i co z tego?

Mond, nie zważając na zniecierpliwienie przyjaciółki, nie spuszczał wzroku z tamtego miejsca.

– A ślady butów? – zapytał, mrużąc oczy. – Ułożono je zgodnie z informacją podaną w aktach?

– Na podstawie dokumentów laboratorium oraz osobistych wyjaśnień udzielonych mi przez prowadzącego śledztwo. Wszystko się zgadza co do milimetra.

– Cholera.

Mond przygładził twarz i na kilka sekund wstrzymał oddech. Wreszcie powoli wypuścił powietrze, po czym zrobił parę kroków wzdłuż ekspozycji. Przykucnął, jakby znajdował się na prawdziwym miejscu zbrodni. Allegra obserwowała jego wygibasy zza zielonych okularów. Wreszcie zirytowana podniosła je i nerwowo odkaszlnęła.

– Zaczynam cię mieć dosyć. Pamiętasz słowa o wspólnej grze, o tych samych kartach i tak dalej?

– Przepraszam. – Honoriusz wstał i się do niej odwrócił. Łypnął na nią jedynie przelotnie, koncentrując spojrzenie na właścicielu muzeum. – Ta kobieta uciekła, prawda? W trakcie szamotaniny kabel pękł, a jej udało się uwolnić. Napastnik stracił równowagę i upadł, więc zapewne jego ofiara zyskała dzięki temu kilka bezcennych sekund.

Łysol cicho zaklaskał.

– Brawo, brawo za dedukcję. Tak właśnie było. Jedyna osoba, która umknęła Telefoniście... A ja rozmawiałem z nią i jej rodziną. Trzymała ten kabel w trakcie szamotaniny. Nie wszystkie części trafiły do materiału dowodowego, co lepiej niech zostanie między nami...

Allegra wreszcie pojęła, co sprawiło, że Mond aż tak bardzo się zainteresował tym wydarzeniem.

– W aktach nie było o niej ani słowa – stwierdziła, nie kryjąc zdumienia. – Mario Panno i Aniołowie Dnia Ostatecznego...

– Podejrzewam, że znaczna część usuniętych notatek dotyczyła właśnie jej – skwitował ponuro Mond. – Informacje, że miało się bezpośredniego świadka i mimo to nie ujęło się sprawcy, są cholernie niewygodne. To rozczarowujące.

– Rozczarowujące! – Allegra parsknęła. – To skandal!

– Również... Ale pan – zwrócił się Mond do właściciela muzeum – zna jej historię i skoro z nią rozmawiał, wie, kim jest. Mam rację?

– Można tak powiedzieć – oględnie odparł mężczyzna. – Tak jakby...

## 46



– Chcę z nią porozmawiać... – wycedził Mond. – Ma pan jej adres?

– Nie – odparł właściciel muzeum. – Nasze spotkania odbyły się przy udziale... powiedzmy, pośredników. Poza tym nie dzielę się takimi

informacjami.

– Nawet wtedy, gdy...

Honoriusz sięgnął po portfel i wyciągnął z niego rulon banknotów, z którego niedawno uszczknął dwa na bilet. Łysy mężczyzna machnął ręką, po czym ostentacyjnie odwrócił się do niego plecami.

– To nie wchodzi w grę. Jestem profesjonalistą i chronię swoje kontakty. Liczę na kolejne gadzety do muzeum. Nie mogę się spalić.

– Może jednak się pan złamie... – Allegra próbowała swojego kusicielskiego tonu. – To niesamowicie ważne i...

– Niech pani nawet tego nie zaczyna. Naprawdę nie mam prawie żadnych danych. Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że ta kobieta nazywa się Daria Nowak.

– W Krakowie mamy pewnie ich co najmniej kilkadziesiąt, a w województwie kilka tysięcy.

– Nie mogę wam w niczym więcej pomóc. Musicie zrozumieć.

– To pan niech zrozumie, że bierzemy udział w śledztwie! – Szmit skinęła na Monda. – No, pokaż mu legitymację!

Honoriusz jedynie westchnął. Nie zamierzał dalej przekonywać właściciela muzeum. Widział, że to bezcelowe i że rzeczywiście mężczyzna może wiedzieć mniej, niż mogłoby się zdawać. Kwestia wyjaśnienia, kim byli owi pośrednicy, także zdawała się chwiejna.

– Niech mi pan spojrzy prosto w oczy – zwrócił się do niego.

Zamiast tego muzealnik włożył dłonie do kieszeni i pochylił się, jakby miał zaatakować go niczym byk.

– A co to? Myślisz pan, że jestem jak jakieś pieprzone dziecko?

– Nie, ale to sprawdza się nawet u dorosłych.

– Jaja pan sobie robi?

Jego ostry ton nie zraził Monda. Przynajmniej zrobił to, czego ten po nim oczekiwał.

– Skoro już pan patrzy mi prosto w oczy, proszę mi powiedzieć, że ta inscenizacja naprawdę jest wierna rzeczywistości. Że wszystko zrobił pan dokładnie tak, jak wiedział.

Właściciel muzeum zamrugał i jako pierwszy spuścił wzrok. Zdał sobie sprawę, że został podpuszczony.

– Wszystko jest zgodne z prawdą – oznajmił, łagodniejąc. – Masz pan moje słowo. A teraz wypieprzajcie z mojego muzeum. No, poszli mi stąd, powiedziałem!

Mond wziął Szmit pod ramię i powoli skierował ją do głównego korytarza. Obawiał się, że Allegra będzie chciała kontynuować polemikę, lecz posłusznie dała mu się wyprowadzić.

Kiedy tylko wyszli z muzeum, Honoriusz spojrział pod słońce. Zmrużył oczy, cicho coś mruknął i sięgnął do kieszeni. Szmit była przekonana, że chce zapalić, lecz zamiast cygaretki wyciągnął telefon. Z ociąganiem odblokował go i nie kryjąc niechęci, wybrał jakiś numer. Przyłożył komórkę do ucha, po czym zagryzł usta. Miał na tyle mocno nastawiony głośnik, by Allegra usłyszała dobiegający z niego śmiech. Od razu wiedziała, do kogo należy. Honoriusz zadzwonił do swojej kuzynki, która opanowała udawaną, przesadną radość dopiero po kilku sekundach.

– Wiedziałam, że szybko się za mną stęsknisz, braciszku – rzuciła już całkowicie poważnym tonem. – Jesteś taki przewidywalny...

## 47



Mond spojrział na siedzącego na ławce mężczyznę. Miał on około pięćdziesięciu lat, krótkie włosy, mocne kości policzkowe i pusty wzrok mordercy. Kompulsywnie drapał się po prawym nadgarstku, jednocześnie wystukując lewą stopą jakiś sobie tylko zrozumiały rytm. Obok niego siedział skulony niski staruszek o pomarszczonej twarzy i mętnych oczach. Właściwie trudno było o nim powiedzieć, że siedział – znajdował się na ławce, ale zdawało się, że każdy jego mięsień jest w ciągłym ruchu. Węszył, rozwierając nozdrza, rozglądał się i uśmiechał,

by zaraz zrobić smutną minę, gładząc przy tym rękoma uda. Z jego ust całą serią leciały najgorsze przekleństwa.

– Przepraszam, przepraszam, wy tu nowi... – odezwał się nagle, gdy zauważył Allegrę. – Przepraszam, przepraszam... Pardon za mój język.

– Ja pierniczę... – szepnęła do Monda Szmit i przysunęła się bliżej niego. – Co za świat... I pomyśleć, że ludzie się mordują.

Znajdowali się na terenie ośrodka leczenia traum oraz uzależnień, którego adres przez telefon wskazała im kuzynka Honoriusza. Najwyraźniej kobieta dzięki posiadanym informacjom prowadziła ich w pewnych sprawach za rękę. Choć i jej dane zapewne były już na wyczerpaniu.

– I tak to nie są najgorsze przypadki – zauważył Mond. – Pamiętaj, że to ośrodek otwarty. Pomyśl, co musi się dziać w tych z osobami przymusowo skierowanymi na zamkniętą terapię.

– I tak wolałabym nie spotkać tego skłętego staruszka w pustej uliczce.

– A ją?

Mortalista wskazał na wysoką kobietę z blond włosami, która samotnie spacerowała między drzewami. Szła powoli, ze zwieszoną głową, wykonując powłóczyście, ostrożne ruchy, jakby tańczyła w zwolnionym tempie.

– Pewnie ma depresję... Jest groźna głównie dla siebie.

– Czyżby? – Mond gwizdnął przez zęby, zwracając uwagę kobiety. Spojrzał jej prosto w oczy i wskazującym palcem przesunął kapelusz na tył głowy. Chwilę później puścił do niej oko. – Panienko!

Kobieta nagle zatrzymała się, a po chwili spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

– To ty, bydlaku! Bydlak! – wrzasnęła. – Bydlak, bydlak! Sukinsyn!

Wydawało się, że kobieta rzuci się na Monda, lecz ten ponownie cicho zagwizdał i momentalnie się uspokoiła.

– Skąd wiedziałeś? – dopytała go Szmit, gdy odeszli o kilka kroków. – Jakim cudem?

– Pewne choroby umysłu wydają się bardzo wyjątkowe, a objawiają się nudną sztaampą...

Mond nie powiedział nic więcej. Przepuścił Szmit w progu niskiego, pawilonowego budynku, po którego obu stronach wejścia ciągnęły się sięgające niemal stropu łukowate okna. Nie musieli długo szukać, by trafić przed drzwi pokoju dyrektora. Znajdował się on bezpośrednio naprzeciw głównego wejścia. Honoriusz zlekceważył tabliczkę z napisem „Zapraszamy do sekretariatu” i zapukał. Odpowiedziało im niewyraźne bąknięcie, na które Mond nacisnął klamkę.

Platynowa blondynka siedząca w ogromnym skórzanym fotelu spojrzała na nich bez cienia irytacji. Przywitała się i z profesjonalnym uśmiechem psychologa zapytała, w czym może im pomóc. Sprawiała wrażenie najsympatyczniejszej i najbardziej otwartej na współpracę osoby na świecie. Była niewiele starsza od Allegry, lecz z jej oszczędnych gestów wręcz wylewała się postawa poczucia władzy, pewności siebie oraz wiary we własne siły. Podkreślał je fuksjowy damski garnitur oraz paznokcie pomalowane na ten sam kolor.

Honoriusz rozejrzał się po sporym gabinecie. Powiódł wzrokiem po szafce pełnej naukowych czasopism, po doskonale wypolerowanym biurku, po kilku obrazach z (a jakże!) plamami przypominającymi testy Rorschacha, wreszcie spojrzał prosto w błękitne oczy blondynki. Przeciągnął ciszę tak długo, że Szmit była gotowa odezwać się jako pierwsza. Dopiero wtedy uśmiechnął się i zdobył na wyraz twarzy równie sympatycznej osoby, na jaką pozowała dyrektor. W odgrywaniu ról był arcy mistrzem.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panią Darią Nowak. Jest państwa pacjentką, a my...

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy dyrektor ośrodka.

– Jesteście jej bliskimi? – zapytała czujnie.

– Nie. Powiedzmy, że przyjaciółmi. Musimy porozmawiać z nią w cztery oczy.

Dyrektor wyraźnie się uspokoiła i wzruszyła ramionami.

– Obawiam się, że będzie to niemożliwe.



– Zniknęła? – zdziwił się Mond. – Ot tak? Czy po prostu wyszła, uznała, że jej terapia dobiegła końca i wróciła do domu?

– Ona nie ma domu – odparła dyrektor. – Przynajmniej my nie mamy pojęcia o żadnym stałym miejscu jej zamieszkania. Nie odezwała się również do żadnych znanych nam przyjaciół ani członków rodziny.

– Czy zdarzało się to już wcześniej?

– Nie. Nigdy.

– A czy były jakiegokolwiek sygnały, że może się zdarzyć? – dopytała Allegra. – Czy w ostatnich dniach coś się zmieniło?

Dyrektor przecząco potrząsnęła głową. Od kilku minut nie była już tak uśmiechnięta jak wcześniej. Nerwowo zastukała paznokciami w biurko i dała znać, że nie ma dla nich więcej czasu. Choć ostatnich odpowiedzi udzieliła po pokazaniu przez Monda starej legitymacji, nie była naiwna. Doskonale wiedziała, że nie musi mówić nic więcej, a nawet, że mówieniem czegokolwiek w tak nieformalnej rozmowie może sporo ryzykować.

– Dziękuję. – Honoriusz kiwnął głową i założył kapelusz. Zawrócił do wyjścia, a Szmit, pożegnawszy się, podążyła za nim. Nim doszli do drzwi, nagle się zatrzymała.

– Czy pani Nowak opowiedziała o swojej traumie? – zapytała pod wpływem jakiejś myśli, która zakołatała jej w głowie. – Czy opisała napastnika?

Dyrektor położyła dłoń na dłoni i zagryzła usta. Przez chwilę wahała się przed udzieleniem odpowiedzi, wreszcie Szmit zdobyła jej zaufanie. Ich spojrzenia się spotkały.

– Nie. Nigdy nie opowiedziała swojej historii ani niczego o napastniku. Była wściekła, że nie może pomóc policji, lecz się zablokowała... Między



innymi dlatego zapisała się na naszą terapię.

– I nie korzystała z ochrony policyjnej?

– Dawniej tak. Ale na wszystko są konkretne fundusze i nikogo nie można chronić w nieskończoność. Zresztą od kilku lat sprawa Telefonisty jest już chyba zakończona.

– Tak jakby... – Szmit wymieniła z Mondem porozumiewawcze spojrzenia i dała mu znać, że już mogą wyjść.

Chwilę później, gdy znaleźli się na dworze, cicho zakłęła. Zdarzało jej się to bardzo rzadko i zaraz się przeżegnała.

– Myślisz, że morderca ją dopadł? – W jej tonie tkwiła ogromna potrzeba pocieszenia. Mond oczywiście nie zamierzał ani o krztynę naginać prawdy.

– Nie wiem. Być może tak... Ale w tej sprawie jakieś elementy wyjątkowo mi do siebie nie pasują.

– O czym konkretnie mówisz?

Honoriusz wzruszył ramionami. Skierował się w stronę stojącego na podjeździe auta. Zatrzymał się przed nim i jeszcze raz zerknął na bryłę ośrodka, na pensjonariuszy spacerujących po ogrodzie oraz siedzących na ławkach. Myślał nad czymś intensywnie, lecz Szmit doskonale wiedziała, że nie ma sensu go o nic dopytywać. I tak, dopóki koncepcja mu się nie wyklaruje, niczego by nie zdradził.

– A ja mam okropnie złe przeczucie – mruknęła. – I dobrze wiesz, że w podobnych sprawach bardzo rzadko się mylę.

## 49



Mond był pogrążony w myślach. Po wizycie w ośrodku stracił chwilowy animusz i popadł w tak charakterystyczną dla siebie melancholiczną wstrzemięźliwość ruchów oraz słów. Niemal nie reagował na obecność Szmit, a swoje gesty ograniczył do minimum.

Nawet prowadząc auto, wykonywał delikatne, powolne obroty kierownicą, jechał wolniej niż zwykle i niemal nie zmieniał pasów. Zupełnie jakby jego umysł pochłaniał całą energię, którą mógł wyprodukować organizm.

Jedną z najważniejszych myśli zaprzętających mu głowę było pytanie o to, czy jego kuzynka wiedziała o zniknięciu Darii Nowak. Jeżeli tak, po co sprowadziła ich do ośrodka? Czy chciała dać mu jakiś znak? Czy naprowadzała go na właściwy trop, dla którego nieobecność kobiety miała szczególne znaczenie? Te pytania nie miały odpowiedzi. Nie miało ich również kilkaset innych zagadnień, które kołatały mu się po głowie.

Czuł się skołowany. Do tego raz po raz bombardowały go wspomnienia z przeszłości oraz sugestie, że to on mógł odpowiadać za upozowanie morderstwa siostry. Albo że była to jedynie inscenizacja zorganizowana na jego użytek.

Nie. Druga opcja wydawała się zdecydowanie nieprawdopodobna. Nikt nie robiłby podobnych szopek, by stworzyć chore pozory dla dziewięciolatka. Chyba że... Owszem, w jego rodzinie wiele rzeczy uchodzących za nieprawdopodobne mogło się wydarzyć.

Jednak czy śmierć siostry miała coś wspólnego z Telefonistą albo zabójstwem pani prokurator? To już było równie naciągane jak programy socjalne partii przedstawiane na kilka dni przed wyborami. Poziom abstrakcji ocierał się o najbardziej wydumane bajki. Choć z drugiej strony...

Zawsze dopuszczał wszelkie scenariusze. O ile nie zostały wykluczone przez dowody logiczne i istniało choćby marginalne prawdopodobieństwo ich ziszczenia się, nie mógł ich odrzucić. To wprowadzało dodatkowy ferment, lecz niejednokrotnie pozwalało osiągnąć postęp w śledztwach tkwiących w ślepych zaułkach.

– Zjedzmy coś.

Głos Halera wyrwał go z zadumy. Kątem oka odnotował, że znajdowali się właśnie niedaleko najlepszego food trucka z Fish & Chips w Krakowie. Mond zadziałał instynktownie. Zjechał na pobocze, po czym

ponownie pograżył się w myślach. Nawet nie drgnął, gdy Szmit wyszła z auta i po kilku minutach wróciła do niego z tackami pełnymi jedzenia.

– Nakarm swój mózg – nakazała, podając mu jedną z nich. – Wcinaj.

Zjadł, a może wcale nie? Po godzinie już w ogóle o tym nie pamiętał. Jego cała uwaga niezmiennie była pochłonięta wydarzeniami ostatnich dni. Sporadycznie przerywały je wspomnienia z dzieciństwa oraz późniejszych etapów życia. Wszystko łączyło się i rozplatało. Do tego ogarnął go paskudny, niemal paraliżujący ból. Choć na skutek choroby ciało bolało go niemal nieustannie, przez większość czasu tego nie dostrzegał. Dopiero gdy cierpienie stało się nie do zniesienia, docierało do świadomości. Nie istniał żaden sposób, by się go pozbyć, choć znał kilka dobrych metod delikatnego i chwilowego złagodzenia. Jednym z nich było opium, które samodzielnie wyrabiał i ukrywał w schowkach w pokoju hotelowym oraz pracowni. Na myśl o nim nieco się rozprężył. Tak, były sposoby ukojenia cierpienia duszy i ciała... Mógł zerwać z tym całym szaleństwem. Mógł co najwyżej zapomnieć...

Być może to nie myśli o sprawie, lecz głód narkotyku mieszały mu w głowie. Był ledwie świadom, że Allegra przyjęła zlecenie posprzątania chłodni, w której pod nieuwagę właścicieli padł prąd i kilkaset kilogramów mięsa kompletnie zgniło. Do tej roboty nikt nie nadawał się lepiej od nich. Przynajmniej nie trzeba było skuwać kafelków ani robić kompletnej demolki. Wystarczyło opróżnienie pomieszczenia, wpuszczenie preparatów antybakteryjnych, środków zwalczających grzyby oraz pleśni i rozpylenie substancji absorbującej zapachy. Kiedy skończyli, było już bardzo późno. Wspólna kolacja nie wchodziła w grę.

Mond odwiózł Szmit do mieszkania, po czym, nie bacząc na jej protesty, natychmiast odjechał. Skierował się prosto na parking hotelowy. Myślał o opium i o kilku kroplach ulubionego absyntu. Musiał się wreszcie ukoić. Musiał odciąć się od tego wszystkiego, co dosłownie rozrywało mu mózg na strzępy.

– Nie wytrzymam... – szepnął, zaciskając dłonie na kierownicy. – Już nie mogę... Dość.

Zwolnił i skręcił w wąską jednokierunkową uliczkę wiodącą przez podwórza kamienic. To był jego skrót, o którym niemal nikt nie miał pojęcia. Tym bardziej zdziwiło go, gdy w lusterku oślepiło go mocne światło. Ktoś jechał za nim na długich i nagle zaczął nimi mrugać.

Mond zwolnił, po czym całkowicie się zatrzymał. Auto za nim również stanęło. Honoriusz zerknął w boczne lusterko, lecz ostre światło tak mocno rozpraszało panujący wokół mrok, że nic w nim nie widział. Rozpiął pas, zamierzając wysiąść z jaguara.

– Co, do cholery...

W momencie, gdy sięgał do klamki, przy jaguarze przesunął się cień. Chwilę później czyjaś dłoń plasnęła w jego szybę.

## 50



Mond odruchowo pchnął drzwi, jakby chcąc uderzyć napastnika. Osobie, która podeszła do jaguara, udało się uskoczyć. Honoriusz nie potrafił jednak jej dostrzec. Zaciśnął pięści i gotów na wszystko, wyszedł z auta. Rozejrzał się dokoła, a wtedy jak spod ziemi, tuż przy nim, wyrosła kobieta ubrana w bluzę dresową i z zarzuconym na głowę kapturem.

– Spokojnie – rzuciła rozbawionym tonem. – Bez obaw, nic ci nie zrobię.

Honoriusz cofnął się o krok i zlustrował całą jej sylwetkę. Rozluźnił pięści.

– Pani Nowak? – zapytał, choć brzmiało to niemal jak stwierdzenie. – Daria Nowak...

– Tak.

– Śledziła mnie pani?

– Jeżeli chcesz to tak nazywać... W ogóle wolałabym przejść na „ty”, skoro mamy zaraz poważnie pogadać. Taki miałeś plan, prawda?

Mond bez słowa wsiadł do auta i zamknął drzwi. Zjechał na pobocze, po czym sprawnie wpasował ogromnego jaguara między parkomatem a stojącym na miejscu dla niepełnosprawnych kombi. Gdy wysiadł, zobaczył, że Nowak również zjechała z ulicy i właśnie wysiadła z samochodu. Jego światła awaryjne kilkakrotnie mrugnęły, dając znać, że systemy alarmowe oraz blokady zostały aktywowane.

– Widziałem panią i to auto – mruknął Mond. – Ale nie sądziłem, że...  
Nowak weszła mu w zdanie.

– Przez ostatnie lata nauczyłam się wielu rzeczy – oznajmiła. – W tym śledzić ludzi oraz w ciągu kilku godzin dowiadywać się, kto się o mnie pyta. Wiem o tobie więcej, niż możesz przypuszczać, Mortalisto.

Honoriusz się skrzywił.

– To powinny być moje słowa.

– Dokładnie tego się spodziewałam. – Nowak obrzuciła go baczny spojrzeniem. Zsunęła kaptur na tył głowy i wydeła policzki. Miała szczupłą, pociągłą twarz z mocnymi kośćmi policzkowymi. Głęboko osadzone oczy były ruchliwe, a spojrzenie czujne. – Wstrzemięźliwy, elegancki i niezdradzający jakiegokolwiek zaskoczenia...

– Nie jestem zaskoczony – sprostował Mond. – Właściwie ja też właśnie tego się spodziewałem. Choć nie ukrywam, liczyłem na to znacznie wcześniej.

– Nie mam zaufania do tej całej Szmit. Znalazłam o niej zbyt mało danych... Ale podejrzewam, że skoro ty jej ufasz, ja mogłabym zrobić to również. Choć lepiej nie ryzykować... Rozumiesz mnie?

Nowak spojrzała prosto w oczy Honoriusza. Rzadko zdarzało się, by ktoś miał tak mocne, przenikliwe spojrzenie.

– Nie wyglądasz na szaloną – stwierdził. – Ale wciąż siedzi w tobie trauma tamtych wydarzeń... Dlaczego opuściłaś ośrodek?

– Powoli, panie Mortalisto. Wszystko za chwilę sobie wyjaśnimy... A raczej prawie wszystko, bo są sprawy, które chcę zachować tylko dla siebie.

– Miejsce, gdzie się ukrywasz, jest jedną z nich?

Nowak cicho się zaśmiała. Miała przyjemny, głęboki śmiech.

– Pod latarnią najciemniej, co? – Wsunęła dłonie do kieszeni bluzy i ruszyła w dół ulicy. Poruszała się szybko, a przy tym bardzo cicho. Stawiała kroki tak, że nie rozlegał się nawet szmer. Zupełnie niczym duch. Nagle odwróciła się do Monda i pośpieszyła go ruchem ręki. – Pójdziemy na kawę albo drinka – oznajmiła. – Niby ani tego, ani tego nie mogę łączyć ze swoimi lekami, ale pal diabli. W końcu mamy niezłą okazję. Możemy świętować.

## 51



CK Browar był jeszcze otwarty. Jak na tak późną porę oraz środek tygodnia w restauracji kręciło się jeszcze sporo klientów. Nowak zgodziła się na wizytę właśnie w tym lokalu, należącym do ulubionych miejsc na kulinarnej mapie Krakowa Monda. Naciągnęła jedynie mocniej kaptur, po czym wybrała miejsce przy ścianie, z którego miała widok na całą salę. Honoriusz zamówił dla niej bezalkoholowe piwo, a sam wziął rzemieślniczy, firmowy wyrób knajpy. Piwo zresztą miało stanowić jedynie pretekst, by zająć miejsce i porozmawiać pod jakimkolwiek dachem. Gdy tylko usiedli, Nowak odezwała się jako pierwsza.

– Dopadł mnie, gdy wracałam do domu... – zaczęła sama z siebie opowieść, która intrygowała Honoriusza. – Zostałam w firmie nieco dłużej i uciekł mi jeden z ostatnich autobusów. Wiesz, jakie są dziury w nocnym rozkładzie...

Mond kiwnął głową, choć nie miał o tym pojęcia. Kobieta upiła łyk piwa, skrzywiła się i mówiła dalej:

– Nigdy nie znosiłam czekania na przystanku. To marnowanie czasu, dlatego skróciłam sobie drogę przez park. Przechodziłam przez niego setki razy i nigdy nic się nie stało. W ogóle... Nie tylko mnie... Nikomu. Przynajmniej o niczym takim nie słyszałam.

– Nie mogłaś przypuszczać, że on tam jest – odezwał się Honoriusz. Jak wiele ofiar napaści, Nowak zdawała się szukać winy w samej sobie. To była jedna z klasycznych reakcji psychologicznych oraz rezultat poszukiwania odpowiedzi na pytanie, dlaczego zostało się zaatakowanym. – To nie twoja wina, że wybrałaś tamtą drogę...

– Wiem, wiem... Dopadł mnie i przewrócił, jakbym była jakąś szmacianą lalką. Miał mnóstwo siły.

– Próbowałaś z nim walczyć?

– Nie miałam żadnych szans. Od razu wepchnął mi knebel, po czym wyciągnął kabel i związał mi ręce. Dwa albo trzy razy usiłowałam jeszcze wstać, lecz delektował się rzucaniem mnie na ziemię. W końcu wyciągnął drugi kabel, którym usiłował skrępować mi kostki. – Nowak upiła kolejny łyk i z odrazą odsunęła kufel od siebie. Wciąż patrzyła w jeden punkt, a kąci jej ust drżały. Opowiadana historia wywoływała mnóstwo emocji. – W momencie, gdy chwycił mnie za stopę, poczułam, że kabel na moich dłoniach jest nieco poluzowany... Jakby coś w nim się osłabiło.

– A on go nadal mocno trzymał?

– Tak.

Wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak Honoriusz to sobie wyobrażał na podstawie odcisków butów oraz po fragmencie przewodu, który widział w muzeum. Morderca chciał poprawić węzeł, mocniej ściągnął kabel, a wtedy pod ciężarem kobiety guma się rozerwała. Nowak udało się wstać i rzucić do ucieczki. Tymczasem napastnik potknął się, po czym runął, uderzając głową prosto w stojącą tuż obok parkową ławkę. To go na chwilę zatrzymało i dało kobiecie kilka sekund przewagi. Na szczęście od głównej alejki oraz ulicy dzieliło ją ledwie sto kilkadziesiąt metrów. To ją uratowało.

– Przez cały czas nie odezwał się ani słowem... – szepnęła Nowak łamiącym się głosem. – Wcześniej, gdy do mnie zadzwonił... Chyba wiesz, że Telefonista zawsze dzwonił do swoich ofiar?

Mond jedynie kiwnął głową. Nie chciał wyrywać Nowak z opowieści.

– Wtedy miał dziwny głos. Jakby mówił przez jakąś tubę czy coś... Ale w trakcie ataku nic. Kompletna cisza. Nie widziałam też jego twarzy, bo miał ją zasłoniętą jakąś opaską. Nie pamiętam... Wszyscy chcieli, żebym sobie coś przypomniała, ale ja naprawdę nic nie wiem...

– Spokojnie. To już przeszłość.

– Przestań. Jedyne, co wiem, to to, że już nigdy nie będę spokojna!

Podniesiony ton Nowak zwrócił uwagę kilku gości siedzących przy stoliku obok. Kobieta momentalnie spuściła głowę i poprawiła kaptur. Odchrząknęła i sięgnęła do kieszeni. Wyciągnęła z niej stary telefon z pękniętym wyświetlaczem.

– Spójrz. – Obróciła go w stronę Honoriusza. – Widzisz?

Mond zerknął na ekran i dwukrotnie przeczytał wyświetloną na nim wiadomość tekstową. Przeniósł wzrok na Nowak, lecz w tym samym momencie kobieta znacząco uniosła dłoń.

– Ciekawe, co? Nagle moje życie znów stało się cholernie ciekawe... Tak zapewne kazaliby mi je teraz nazywać psychiatrzy. Ciekawym, intrygującym, ewentualnie „wywołującym rozmaite emocje”. Broń Boże nie wspominając o traumie.

## 52



– Zaraz wracam. Muszę się wysikać.

Nowak wstała od stolika i poprawiwszy kaptur, skierowała się ku łazienkom. Mond nadal powtarzał w myślach treść krótkiego esemesa, który dostała kobieta.

„Oto ostrzeżenie. Niebawem znów możesz być następna”.

Czyżby Telefonista powrócił po latach i zamiast dzwonić, rozsyłał wiadomości tekstowe z upiornym komunikatem? To było dziwne i budziło wątpliwości. Tak samo jak cała forma tego esemesa.

– „Możesz być następna”? – wyszeptał Honoriusz.



Również ten fragment mu nie pasował. Nie potrafił jednoznacznie powiedzieć dlaczego, ale coś w tym nie grało. Warunkowość? Brak deklaratywności?

„Będziesz następna” – to brzmiałoby znacznie lepiej i dobitniej. O ile w takich kategoriach można było rozważać wiadomość od mordercy. Jednak musiał przyznać, że te kilka słów mogło wprowadzić w istotną konsternację. Do tego pochodziły z numeru, który został zastrzeżony. To akurat mogło być jednak korzystne. Skoro numer zastrzeżono, dbano o jego utajnienie, a przez to należało sądzić, że esemes nie został nadany przez systemy szyfrujące. Choć równie dobrze utajnienie bzdurnego numeru mogło być kolejnym zagranem zabierającym służbom bezcenny czas. Domniemania prowadziły do kolejnych domniemań i tak w nieskończoność... Należało to przerwać.

Mond nagle uświadomił sobie, że Nowak nie wraca już co najmniej od pięciu minut. Zerknął na zegarek i zaczął niecierpliwie odmierzać. Minęły kolejne dwie minuty, a w lokalu było tak mało osób, że przy łazienkach nie mogło być nadzwyczaj długiej kolejki. Chyba że doszło do jakiejś awarii...

Podniósł się i przeszedł między stolikami ku bocznemu korytarzowi. Nie. Nie dostrzegł ani jednej kobiety stojącej przed toaletami. Zapukał i wszedł do środka. Przed lustrem stała około dwudziestoletnia kobieta z pomadką w dłoni. Obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

– Przepraszam... – Honoriusz zwrócił się ku kabinom i krzyknął: – Dario? Jesteś tu?

Odpowiedziała mu cisza. Odczekał jeszcze kilka sekund, po czym zawrócił na główną salę. Zdenerwowany przeszedł samym środkiem, rozglądając się dokoła. Nagle przystanął i przymknął oczy. Skupił się na wydarzeniach sprzed paru minut. Powoli odtwarzał to, co działo się wokół niego, gdy skoncentrował się na treści wiadomości tekstowej.

Był całkowicie pewny, że w pobliżu nie pojawił się nikt podejrzany. I niemal z równą pewnością mógł stwierdzić, że Nowak zamiast w stronę toalet udała się ku wyjściu. Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Dlaczego pozwolił jej odejść?

Zirytowany westchnął i wsunął pod szklaneczkę po absyncie banknot. Nigdy nie wychodził bez zostawienia napiwku, choć dziś obsłużył się praktycznie całkowicie sam. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po ostatnich gościach lokalu i skierował się do wyjścia. Wbiegł po schodach, po czym wypadł na ulicę.

Było niemal zupełnie pusto. Ulicą jechały jedynie dwie taksówki, a w promieniu kilkudziesięciu metrów dostrzegł tylko grupkę nastolatków palących papierosy. Poza tym nic. Cisza. Kraków pogrążał się w tak rzadko sobie znanym śnie. Być może to gorąca noc zniechęcała do zbyt długich zabaw, może wprowadzona jakiś czas temu prohibicja, a może po prostu była to śmierć. Ta ostatnia myśl, choć absurdalna, nie dawała Mondowi spokoju. Ból ponownie rozlał się po całym jego ciele.

## DZIEŃ TRZECI

53



Noc była nicością.

Mond jak przez mgłę pamiętał powrót do hotelu i to, że zasiadł do swojego rytualnego wypalenia opium. Przygotował sporządzony przez siebie narkotyk, wyjął zabytkową chińską fajkę z kości słoniowej, wreszcie położył się z nią do łóżka. Iluż opiumistów spłonęło we własnych łóżkach! W XIX wieku w imperium brytyjskim krążyły nawet o tym dowcipy, lecz Honoriusz nie zaprzętał sobie nimi głowy. Palił, delektując się lekko goryczkowym smakiem dymu.

Niebyt nadchodził szybko. Najpierw rozluźniały się mięśnie, potem rozprostowywały myśli, a kolejnym etapem było niemal całkowite zjednoczenie się z otoczeniem. Uczucie, jakby w jakiś cudowny sposób ciało rozpadało się, a następnie zostało rozwiane przez niewyczuwalny wiatr tak, że pozostałe z niego atomy mieszały się z uniwersum. To doświadczenie było niepowtarzalne. I właśnie dla niego, a może przez nie, Honoriusz zmienił swój sposób postrzegania świata oraz boskości.

Nie interesowały go żadne konkretne bóstwa ani religie. W zetknięciu z nimi logika okazywała się niewystarczająca, więc całkowicie tego zaniechał. Nie miał jednak wątpliwości, że człowiek jest częścią ogromnej, skomplikowanej maszyny, jaką była natura. Naturą nazywał wszechświat oraz wszelkie prawa fizyki i ewentualne prawa tej fizyce przeczące. Wszystko to było jednością. Zło, dobro, piękno i brzydota nie miały żadnego znaczenia. Przeplatały się lub uzupełniały. A może nigdy nie były rozdzielone? Może to człowiek starał się dokonać zbędnych klasyfikacji i przez to wprowadzał zbędne kategorie...

Myśli Monda wciąż nie były klarowne. Zasiadł przy szpinecie i wygrał kilka prostych melodii. To go zawsze uspokajało. Muzyka stanowiła przykład boskości równie dobry jak cuda wskazywane przez chrześcijańskich teologów. W harmonii dźwięków znajdował więcej ukojenia niż w świętych pismach i w modlitwie.

Grał coraz szybciej, do tego coraz mocniej improwizując. Fragmenty znanych utworów przeplatał z własnymi wstawkami oraz nadawał im ton własnych emocji. Ponury, gniewny, szarpany... Na zewnątrz niemal zawsze pozostawał niczym rzeźba wykuta z najtwardszego kamienia, bez emocji i lodowato zimny, lecz muzyka otwierała drzwi do jego duszy. Muzyka była przejściem do świata prawdy, przejściem, z którego mogli korzystać nie tylko inni – obserwując Monda grającego na szpinecie, ale i on sam. Dlatego rzadko kiedy grywał, gdy znajdował się w towarzystwie. Muzyka oraz opium stanowiły bardzo intymną część jego życia.

Właśnie teraz ożywały w nim najskrytsze wspomnienia. Zamieszania w domu rodzinnym, gdy zorientowano się, że jego siostra zaginęła, rozpytywań policyjnych i akcji poszukiwawczej, w której wzięli udział również sąsiedzi. Pamiętał stężoną, szaroblada twarz ojca i opuchniętą od płaczu twarz matki. Pamiętał ciało siostry przywiezione do mieszczącej się w ich domu pracowni. A co dokładnie było pomiędzy i jak długo to pomiędzy trwało? Zamiast nad tym skupił się na analizowaniu wszystkich osób, które widział w tamtym czasie. Jego fotograficzna pamięć przywoływała je nawet po tylu latach. Zastanawiał się nad nimi tysiące razy, starając się odgadnąć kryjące się na twarzach emocje.

Obwoźny lodziarz z odstającymi uszami i oczami osadzonymi we wgłębieniach przypominających kratery wulkanu pełne lawy. Przechodzień o pustym wzroku i nieudolnie zoperowanej zajęcej wardze. Kobieta w czerwonej sukience w grochy. Dwóch nastolatków w czarnych łachach, glanach i z długimi włosami. Jeden z nich stał oparty o mur rodzinnej posiadłości Monda i wymiotował. Kobieta w sukience prowadziła fioletowy rower z bagażnikiem, na którym była jakaś siatka. Poza tym...

Strumień myśli został przerwany przez dzwonek telefonu Honoriusza. Tego ranka *Komm, süsser Todd* Bacha brzmiało bardziej ponuro niż zwykle. Mężczyzna pośpiesznie odebrał i przyłożył komórkę do ucha.

– Halo...

Po chwili usłyszał przybity ton Berga.

– Niedawno zgłoszono zaginięcie. – Po tych słowach komisarz zawiesił głos.

Mond oparł czoło na dłoni i przymknął oczy.

– To nic niezwykłego. Codziennie ginie wielu ludzi, ale zdecydowana większość się odnajduje.

– Wiem.

– Więc? Dlaczego się pan przejmuje?

– Bo to nie pierwsza z brzegu osoba. Lepiej niech pan się teraz skupi i posłucha bardzo uważnie, panie Mortalisto.

## 54



Mond uznał, że w jego obecnym stanie warto przystać na złożoną przez Berga propozycję podwózki. Komisarz zjawił się pod Hotelem Francuskim punktualnie i dynamicznie wyrwał bmw do przodu, nie patyczkując się ze spacerującymi środkiem ulicy ludźmi. Trąbił, wrzeszczał, wreszcie włączył stroboskop. Dopiero gdy wyjechali poza Planty, odwrócił się do Honoriusza.

– I co myślisz o tym wszystkim?

Pytanie mogło dotyczyć czegokolwiek, w końcu „wszystko” było równoznaczne z niczym konkretnym, ale Mond nie miał ochoty brnąć w absurdalne tezy ani rozważania. Wiedział, do czego pije Berg.

– Liczyłem, że to pan powie mi cokolwiek więcej – przyznał ponuro.

– Wiem dokładnie tyle, co powiedziałem. Zaginął emerytowany policjant, który prowadził śledztwo w sprawie Telefonisty. Na tym pakiet

moich informacji zostaje praktycznie wyczerpany.

– A teoretycznie?

– Też. Niech cię szlag.

Berg parsknął, a Honoriusz oparł głowę o zagłówek i przymknął oczy. Wciąż czuł lekkie odurzenie oraz skołowanie. Starał się jednak zebrać myśli.

– Adam Lambicz? – wypowiedział po chwili.

Komisarz zerknął na niego kątem oka. Przytaknął z uznaniem i ponownie skupił się na prowadzeniu. Jechali teraz grubo ponad setkę, lawirując w porannym korku.

– Jakim cudem go wytypowałeś?

– Zapamiętałem go z akt. – Mond otworzył oczy i wyjrzał za okno. Minęli właśnie Galerię Bonarka i kierowali się ulicą Kamińskiego na wschód. Na szczęście znacznie większy ruch był w przeciwną stronę. – Lambicz na polecenie Newskiej prowadził czynności przeciw Egmontowi. Choć nie spowodował żadnego przełomu, węszył, jak mógł. A to już coś. Większość innych śledczych nie doszła do żadnych konkretów, a nie sądziłem, by mógł zaginąć ktoś z samej góry. Kwestia dedukcji, eliminacji oraz statystyki.

– Z niezłym efektem. Tak, to właśnie o niego chodzi. – Berg zwolnił i skręcił w boczną uliczkę prowadzącą osiedlem starych domów jednorodzinnych. – Facet mieszka tu niedaleko, choć ostatni raz widziano go na działce, którą uprawia. Chyba wpadł na dobry pomysł wyrwania się na emeryturze od żony...

– Czyli nie jedziemy na tę działkę?

– Nie. To niecały kilometr stąd, lecz wysłałem tam techników. My najpierw porozmawiamy z jego żoną...

– Niech będzie.

– Nie widzę entuzjazmu.

Mond wydał usta i sięgnął do kieszeni. Od kilku sekund czuł wibrację telefonu.

– Nie lubię rozmawiać z ludźmi... – mruknął, po czym zerknął na wyświetlacz. Dzwoniła Allegra.

Honoriusz odebrał i wysłuchał płomiennego kazania o tym, że trudniej do niego się dodzwonić niż do papieża. Następnie Szmit przyznała, że kończy jakieś drobne zlecenie, do którego nie był jej wcale potrzebny, a wreszcie przerwała w pół zdania.

– Co się stało? – zapytała po chwili milczenia.

– Co się miało stać? – Mond udał niewiniątko.

– Nie irytuj mnie. Wiem, że siedzi przy tobie komisarz Berg. Nikt nie parska tak regularnie i tak głośno jak on.

Honoriusz zerknął na policjanta i się uśmiechnął. Chwilę później w kilku zdaniach wyjaśnił, co się wydarzyło.

## 55



Rozmowa z Anną Lambicz była krótka i konkretna. Przede wszystkim na tym etapie śledztwa nie zamierzano wprowadzać zamieszania, rzucać zbędnych podejrzeń albo choćby sugestii. Emerytowany policjant został potraktowany jak każdy inny zaginiony. No, może z kilkoma wyjątkami... Jednak udało się nie wprowadzić paniki. Kobieta podejrzewała nawet, że jej mąż, wracając z działki, zaszedł gdzieś na kilka głębszych i zabalował. Ponoć zdarzało mu się to wcześniej, choć nigdy impreza nie przeciągała się na kilka dni. Mimo to każda próba znalezienia wytłumaczenia uspokajała.

Lambicz zostawił w domu telefon komórkowy i zdawało się, że nie wiecie za nim żaden trop. Po kilkunastu minutach Mond oraz Berg opuścili jego mieszkanie, po czym ruszyli na piechotę ku nieodległej działce. Tam już stał zaparkowany wóz techników, a wokół kręciło się kilku mundurowych. Komisarz jakimś cudem zdołał przekonać panią Lambicz, że to standardowa procedura, i kobieta zawróciła do domu. Dała im klucze, pozwoliła działać, po czym zniknęła.

– No to do dzieła...

Mond głęboko wciągnął powietrze i wszedł na ogrodzony teren. Poruszał się powoli, z lekko przymkniętymi oczami oraz zmarszczonym czołem. Kapelusz zsunął na tył głowy, ale nie zdecydował się poluzować węzła krawatu. Jego metodyczność niebawem zaczęła irytować Berga.

– Przyjechałeś tu oglądać rośliny? – parsknął. – Może wykupić ci karnet do ogrodu botanicznego?

Honoriusz nie zareagował na jego ironiczny ton.

– Wszystko się może przydać, komisarzu. Już panu powtarzałem, że nie ma rzeczy istotnych bardziej oraz mniej. Przynajmniej nie w momencie, gdy nie ma się bladego pojęcia, dokąd zmierzamy. To, co się wydaje oczywiste, może wcale takim nie być – mówił powoli, uważnie rozglądając się wokół. Zatrzymywał się przy kolejnych roślinach; bagatelizując uwagi kryminalistyków, zbaczał z wytyczonych ścieżek na trawniki i co rusz brał głębokie oddechy niczym pies tropiący. – Wiele osób było przekonanych, że w lasach odnalazło zwłoki. Po przybyciu na miejsce służb okazywało się, że te osoby trafiły na grzyb zwany palcami umarlaka, czyli próchnilca maczugowatego znanego naukowcom jako *Xylaria polymorpha*. Widział go pan?

– Nie – mruknął Berg. – I nie wiem, do czego pan zmierza, gadając o jakimś cudacznym grzybie.

– Mówię tylko, że nic nie jest takie, jak nam się wydaje. Albo raczej, może być całkowicie inne, niż wydaje się na pierwszy rzut oka.

– Nadal nie łapię.

– A ja i owszem. Wiem, że były policjant może dać się zaskoczyć, gdy jest nad czymś całkowicie skupiony. Zaatakowano go dokładnie tutaj.

Mond wycelował palcem w miejsce po swojej lewej. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że niczego tam nie ma. Kilka krzewów róż, gumowy wąż do nawodnienia, nieco dalej pachnąca wisteria, rozpięta na drewnianej pergoli.

– Tu? – Berg cicho się zaśmiał. – I co tu niby widzisz, Mortalisto?

Mimo pozornie sarkastycznego tonu komisarz ukradkiem dał znać, by jeden z techników natychmiast do nich podszedł. Mond przykucnął i wskazał na krzak róży.



– Widzi pan?

– Co? Niczego nie widzę...

– Te gałązki. To odmiana damasceńska Rose de Resht z bardzo giętkimi pędami, a mimo to są wyłamane. Żaden ogrodnik nie pozwoliłby sobie na uszkodzenie tak cennej, pięknej odmiany. Chyba że upadłby właśnie na nią. Tam... – Mond przesunął rękę i wymierzył palcem w skopaną ziemię. – Jest ślad dłoni. Wszystkie grządki są wypielone, jak przystało na policjanta, pod linijkę. Pieliał pan kiedyś grządkę?

Berg przewrócił oczami i sarknął. Prawdopodobnie miało to być odpowiedzią przeczącą.

– Odbicie dłoni w przekopanej ziemi potrafi rozerwać serce. Podobnie jak ślad buta.

– Sprawdźcie to. – Komisarz dał znak technikom.

Tymczasem Mond się wyprostował i założył dłonie za plecy. Po chwili kontynuował swój wywód.

– W jednej z powieści Agathy Christie dzięki róży Zephirine Drouhin udaje się wytypować sprawcę. Jedna z postaci twierdzi, że podrapała się jej kolcami, a to róża, która praktycznie nie posiada kolców...

– To piękny wykład botaniczny, ale już możesz sobie darować. Mam tego dość.

– Sam mnie pan zapytał o zdanie.

Mond odwrócił się, słysząc krzyki. Przy wejściu na działkę dostrzegł panią Lambicz. Kobieta wyrwała się policjantom i rzuciła w ich stronę.

– Coś mi się przypomniało... – wykrztusiła, starając się złapać oddech. Na jej twarzy gościł blady strach.

– On wrócił, prawda? – zapytała świszczącym głosem. – Telefonista, znów się pojawił? Odpowiedzcie mi, do cholery!



– Dlaczego mi nie powiedzieliście! – Anna Lambicz zatrzymała się tuż przed Bergiem, jakby miała go uderzyć. Uniosła dłoń, lecz zaraz bezradnie ją opuściła. – Dlaczego?

– O czym pani mówi? – Komisarz spojrział na nią z góry. Przybrał minę potulnego, przestraszonego spaniela. – Skąd w ogóle te przypuszczenia?

– On wrócił...

Kobieta załkała i pociągnęła nosem. Przeczesała kieszenie w poszukiwaniu chusteczki, wreszcie znalazła ją ukrytą w rękawie bluzki. Wysmarkała się, po czym powiodła wyzywającym wzrokiem od Berga po Monda.

– Mąż nigdy niczego przede mną nie ukrywał – odezwała się znacznie mniej szarpanym głosem niż przed kilkudziesięcioma sekundami. – Przynajmniej jeśli chodzi o sprawy zawodowe... Nie miał przede mną żadnych tajemnic.

– To całkowicie zrozumiałe – przyznał Honoriusz.

– Kiedy prowadził sprawę Telefonisty...

Kobieta urwała i spuściła wzrok. Jej ramiona ponownie zadrżały. Berg podszedł do niej, po czym delikatnie ją przytulił. Honoriusz nie spodziewał się, że komisarza stać na podobny gest i że zostanie on tak ciepło przyjęty przez panią Lambicz. Ta po prostu wtuliła się w jego pierś, po czym wybuchła głośnym płaczem. Uspokoila się dopiero po dobrej minucie. Otarła oczy, ponownie się wysmarkała i spojrziała na Monda. W podobnych chwilach jego brak empatii bywał odbierany szczególnie negatywnie. Zdarzało się, że wywoływał otwartą wrogość, dlatego Honoriusz wolał unikać spotkań z rodzinami ofiar zbrodni oraz osób zaginionych.

Mimo to pani Lambicz wyraźnie się uspokoiła. Uniosła nawet dłonie w przepaszającym geście i ostrożnie się cofnęła.

– Przed wyjściem z domu Adam dostał dziwny telefon – odezwała się wisielczym tonem. – Nie słyszałam o czym ani z kim rozmawiał, lecz był wyraźnie rozdrażniony. A teraz w dzienniku... Wczoraj mówili o jakiejś

kobiecie, o prokurator prowadzącej sprawę Telefonisty... To on? Czy on wrócił?

Kobieta znowu się załamała. Błagalnie wyciągnęła ręce ku Mondowi i złożyła dłonie w geście modlitwy. Berg ponownie ją przytulił, lecz tym razem go odtrąciła. Komisarz natychmiast przywołał stojącego w pobliżu policjanta.

– Niech pani Lambicz przekaże wam telefon męża. Sprawdźcie ostatnie połączenia i ustalcie, z kim rozmawiał.

Po tych słowach Berg porozumiewawczo zerknął na Honoriusza. W jego wzroku po raz pierwszy pojawiła się iskierka nadziei. Morderca mógł popełnić błąd.

## 57



Po blisko dwóch godzinach spędzonych na oględzinach ogrodu Mond wreszcie uznał, że niczego nie przegapił. Zajrzał pod każdy krzak, kilkakrotnie przeszedł wzdłuż rozłożonego gumowego węża, przeanalizował ostatnie prace prowadzone przez emerytowanego policjanta, nawet położył się na trawie niedaleko miejsca, gdzie – jak sądził – został on zaatakowany.

– Nic tu po mnie. *Ars est finita*. – Teatralnie skłonił się szefowej ekipy kryminalistycznej, uścisnął dłoń Berga i wyszedł z ogrodu.

Po roku od zainstalowania przez Szmit nauczył się już całkiem sprawnie obsługiwać aplikację nadzorującą hulajnogi elektryczne. Choć był człowiekiem całkowicie nietechnicznym, dla którego telewizor stanowił zbędny wynalazek, w tym aspekcie rozwoju cywilizacji dostrzegł wiele korzyści. I często po niego sięgał.

Znalezienie hulajnogi zajęło mu tylko kilka minut. Znacznie dłużej trwała podróż na Prądnik Czerwony, gdzie Szmit nadal nie zakończyła owego drobnego zlecenia, o którym wspomniała. Kiedy do niej dołączył,

okazało się, że prowadzi beznadziejną walkę z plagą szczurów w piwnicy kamienicy przerobionej na dwupiętrową restaurację.

– Zabijasz swoich braci mniejszych? – zagadnął, wpierw dostrzegłszy uciekającego gryzonia, a potem Allegrę, która pośród reflektorów rozstawiała trutki. – Czy to nie jest przypadkiem grzechem?

Szmit drgnęła, przestraszona niespodziewaną wizytą. Wyprostowała się i spojrzała na zegarek. Była potwornie zmęczona. Rozstawiła już kilkadziesiąt pułapek, rozłożyła drugie tyle porcji trutki, złapała i spacyfikowała mnóstwo szczurów, a nie był to z pewnością koniec.

– Myślałam, że jest jakieś dwie godziny wcześniej...

– Na dobrej zabawie szybko upływa czas.

– Nie bądź uszczypliwy. – Szmit zsunęła kaptur stroju zabezpieczającego i odstawiła butelkę z chemikaliami. – Opowiadaj...

Mond rzadko stawał się wylewny, lecz teraz tylko na to czekał. Był osobą wierzącą, przekonaną, że człowiek jest skrajnie egocentryczną istotą i we wszystkim kieruje się jedynie własnym interesem. Jego zdaniem egocentrycznymi były miłość, serdeczność oraz działalność charytatywna. Ci, co dzielili się z obcymi, robili to, gdyż zaspokajali tym przede wszystkim własne sumienie. Miłość stanowiła naturalną potrzebę części ludzkości i to właśnie do potrzeby ją sprowadzał. Tak samo nie zamierzał się oszukiwać, że jego chęć podzielenia się ze Szmit ostatnimi wydarzeniami bazowała na czymś innym niż pragnieniu uporządkowania myśli. Wyrażając je na głos, tworzył coś na kształt spójnej partytury...

Oparł się o nagi ceglany mur i z przyjemnością poczuł jego wilgotny chłód. Powoli, metodycznie opowiedział Allegrze o wczorajszym spotkaniu z Darią Nowak, o otrzymanej przez nią wiadomości, wreszcie o zaginionym policjancie. Relacja trwała na tyle długo, że w pewnym momencie zaczęli wspólnie ze Szmit rozstawiać kolejne trutki. Pracowali, on mówił, a ona słuchała. W końcu jego opowieść dobiegła końca.

– Boże Śnięty...

Te dwa słowa były najwymowniejszą reakcją Allegry. Kobieta zamknęła specjalny pojemnik i zdjęła z ust maseczkę. Odkasznęła, po czym badawczo spojrzała na Monda. Honoriusz nie powiedział już nic więcej. Stał zadumany, wciąż rozważając ułożoną na nowo i uporządkowaną historię. Trzymał dłonie za plecami, był nieco pochylony, przypominając wędrowca nad morzem mgły z obrazu Caspara Friedricha.

Szmit zdjęła kombinezon ochronny i wyciągnęła telefon. Sprawdziła, czy nie ma żadnych nieodebranych połączeń, po czym bezmyślnie włączyła przeglądarkę. Jako stronę startową miała ustawiony lokalny portal informacyjny. Gdy załadował się pierwszy nagłówek, aparat niemal wypadł jej z dłoni.

– Oż diabli... – szepnęła.

## 58



– Co robić? – Henryk spojrzał w lustro, w którym odbijał się Roland. Absurd, ale taka była rzeczywistość. Wiedział, że jego usta są cudzymi ustami, choć myśli należały do nich obu. Komunikowali się werbalnie, gdyż mieli na różne sprawy całkowicie odmienne zapatrywania. Czasem gadali jak najęci, ale równie często milczeli.

– Czekać.

Odpowiedź Rolanda była jak zawsze szybka i zdecydowana, a przez to nieprzemyślana. W czekaniu nie było ani nic szybkiego, ani tym bardziej nic zdecydowanego.

– Na co? – zapytał.

– Czy czekać zawsze trzeba na coś? Nie można po prostu czekać? To byłoby najwygodniejsze i najłatwiejsze. Tak czekali nasi przodkowie setki tysięcy lat temu. Dzięki czekaniu powstaliśmy my i powstaną nasi potomkowie.

Henryk miał ochotę złapać się za gardło. A raczej złapać Rolanda, ale to jakby wychodziło na to samo. Coś niecoś o tym wiedział. Nie był kompletnym świrem, a kilka terapii pozwoliło mu pojąć skalę problemu. Po prostu psychiatrzy nie rozumieli, o co mu chodzi. Dla nich nierealnymi były prawdziwe problemy. Nie potrafili ich właściwie uchwycić, bagatelizując jakiegokolwiek objawy. Poza tym nigdy nie wiedzieli, z kim rozmawiają, a to był zasadniczy błąd.

– Mógłbym zabijać dalej – syknął dwuosobowy chór. – Od dawna.

– Mógłbyś – przyznał Roland.

– Mógłbyś – zrzucił na niego Henryk.

Mężczyzna się skrzywił. Nie chciał zabijać i miał poczucie, że wyrządził wiele zła. Jakaś część jego osobowości rozumiała, że mordowanie nawet w szczytnym celu jest niemoralne. Nawet gdyby miał rozładować buzujące w sobie emocje i ukoić ból Henryka lub zaspokoić pragnienia Rolanda. Jeden z nich potrafił doskonale usprawiedliwić drugiego. To było wygodne i złudne. Wiedział o tym. Tym bardziej że czasem miał wrażenie, że w ich kohabitację, w ich doskonałą niemal bliźniaczą symbiozę wkraczał ktoś jeszcze. Wtedy zdarzało się im obu zapaść w sen, a ciałem rządził ktoś inny. Ale czy dokładnie taka sama myśl nie przyświeca każdemu człowiekowi? Czy w ciała wszystkich śpiących ludzi nie wstępują demony? W końcu znika wówczas to, co człowiek ma najważniejszego – indywidualność, poczucie własnej odrębności i świadomość. Stajemy się nicością.

Jak umarli.

W końcu śmierć, niczym sen, bywała łaską. Zabijanie było czynem miłosierdzia, choć oczywiście często prowadziły do niego plugawe rządze. Przez odebranie życia następowało rozgrzeszenie. O tym wiedział każdy z nich.

– Będziesz musiał robić to dalej... Już nikt ci nie wybaczy, skoro wszyscy wiedzą.

– W takim razie dlaczego się kryć?

– Bo nie mogą ci niczego udowodnić.

Te zdania wypowiadały wszystkie głosy oddzielnie i jednocześnie razem. Jego głowa wydawała się bliska wybuchu. Niczym wulkan, pod którego zastygniętym kraterem zbierała się i buzowała gorąca lava. Eksplozja mogła doprowadzić do hekatombi ludzkości lub końca tylko jego jednego. Nie było w tym przecież żadnej różnicy.

Śmierć jednego człowieka równała się śmierci całego świata. Ot co.

## 59



Mond niemal wyrwał telefon z dłoni Szmit. Z niedowierzaniem dwukrotnie przeczytał krótką informację z sensacyjnym nagłówkiem oraz kiczowatą fotografią ściągniętą z domeny publicznej. Zgodnie z jej treścią w skrzynce pocztowej państwa Lambiczów znaleziono odcięty palec. Na palcu znajdowała się obrączka, która ponad wszelką wątpliwość należała do pana Adama.

– Palec tego policjanta? – Allegra skrzywiła się z odrazą. Nie obrzydzała jej jednak sama myśl o odciętej części ciała. – To takie tandetne. Oklepane i banalne...

– Chciałabyś czegoś bardziej wymyślnego?

– Wolałabym się obejść, ale takie coś... To obleśne, lecz zarazem rozczarowujące. *Passé*.

Mond pstryknął palcami.

– Właśnie. Rozczarowujące. Nic, co robi ten szaleniec, nie jest tak intrygujące, jak pierwotne działania Telefonisty. To po prostu zużycie materiału czy kwestia przyzwyczajania się publiki?

Honoriusz uśmiechnął się blado i wyciągnął swój telefon. W tym samym momencie aparat zawibrował.

– Berg... – Mond łypnął na Allegrę i odebrał. – Spodziewam się, że sprowadzają pana te same wieści, które i mnie kazały pomyśleć o panu, komisarzu.

Policjant głośno fuknął.

– Ten szaleniec zadzwonił do redakcji paru gazet. Rozumiesz? Zrobił show i załatwił mi połowę zespołu, która właśnie robi za rzeczników prasowych. Burdel na kółkach.

– Nie sądzę, żeby dzwonił pan do mnie, aby się pożalić.

– Nie. Choć jak na złość w pobliżu domu tych ludzi nie ma żadnego monitoringu ani prywatnych kamer... Ktoś wrzucił im do skrzynki list z pieprzonym palcem i pozostał nieuchwytny. Żaden sąsiad, z którym do tej pory rozmawialiśmy, niczego nie widział.

– Nadal się pan żali.

– Liczę, że mi pomożesz. Muszę szybko mieć jakiś dowód albo przełom... Inaczej osiągniemy punkt krytyczny i zrobi się afera. Właściwie aferę już mamy, ale... Dobra, dzwonię, żeby się pożalić. Przyznaję.

Mond włączył tryb głośnomówiący i położył telefon na wykuszu piwnicznego okna. Spod stóp uciekł mu kolejny szczur. Szmit powstrzymała się przed zaklnięciem.

– Pomogę panu. Ale niezmiennie muszę znać wszystkie fakty i okoliczności. Czy zlokalizowano telefon, z którego skontaktowano się z mediami?

Berg sapnął.

– Co to za pogłos? Jestem na głośnomówiącym?

– Poza mną i Allegrą słyszą pana jedynie szczury – przyznał Mond. – Ale za to większe od dużego bochenka chleba.

– Nawet nie zamierzam wnikać. A co do tego telefonu... – Berg zawiesił głos, lecz po chwili ciągnął dalej: – Ustalono jego tożsamość z numerem, z którego dzwoniło do tego policjanta przed zaginięciem...

– Należał do pani prokurator? To był jej numer służbowy, skoro prywatny zachowała... ekhm... dla siebie?

– Skąd, do cholery, wiedziałeś?

Mond się uśmiechnął i wzruszył ramionami. Dostrzegł, że Allegra jest równie zaskoczona, co Berg, ale nie zamierzał niczego wyjaśniać.

– To po prostu przypuszczenie. Cieszę się, że trafne.



– Trafne jak diabli... Komórka była wyłączona przez ponad dobę i nie zarejestrowały jej żadne stacje BTS ani jakiegokolwiek inne. Morderca włączył go dopiero w okolicy domu Lambicza, więc pewnie dzwonił do niego, stojąc niemal pod jego furtką. Potem znów go wyłączył...

– Czyli był ślad, ale już go nie ma?

– Wyraziłeś się tak precyzyjnie, jak sam bym to zrobił. – Mało brakowało, by Berg zaczął mu nerwowo bić brawo. – Co mam robić? – zapytał zrezygnowany. – Nie ochronię każdej osoby związanej ze śledztwem w sprawie Telefonisty. Swoją drogą dlaczego akurat je sprawca wybrał na cele?

Mond zamarł w bezruchu i wstrzymał oddech. Nagle błyskawicznie się przesunął, po czym obcasem wymierzył cios prosto w kark szczura. Zwierzę pisnęło i padło martwe.

– Halo? Co tam się dzieje?

Honoriusz chwycił telefon w dłoń i ponownie przyłożył go do ucha.

– Czy ktoś z pańskich ludzi miał wczoraj na oku Jana Egmonta?

– To właśnie jest inna ciekawa historia...

Berg po raz kolejny zawiesił głos. Tym razem na znacznie dłużej.

## 60



– Egmont również przepadł. Nie był traktowany jako podejrzewany, nie nachodziliśmy go, nie powinien mieć żadnych obaw, a jednak przepadł... Już sam nie mam choćby najbledszego pojęcia, czy prysnął, czy ktoś go dorwał, czy co się mogło stać. Mam święcie dość, Mortalisto. Mówię to pierwszy raz w życiu, ale mam serdecznie dość tego burdelu, zła i w ogóle ludzi.

– Przynajmniej wyklarował się pański światopogląd.

– Że co się wyklarowało?

Mond nie sprecyzował. Przekazał szeptem ostatnią wiadomość Allegrze i ponownie oparł się o ceglany mur. Gdzieś w pobliżu słyszał popiskiwanie szczura. Poruszył się, zrobił kilka kroków i...

Szmit chwyciła go za ramię. Zaskoczony, zatrzymał się i uświadomił sobie, że ledwie o kilka centymetrów minął pułapkę, która mogłaby solidnie poharatać mu stopę. Z wdzięcznością skinął głową do Allegry i ponownie zwrócił się do Berga:

– W końcu i on był związany z poprzednim śledztwem – skwitował. – Być może rola w nim nie odgrywa żadnego znaczenia dla naszego dewianta. Można było być śledczym lub podejrzewanym...

Komisarz wszedł mu w słowo.

– Nawet nie kracz. Nie chcę mieć na głowie kolejnego zaginionego... Jeden gliniarz już mi wystarczy. Chyba że...

– Nie. – Honoriusz domyślił się, co chce powiedzieć Berg. – Prawdopodobieństwo, że to nie Egmont stoi za mordami, graniczy z pewnością. Nagrania z przychodni jednoznacznie wyrzucają go z kręgu obecnie podejrzewanych.

– I przenoszą do worka z ofiarami.

– Jest pan dzisiaj wyjątkowo metaforyczny, komisarzu. Powinien pan naprawdę uznać te wydarzenia za wkład w rozwój osobisty pańskiej jakże złożonej osobowości...

Mond dał znać Szmit, by za nim poszła. Skierował się wąskim korytarzem na zewnątrz budynku i wyszedł z niego drzwiami prowadzącymi na niewielkie podwórze. Stał tu śmietnik oraz znajdował się parking dla dwóch aut. W powietrzu unosił się duszny, lepki zapach, jakim pachniały wszelkie kamieniczne podwórza świata.

– Dostałem też ciekawy telefon... – Berg najwyraźniej zostawił sobie tę ciekawostkę na sam koniec. – Ta sprawa ociera się o jakąś kompletną abstrakcję... Niech pan tylko zgadnie, kto dzwonił.

Mond z założenia nigdy niczego nie zgadywał, więc milczał, czekając, aż komisarz sam zdradzi mu tę tajemnicę. Nie musiał czekać zbyt długo.



Szaleniec poluzował sznurek, który do tej pory ciasno oplatał nadgarstek Adama Lambicza. Dłoń mężczyzny była tak opuchnięta, że przypominała nieforemny, purpurowy balon. Jednocześnie jej część pod obciętym palcem pozostawała bladoszara. W ciągu kilku sekund po zwolnieniu zacisku krew zaczęła siąść z rany. Biel kości paliczka natychmiast została zasłonięta przez coraz intensywniejszy purpurowy strumień.

– Nie stracisz przytomności – wysyczał napastnik. – Obiecuję, że nie będzie tak łatwo.

Chlusnął emerytowanemu policjantowi w twarz wodą z miski. Dwukrotnie wymierzył mu policzek, po czym powoli go obszedł. W pomieszczeniu znajdowało się tylko jedno źródło światła – mocny reflektor na trójnogu, jakich używali malarze pokojowi. Jego klosz został skierowany prosto na więźnia. Mocne, blade światło nie tylko go oślepiało i otumaniało, lecz nie pozwalało dostrzec choćby zarysu sylwetki porywacza.

Lambicz usiłował się poruszyć. Ból promieniował mu na całą dłoń i aż po ramię. Gdyby nie wetknięty w usta knebel, nie powstrzymałby się od krzyku. Oddychał szybko i nierówno. W głowie raz po raz kołatał mu się obraz kuchennego toporka odrąbującego mu palec. Napastnik dał mu do zrozumienia, że jest zdolny do wszystkiego. I że na tym nie poprzestanie.

– Chciałeś coś powiedzieć? – Porywacz nachylił się i sięgnął ku jego ustom. Jednym ruchem wyrwał szmaciany knebel. – No, śmiało. Ale porządnie się zastanów, bo to mogą być twoje ostatnie słowa. Głupio odejść z tego świata po palnięciu jakiejś głupoty, no nie?

Lambicz drgnął. Jeszcze przed chwilą wydawało mu się, że ma milion pomysłów na zagadanie sprawcy i przekonanie, aby go wypuścił, lecz teraz wszystkie z nich uleciały niczym aromat podrobionych perfum.

– Więc? Powiesz coś?

Policjant otworzył usta, ale jego język przypominał wyschnięty drewniany kołek. Nie mógł nim poruszyć. Wydał z siebie niezrozumiały bełkot.

– Tak myślałem. – Porywacz parsknął i gwałtownie się przesunął. – Żadnych sentencji, żadnych pożegnań, żadnych podniosłych słów.

Skrepowany mężczyzna każdym porem wyczuwał nadchodzące niebezpieczeństwo. Usiłował się bronić, lecz wykonał jedynie konwulsyjny ruch, przesuwając się o kilka centymetrów. Wtedy poczuł nadchodzącą śmierć.

Gumowy kabel został zarzucony na jego szyję. Napastnik z całych sił zacisnął pętlę i pochylił się nad ofiarą. Z jego ust wydobył się tryumfalny skowyt. Odgłos, jakby dzikie zwierzę, oznajmiało wszem wobec, że oto dopadło do upragnionej ofiary.

Lambicz miał wrażenie, że przewód dosłownie odcina mu głowę. Poczul piekielny ból przetyku, który całkowicie przyćmił wszystkie wcześniejsze cierpienia. Rozległ się cichy trzask przypominający dźwięk łamanej szyi indyczej. Następnie usta mężczyzny otworzyły się nienaturalnie szeroko, a z głębi jego gardła dobiegły się stłumiony bulgot oraz czknięcie. Kilka kropli krwi wypłynęło z nosa na obrzmiałe sinofioletowe wargi. Gwałtownie puchnący język zdawał się wypełniać całą jamę ustną, a oczy katowanego dosłownie wyszły z orbit. Można było liczyć kolejne pękające naczynka krwionośne. Głowa Lambicza puchła z sekundy na sekundę, przybierając kolor dojrzałej figi. Wydawało się, że za moment wybuchnie niczym zbyt napompowany balon.

Nagle napastnik poluzował kabel i się wyprostował. Wtedy nastąpiła cisza.



Mond i Szmit planowali udać się do Bull Pubu, by zjeść burgera, lecz tym razem na prośbę Allegry zaszli do nowo otwartego lokalu z kuchnią południowoamerykańską. Mond był wyraźnie niezadowolony. Czasem zmuszał się do kulinarnych ustępstw i zawsze tego żałował.

– Te nazwy mi nic nie mówią... – jęknął, czytając wypisane czerwoną kredą menu. – Kojarzę burrito i chichę, ale *caldillo de congrio*? *Asado*? *Lomo saltado* to zapewne solona jagnięcina?

– Wołowina smażona w woku z octem ryżowym, cebulą oraz czosnkiem  
– wyjaśnił uśmiechnięty, krępy Latynos stojący za ladą. – Szczególnie polecam, jeśli ktoś jest bardzo głodny.

– Smażone w woku?

– Wok to rodzaj...

– Wiem, czym jest wok. Ale od kiedy dania południowoamerykańskie smaży się w woku?

Szmit zerknęła na Honoriusza ganiącym wzrokiem. Ten jedynie westchnął i uznał, że przy wyborze dań całkowicie zda się na jej doświadczenie. Nie pożałował.

Kilka minut później przechadzali się po krakowskim rynku, pogryzając pakowane do kubelka *asado*, czyli kawałki grillowanego mięsa, oraz *curanto* – owoce morza wymieszane z siekanym kurczakiem. Mond musiał przyznać, że obie potrawy są całkiem dobre. Jako zadeklarowany mięsożerca był całkowicie ukontentowany.

– Może powinniśmy wybrać się do tego muzeum i jeszcze raz pogadać z tym łysolem? – Szmit przełknęła kawał wołowiny i usiadła na ławce. – To wyjątkowo śliski typek.

Ostatnią rewelacją przekazaną im przez Berga była ta, że właściciel muzeum dotarł do niego i starał się zdobyć jakiegokolwiek eksponaty związane z obecnie toczącym się śledztwem. Zależało mu na czymkolwiek. Nie ukrywał, że byle drobnostki, które nie stanowiły dowodów, potrafiły przyciągnąć do jego domu grozy tłumy turystów. Tak właśnie kręcił się ten rynek. Niewiele odbiegał od rynku literatury

kryminalnej opartej na faktach, która pełnymi garściami czerpała z zainteresowania ludzi złem oraz makabreską. Choć jednocześnie mogła stanowić intrygujący punkt wyjścia do analiz psychologicznych.

– Nie... – Mond oparł się o ławkę, ale na niej nie usiadł. Zadumany obserwował przechadzających się wokół turystów. Tego dnia było nieco chłodniej i pogoda sprzyjała zwiedzaniu. – Od niego nie dowiemy się niczego nowego.

– Będziemy tkwić tutaj? – Szmit najwyraźniej zaczynała odczuwać zirykowanie stagnacją. Potrzebowała działań oraz rezultatów i właśnie za takie podejście Mond cenił ją szczególnie. – Może odzyskamy tę dziewczynę z wczoraj. Nowak czy jak jej tam. Przed CK Browarem jest monitoring...

– I co nam po nim? Przeanalizujemy jej drogę do domu? To będzie niewykonalne.

– Zamierzasz stać tu i myśleć?

Mond zmiął pusty kubek po jedzeniu i rzucił go do śmietnika.

– Na co dzień ludzie zapominają o śmierci i o tym, że jest w nas... – mruknął. – To krótkotrwałe zwycięstwo życia...

– Co takiego? Co ty znowu wygadujesz?

Szmit obserwowała, jak Honoriusz przechadza się w zadumie wokół ławki. Poprawił kapelusz, węzeł krawata i zwiesił głowę. Nagle stanął jak wryty, po czym odwrócił się do Allegry. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz w tym samym momencie poczuł wibrację telefonu. Jęknął i sięgnął do kieszeni.

Wyciągnął komórkę i zerknął na wyświetlacz. Wtedy jego twarz wykrzywił grymas tak mu zazwyczaj obcego zaskoczenia. Natychmiast odebrał i przyłożył telefon do ucha.

– Halo? – wypowiedział tonem, po którym Allegra momentalnie pojęła, z kim rozmawia.



– Właśnie się dokonało.

Te trzy słowa sprawiły, że Mond mocniej chwycił słuchawkę telefonu. Rozejrzał się, jakby oczekiwał, że dzwoniący może być gdzieś w pobliżu. Powiódł wzrokiem po grupie turystów z Azji, po kilku przechadzających się parach oraz bandzie dzieci na rowerach. Nie. Nikt nie sprawiał wrażenia podejrzanego. Podobnie jak wtedy, gdy lustrował osoby kręcące się w pobliżu kwaciarni.

– Co zrobiłeś? – wyszeptał. – Co się miało dokonać?

– Policjant stracił więcej niż palec.

– Ten policjant ma imię. Nazywa się Adam Lambicz i...

Dzwoniący się zaśmiał. Nisko i gardłowo.

– Niech pan sobie odpuści te tanie sztuczki psychologiczne. Myśli pan, Mortalisto, że nadając mu imię i nazwisko, sprawi, że dostrzegę w nim coś więcej niż ofiarę? Nie. To policjant i tyle. Choćby miał imię i nazwisko, choćby opowiadał mi pan o jego rodzinie... A właśnie: czy spodobał się im nasz drobny prezent?

– Powiedz, kim jesteś, skoro tak bardzo lubisz wysyłać prezenty. Anonimowe są bez znaczenia.

– Czy nigdy nie robi pan nic więcej od udziału w grze? Właśnie tak pan traktuje życie, prawda? Wszystko dla pana jest ogromnym działaniem matematycznym, wykresem i grą.

– Mylisz się. – Mond zerknął na Szmit i dał jej do zrozumienia, że nie może się przełączyć na tryb głośnomówiący. Nie chciał zirytować rozmówcy. – Myli się pan – poprawił się, zmieniając formę.

– Och, jacy jesteśmy oficjalni. Ale dlaczego miałbym się mylić? Proszę mi to wyjaśnić.

– Nie biorę udziału w żadnej grze i nie lubię hazardu.

– I kogo chce pan teraz okłamać? – Dzwoniący sapnął, a gdzieś w tle rozległ się dziwny szum. Honoriusz skupił na nim uwagę, lecz nie potrafił tego dźwięku przyporządkować do żadnego sobie znanego. Nim głębiej się nad nim zastanowił, morderca odezwał się ponownie. –

Zawsze pan traktował życie jako grę. Zaangażowawszy się w tę sprawę, tylko pan to potwierdził. A każda gra to hazard...

Mond zerknął na Szmit, która dawała mu błagalne znaki, by zdradził, o czym rozmawiają. Intensywnie zastanawiał się nad tym, jak poprowadzić rozmowę, by cokolwiek wydobyć od dzwoniącego. Zdecydował, że najlepiej będzie pozwolić mu na razie mówić. Po prostu. Zdaniem amerykańskich śledczych to jest najlepsza metoda prowadzenia przesłuchań. Przynajmniej statystycznie.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że kręci pana obstawianie wysoką stawką – ciągnął morderca. – I to najwyższą. Swoim życiem.

– Nigdy go nie obstawiam.

– Czasem czyni się nieświadome zakłady. Nie trzeba wprost sformułować kwoty podbicia... Ale nie to stanowi sedno. Jeśli chcecie odnaleźć policjanta, pamiętajcie, że dwie śmierci to więcej niż śmierć. A trzy to zupełny mrok.

Po tych słowach połączenie zostało zakończone.

## 64



Mond streścił Allegrze swoją niedawną rozmowę i starannie powtórzył dwa ostatnie zdania.

– Co to może oznaczać? – zagadnęła Szmit. – Czego on, do cholery, chce?

Honoriusz przez ostatnie minuty stał niemal w tej samej pozycji, nie bacząc, że słońce pada mu prosto w kark, na którym pojawiła się czerwona kreska opalenizny. Nasunięty na czoło kapelusz nie stanowił właściwej osłony.

– Panie zadumany, może by mi pan łaskawie...

Mond przerwał rozpoczynający się monolog Allegrzy. Chwycił ją pod ramię i szybkim krokiem ruszył w stronę Floriańskiej. Zamyślony



niemal wszedł prosto pod dorożkę. Siedząca w niej kobieta z przerażenia aż krzyknęła. Krzyknęła również przestraszona Szmit.

– Matko Boska Przeciwkonna!

– Wybacz. Musimy się pośpieszyć!

– Ale dokąd idziemy? Powiedz mi chociaż słowo...

Honoriusz odezwał się jednak dopiero kilka minut później, gdy wsiedli do jaguara. Już całkowicie zapomniał o porannej niedyspozycji. Błyskawicznie wpisał adres do nawigacji, po czym dodał gazu.

– Coś mi to miejsce mówi... – Szmit zmarszczyła brwi. – Zaraz, zaraz... Widziałam je w aktach Telefonisty. Czy to...

– Miejsce, gdzie zamordował dwie osoby – zakończył za nią Mond. – Wszystko pasuje, prawda? Dwie śmierci to więcej niż śmierć, a trzy...

Allegra przełknęła ślinę i ukradkiem się przeżegnała.

– Zamordował go?

– Mam zgadywać? Jesteś kolejną, która tego po mnie oczekuje.

– Oczekuję tylko tego, że będziesz mądrzejszy niż ja.

Honoriusz się skrzywił. Naciągnął koniakowe rękawiczki i jeszcze mocniej przyśpieszył. Od celu dzieliło ich ledwie trzy i pół kilometra. Jedyne przypadek, gdy Telefonista zaatakował dwie osoby, miał miejsce na terenie nieużytków w Nowej Hucie. Był to jego największy wyczyn, który najbardziej skupił na nim uwagę opinii publicznej. Kilka tygodni później wybuchł kryzys finansowy i dla przeciętnego obywatela znacznie ważniejsze stały się sprawy własnego gwałtownie pustoszejącego portfela.

– To gdzieś tutaj.

Mond zatrzymał auto w niewielkiej zatoczce i wysiadł. Rozejrzał się, starając się odtworzyć w pamięci zdjęcie, które widział w aktach. Pamiętał jego szczegóły.

– Dwa charakterystyczne dęby, w tym jeden ze złamanym czubkiem. – Wskazał w głąb zarośniętego chaszczami pola. – Do tej pory się nie odbudował. A tu...

Honoriusz rzucił się biegiem, nie bacząc na pokrzywy oraz osty. Między krzakami wiódł wyraźny ślad połamanych gałęzi oraz wygniecionych

zarośli. Świeży. Zostawiony najdalej kilka godzin temu.

– Zaczekaj! – Szmit nie mogła za nim nadążyć. – Może powinniśmy wezwać Berga... Honri!

Mond zatrzymał się jak wryty.

– Za późno – wyszeptał. – Już jest za późno...

## 65



Mond opuścił kapelusz i podszedł do zwłok. Adam Lambicz leżał na boku, z podkulonymi nogami oraz rękoma zawiązanymi na plecach. Nietrudno się było domyślić, że zabójca dosłownie wywlókł go z auta zaparkowanego w tej samej zatoczce, w której teraz stał jaguar, i po prostu przeciągnął w to miejsce. Dokładnie tu, gdzie przed laty odnaleziono szczątki dwóch ofiar Telefonisty.

– Już był martwy. – Honoriusz kucnął i bacznie rozejrzał się po okolicy. – Morderca przywiózł go tutaj martwego.

– Skąd to wiesz? – Szmit stanęła tuż za nim.

– Zobacz jego dłoń... Cała jest zakrwawiona, lecz zwróć uwagę na samo miejsce obcięcia palca. Wokół kikuta paliczka zebrała się ziemia oraz zaplątało kilka chwastów. Morderca ciągnął go po tym polu, gdy krew już nie mogła obficie wypłynąć z rany. Poza tym pozostałe paznokcie...

Honoriusz podniósł się i odruchowo otrzepał kolana.

– Nie są połamane? – zgadywała Allegra. – Tak?

– Właśnie. I nie ma za nimi brudu. Oczywiście te w lewej ręce są oblepione krwią, ale te w prawej nie mają śladu ziemi. Każdy wleczony w takiej pozycji usiłowałby się chwytając czego popadnie.

– Mógł być nieprzytomny.

Mond pokręcił głową. Zrobił kilka kroków, starając się jak najmniej wydeptać trawę. Zatrzymał się naprzeciwko twarzy zamordowanego policjanta. Skinął głową w jego stronę.

– Został uduszony trzy lub cztery godziny temu. Zobacz te krwawe wybroczyny, a jednocześnie delikatne plamy opadowe na lewym policzku. Biorąc pod uwagę, że jego głowa ma kolor przypalonych buraczków, to nie jest łatwe, ale widać różnicę odcieni.

– Tak, rzeczywiście...

– Sprawca odciął mu pętlę jakiś czas po zgonie. Zostawiła na szyi ślad widoczny aż do teraz. Widzisz? Gdyby poluzował ją natychmiast po zabójstwie, można by było dostrzec jedynie sińce, a tak niemal widoczna jest faktura gumy.

Szmit była pod wrażeniem dedukcji Mortalisty. Bez wątpienia wszystko, o czym mówił, znał z doświadczenia. Trudno było o osobę mogącą o śmierci powiedzieć więcej. Mortalista... Pseudonim zobowiązywał.

Ostrożnie się wycofali i zawiadomili o swoim odkryciu Berga. Wydarzenia jak zwykle w podobnych przypadkach potoczyły się błyskawicznie. Komisarz zjawił się na miejscu w ciągu kwadransa, a ekipa techników przybyła ledwie kilka minut później. Tym razem odpuszczono Mondowi formalne wyjaśnienia w komendzie i Berg zadowolili się krótką notatką sporządzoną przez jednego z podwładnych. Doskonale rozumiał logikę Mortalisty, lecz słuchając go, był przybity jeszcze mocniej niż poprzedniego dnia. Wydawało się, że lada moment po prostu wybuchnie płaczem i usiądzie na chodniku. Kiedy tylko odszedł, by powiadomić prokuratora, Szmit zdała sobie sprawę, że Mond beznamiętnie wpatruje się w dwa nieodległe dęby.

– Znam tę minę... – mruknęła. – O czym mędrkujesz?

Honoriusz pstryknął palcami i przeniósł na nią spojrzenie.

– Te drzewa przypomniały mi coś... To, co przyszło mi do głowy, gdy zadzwonił morderca. Nie zdążyłem tylko tego wyartykułować, ale zwłoki Lambicza potwierdzają, że miałem rację.

– Możesz mówić odrobinę jaśniej?

Mond skinął głową.

– Oczywiście.



– O co chodzi? Hej!

Mond zrobił kilka kroków w stronę auta, lecz nagle się zatrzymał i spojrzał w dal ulicy. Ponownie się obrócił i niemal wpadł na stojącą tuż za nim Szmit.

– Te drzewa... Jak całujący się ludzie – mruknął, wskazując na dęby. – Na rynku widziałem całującą się parę i pomyślałem, że w takich chwilach mało kto patrzy sobie w oczy. Ludzie je zamykają.

– To normalny odruch, ale co z tego?

– To, że Telefonista zawsze mordował, patrząc prosto w oczy. Rozumiesz?

Allegra najpierw zrobiła zdziwioną minę, lecz momentalnie na jej twarzy pojawił się wyraz oświecenia. Kiwnęła głową i przytknęła dłoń do ust.

– Uważasz, że te wszystkie ostatnie ofiary zostały zamordowane inaczej?

Mond uniósł dłoń z wyprostowanym palcem, co najwyraźniej miało stanowić przytaknięcie.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości – odezwał się, wymieniając pozdrawiające skinienia z szefową kryminalistyków. – Ani w przypadku prokurator, ani w przypadku tego policjanta. Żadnych najmniejszych wątpliwości. Bruzdy pozostały na szyjach ofiar po zarzuceniu kabla od tyłu. Dlatego na ich klatkach piersiowych nie ma śladu duszenia, jak w przypadku dawniej zamordowanych osób.

– Czyli to nie jest dzieło Telefonisty?

– Tego nie powiedziałem. *Modus operandi* może się zmieniać, choć... – Honoriusz mlasnął i nerwowo przeszedł w tę i we w tę. – Nigdy wcześniej nie umieścił telefonu w kroczu żadnej ofiary. Nigdy wcześniej

nie wysłał wiadomości tekstowej... Ale świat przecież również się zmienia. Można do niego dopasowywać odpowiednią symbolikę.

– Ja nie widzę w tym żadnych symboli poza ohydną chęcią zbezczeszczenia ofiar. – Szmit z dezaprobatą potrząsnęła głową. Poprawiła okulary i głośno wciągnęła powietrze. – Najbardziej plugawa, niegodziwa motywacja, jaka towarzyszy działaniom morderców. Upokorzenie martwych... Tabu, które jest znane niemal we wszystkich kulturach świata.

– Właśnie. Może o to upokorzenie chodzi? Może to jest właśnie ta zmiana, która zaszła przez ostatnie lata?

Mond głośno myślał. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch w zaroślach, a chwilę później zza ogromnych pokrzyw wynurzył się komisarz Berg. Wydawało się, że nie tylko morderca, ale również on przeszedł gwałtowną przemianę. Jego twarz odzyskała normalne kolory, a na ustach zagościł delikatny uśmiech.

– Mam dobre wieści – oznajmił, po czym radośnie zagwizdał. – Nareszcie!

## 67



Dobre wieści pochodziły wprost z laboratorium. Okazało się, że na obrączce zdjętej z obciętego palca odnaleziono odcisk opuszki, należący do kogoś, kto najprawdopodobniej musiał jej dotknąć już po dokonaniu amputacji. Przynajmniej właśnie na to wskazywały rozmazane ślady krwi oraz ich usytuowanie.

Informacja mogła być przełomowa, ale należało ją dokładnie zweryfikować. To zazwyczaj trwało kilka godzin. Jeżeli odcisk znajdował się w którejś z policyjnych baz danych, sprawca mógł zostać zidentyfikowany. Co ważne, pozyskane z obrączki odbicie nie musiało być pełne. Najnowsze systemy radziły sobie ze śladami daktyloskopijnymi

zawierającymi mniej niż połowę linii papilarnych z opuszki palca. To pozwalało mieć sporą nadzieję.

Skoro pozostawało im tylko czekać, Honoriusz zdecydował się nie ruszać z miejsca odnalezienia ciała. Pierwszą osobą, która powinna zostać poinformowana o wyniku pracy laboratorium, miał być Berg. A Berg był właśnie tutaj. Oczywiście Honoriusz mógł użyć swoich znajomości, lecz niczego by nie przyspieszył. Poza tym... Musiał przyznać, że chwilowo brakuje mu pomysłów na dalsze działania. Ugrzązł w miejscu.

Razem ze Szmit nie mieli co ze sobą zrobić. Czuli się zbędni. Honoriusz kilkakrotnie pokonał drogę od auta do granicy terenu przejętego w wyłączne władanie przez kryminalistyków. Nie zamierzał im teraz podpaść.

– A jeśli nigdy nie chodziło o uniwersalny sposób działania? – Szmit nagle wyraziła na głos swoje ostatnie przemyślenia.

Mond się zatrzymał i spojrział na nią spod runda fedory. W jego wzroku nie było tak często widocznej kpiny, lecz pojawiło się w nim autentyczne zaintrygowanie.

– Co masz na myśli?

– To, że sposób mordowania mógł być albo zupełnie przypadkowy, albo dotyczyć konkretnych ofiar. Jakby to od nich zależało, czy morderca obrzuci ich przed śmiercią spojrzeniem.

– Albo czy to oni w ostatniej sekundzie życia będą patrzeć właśnie na niego...

Honoriusz zagryzł wargę i włożył dłonie do kieszeni. Doskonale wyprostowany bodaj po raz setny pokonał drogę od auta do granicy zarośli. Kilka metrów dalej technicy pobierali odciski butów oraz badali skład gleby. Rozłożyli przy tym więcej komputerów oraz sprzętu elektronicznego, niż Mond w życiu dotykał. Dwóch pracujących dla nich fotografów uwieczniało na zdjęciach każdy szczegół okolicy. Pojawili się nawet policjanci z psami, które węszyły, za każdym razem gubiąc trop niedaleko zatoczki, w której stał jaguar.

– Chyba coś mamy... – Allegra chwyciła Honoriusza za łokieć i wskazała na nieoznakowany radiowóz. Przy jego otwartych drzwiach stał komisarz Berg z telefonem przyłożonym do ucha. Energicznie kiwał głową, wreszcie rozłączył się i tryumfalnie uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Mond i Szmit ruszyli w jego stronę. Kiedy tylko Berg ich zobaczył, wyszczerzył w uśmiechu wielkie zęby.

– Mamy go! – krzyknął i trzasnął drzwiami tak mocno, że o mało nie wypadła z nich szyba. – Mamy go! – powtórzył ze łzami radości w oczach.

## 68



– To Jan Egmont. System nie mógł się pomylić. – Berg niemal tańczył z radości. – Sto procent. Rozumiecie? Czysta piłka...

Mond nie wyglądał na równie zadowolonego tą wieścią. Zafrasowany cicho cmoknął i spojrzał gdzieś w dal.

– Przecież są nagrania z kamer... – Szmit wyraziła na głos jego wątpliwości. – Z tej przychodni. Widać na nich jak na dłoni, że Egmont był w niej dokładnie wtedy, gdy zamordowano panią prokurator...

Berg wzruszył ramionami. Najwyraźniej takie szczegóły nie mogły teraz odebrać mu radości tryumfu. Choćby ten nie był jeszcze zmaterializowany.

– Może ma brata bliźniaka? – powtórzył ich dawny pomysł. – Nie wiem... Odciski palców się nie mylą. A raczej nie mogą nas zmylić... Nawet bliźnięta jednojajowe mają je całkowicie różne. Nie da się ich zetrzeć, nie da się ich zmienić w ciągu życia...

– To wszystko wiemy – wtrąciła Szmit. – Jednak dalej nie mamy pojęcia, jakim cudem ten człowiek się rozdziwił..

– Chyba że... Może do zabójstwa nie doszło wtedy, kiedy nam się wydaje. Nie... Sam ją widziałem. Jej zwłoki...

Mond przestąpił z nogi na nogę i kopnął mały kamyczek. Mówił cicho, niezrozumiale, rozmawiając sam ze sobą. Zarówno Berg, jak i Szmit znali ten jego stan, więc jedynie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Po chwili Mortalista zaczął bełkotać jeszcze szybciej. Wsunął palec między węzeł krawata a grdykę i kilkukrotnie go przeciągnął, jakby chcąc poluzować koszulę. Zerknął w stronę nieodległych dębów, lecz niedawno przywołana myśl o tym, że morderca nie patrzył w twarz swoich ofiar, nie wywołała już większego pobudzenia. Wpasowywała się w pewną całość, której nie mógł uchwycić. Tę całość stanowiły również odcisk palca oraz nagranie kamer... Tymczasem coś musiało mu umykać.

– Problemem jest, że Egmonta nie ma ani w domu, ani w żadnym znanym nam miejscu. Wysłałem już ludzi i zawiadomiłem prokuratora... Dostaniemy list gończy.

Berg ciężkim sapnięciem chciał zwrócić uwagę Honoriusza, lecz ten go nie słuchał. Nagle odwrócił się i ruszył w stronę jaguara. Minął potężny SUV, po czym zatrzymał się na krawędzi ulicy. Z zainteresowaniem wpatrywał się w przejeżdżające nią pojedyncze samochody. Większość jadących z zainteresowaniem zwalniała i przyglądała się zbiorowisku policyjnych wozów oraz funkcjonariuszy. Jednak to nie oni zaintrygowali Monda. Obrócił się bokiem do ulicy i pochylił głowę. Nasłuchiwał. Analizował dźwięki.

Nagle się wyprostował i odnalazł wzrokiem komisarza.

– Doznałeś olśnienia? – zapytał Berg. – No, na co wpadłeś?

Mond zdawkowo kiwnął głową.





W zatoczce, gdzie stały policyjne auta, zrobiło się tłoczno. Pośpiesznie zorganizowano punkt dowodzenia, pojawił się nawet przenośny stół, kilka termosów z kawą oraz przekąski. Praca w terenie rządziła się swoimi prawami, a w tym przypadku zanosilo się na wielogodzinne tkwienie w miejscu. Technicy znaleźli sporo rozmaitych śladów, psy co rusz łapały nowy trop, a do tego zarośla mogły kryć kolejne tajemnice. Co gorsza, media już zwietrzyły krew i w pobliżu pojawiły się ekipy telewizyjne oraz radiowe. Zgodnie z trendem ostatnich lat byli wśród nich także liczni blogerzy kryminalni. Wieść o zabójstwie przybrała formę plotki albo informacji przekazywanej w trakcie gry w głuchy telefon. Pojawiły się nawet pogłoski, że w okolicy odkryto cmentarzysko ofiar seryjnego mordercy. Sprawa dostawała własne życie.

– Masz wszystko, czego chciałeś.

Berg zrzucił ze stolika dwa puste kubki i położył na nim wydrukowaną przed chwilą mapę. Skąd ją miał, nie miało żadnego znaczenia. Jedno słowo Monda najwyraźniej potrafiło zdziałać cuda i dla wielu osób było rozkazem.

– Zaznaczono wszystkie? – zapytał Honoriusz, pochylając się nad mapą. – Tym razem nie możemy się pomylić.

– Nie ma ich wiele.

– A rozkład jazdy? Muszę znać wszystkie kolejne stacje, aby ustalić trasy.

– Tu. Aktualny i potwierdzony przez syna jednego z moich ludzi.

Komisarz położył obok mapy drugą kartkę. Mond zachłannie przyciągnął ją do siebie i zaczął analizować zapisane na niej informacje. Szmit stała obok niego i zerkała mu przez ramię. Na jego prośbę zaczęła nanosić kolejne dane w punkty mapy, które Honoriusz wskazywał palcem.

– To musiała być wąskotorówka na parę. – Mond ponownie wyraził na głos swoją przełomową koncepcję. Starał się przekonywać sam siebie i wyzbyć jakichkolwiek wątpliwości. – Dziwny dźwięk rozlegający się

w tle, gdy do mnie zadzwonił. Nie mogłem go zidentyfikować, ale to specyficzny szum. Para wyrzucana przez tłoki, przytłumiony stukot... Mamy wakacje, więc uruchomiono turystyczne trasy.

– Wszystkie dwie – wtrącił Berg ironicznie.

– Tym lepiej. Przynajmniej nie mamy zbyt wielu tropów do sprawdzenia. Wystarczy nanieść godziny postojów oraz przejazdów na kolejne miejsca... Biorąc pod uwagę efekt Dopplera, w momencie gdy rozmawialiśmy, pociąg już go minął. Oddalał się, ale nie miał stałej prędkości. Podejrzewam, że dopiero jej nabierał.

– Efekt czego? – Komisarz oparł się o skraj stołu tak mocno, że ten niemal się bujnął. – Przepraszam...

– Ten sam, z którego korzystają radary prędkości. Zwrócił pan uwagę, że zbliżający się w pana stronę motocykl, bez względu na silnik, brzmi niskimi tonami, a gdy się oddala, tony zdecydowanie się podwyższają? To kwestia rozchodzenia się fal.

– I co nam po tym fizycznym wykładzie?

Mond poprosił Szmit, by naniósł na mapę kolejne dane, po czym powiódł po kartce palcem. Z przymkniętymi oczami coś analizował. W tym momencie obserwowała go już cała grupka funkcjonariuszy. Wielu z nich ściągnęła tu jego legenda i chcieli zobaczyć Mortalistę przy pracy. Była to rzadka okazja, a do tego równie atrakcyjna jak podglądanie pracy radiestetów lub profilerów. Choć w rzeczywistości ta w każdym przypadku prezentowała się znacznie mniej spektakularnie niż na filmach.

– Chyba wiem, gdzie on jest. – Mond otworzył oczy i powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych. Lubił podobne momenty, więc nie omieszkał nadać swym ruchom odrobinę teatralności. – Dorwijmy go! – krzyknął, po czym głośno klasnął. – Jazda, jazda.

Z zainteresowaniem obserwował podekscytowanie, które wywołał. Lubił czasem sterować reakcją tłumu.



Mond nakreślił na mapie kilka przekątnych, następnie dodał koła oraz owale. W miejscach krzyżowania się ich zakresów postawił krzyżyki.

– To kilka najważniejszych typów – oznajmił zadowolony. Wręczył mapę Bergowi i włożył dłonie do kieszeni. – Należy sprawdzić te obszary. Moim zdaniem właśnie w tych miejscach znajduje się jakiś dom lub ruina, z której dzwonił do mnie morderca. Właściwie, o ile nie mam omamów słuchowych, jestem co do tego przekonany.

Komisarz zerknął na pokreśloną mapę i przywołał stojącego obok aspiranta. Pólszeptem wydał mu dyspozycje. Chwilę później kilkunastu mundurowych ruszyło do trzech radiowozów, które odjechały z piskiem opon. Rozpoczęło się polowanie.

– Zaczniemy od północy i będziemy posuwać się na południowy wschód za Nową Hutę i ku Wieliczce. Tam kończy się jedna z tras. – Po tych słowach Berg skierował się do oznakowanego policyjnego SUV-a i wsiadł do środka. Nie zamknąwszy drzwi, dodał: – Obyś miał rację, Mortalisto. Módlmy się o to.

– Nie wierzę w cudowną siłę modlitw – odparł Mond. Wskazał palcem w stronę czoła i dodał: – Wszystko tkwi wyłącznie tu. Zarówno myślenie, jak i potencjał odniesienia sukcesu.

Berg zatrzasnął drzwi i włączył silnik. Tymczasem Szmit odwróciła się ku Honoriuszowi.

– A my? – jęknęła. – Myślałam, że jedziemy z nimi.

– Nie. Skoro oni zamierzają posuwać się z jednej strony, my ruszymy z drugiej.

– Czy nie powinniśmy...

– Nie.

Mond zdecydowanie jej przerwał i wyciągnął z kieszeni kluczyki. Nie śpiesząc się, ruszył do jaguara.

Kwadrans później jechali wąską ścieżką wiodącą wzdłuż linii wąskotorówki. Prywatny inwestor uruchomił dawną trasę widokową i zdobył wszelkie licencje, by pokonywała ją oryginalna lokomotywa parowa ciągnąca cztery wagony pełne pasażerów. W miesiącach letnich atrakcja przenosząca turystów do XIX wieku cieszyła się ogromnym powodzeniem. Stanowiła lepszą, bardziej rozbudowaną wersję przejażdżki dorożką po krakowskim rynku. Niestety ze względów prawnych po torach mogła poruszać się tylko jedna kolejka, co sprawiło, że bilety były wyprzedane z kilkutygodniowym wyprzedzeniem.

Honoriusz zwolnił. W tym miejscu szutrowa droga była pełna dziur, lecz to nie one sprawiły, że jechał niewiele szybciej niż w tempie marszu. Rozglądał się i analizował. Znów od czasu do czasu coś do siebie szeptał.

– Możesz mówić głośniej – rzuciła Szmit. – Naprawdę, nie krępuj się. Nie jesteśmy na stypie.

– My nie... – cierpko zauważył Mond. – Ale w tej okolicy wszystko się zgadza. Jeżeli łącze nie zakłócało jakości dźwięku, lokomotywa jechała po lekkim łuku. Oddalała się, ale nie słyszałem wcześniejszego zbliżania się. Dlaczego?

– Bo stała w miejscu?

– To jest prawdopodobne, ale wówczas usłyszałbym również rozruch. Zapewne jakieś gwizdy i tak dalej... Skupiłem się na stacjach, lecz to mógł być błąd. Mapa, którą dałem Bergowi, jest nie do końca precyzyjna.

Szmit starała się zrozumieć, w co wpatruje się teraz Mond. Wokół nic nie zwracało jej uwagi. Las, linia elektryczna, tory wiodące niskim nasypem pośród powycinanych krzaków... Nagle wyprostowała się i sięgnęła ku okularom. Zsunęła je na czubek nosa.

– Tam jest stara budka dróżnika – wyszeptała. – Gdy patrzy się z jej perspektywy, widok na tory przesłania ściana młodego, gęstego lasu.

Mond z aprobatą skinął głową.

– Budka nie pełni dziś żadnej roli, więc nie dbano o wycinkę – ciągnęła Allegra. – Ten las jest tak gęsty, że może tłumić dźwięki... Stąd twoje wrażenie.

Honoriusz nie potwierdził jej dedukcji. Zatrzymał auto i zdjął rękawiczki, których używał do prowadzenia.

– Dzwon do Berga – rzucił, pchnąwszy drzwi. – Natychmiast.

– A ty?

– Idę do tej budki. Nawet nie próbuj mnie przekonywać, że pójdziesz ze mną.

## 71



Mond odwrócił się tylko raz. Upewniwszy się, że Szmit została przy aucie i zapewne właśnie rozmawiała z komisarzem Bergiem, ruszył dalej. Kierował się lekkim kołem, mając budkę dróżnika przed sobą po lewej. Poruszał się teraz równoległe do torów i był niemal pewny słuszności dotychczasowego rozumowania. Z tego miejsca dźwięk lokomotywy musiał rozchodzić się dokładnie tak, jak go zapamiętał. Wszystko do siebie pasowało.

Honoriusz, idąc dalej, poruszał się szybko, lekko pochylony, jakby szykował się na odparcie ataku. Jednocześnie jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Jego ruchy były pewne, giętkie i zdecydowane. Nie zważał na kolczaste gałązki czepiające się jego spodni ani na ziemię oblepiającą doskonale wypolerowane buty.

Wokół panowała niemal całkowita cisza. Pojedyncze ptaki śpiewały gdzieś wysoko, w koronach drzew. W oddali, zapewne na jakiejś polanie, prowadzona była wycinka. Warkot pił spalinowych niósł się, choć odległość czyniła go ledwie słyszalnym. Równie dobrze mógł być to dźwięk prac mających na celu oczyszczenie nasypu kolejowego, który delikatny wiatr przywiewał z wielu kilometrów.

Powietrze pachniało najpiękniejszym aromatem lasów znanym ludzkości – zmieszaną wonią grzybów oraz gnijących liści. Słońce przedzierało się przez korony drzew i rzucało na ściółkę kontrastowe

cienie. Okolice była doskonałym miejscem na rodzinny piknik lub spacer. Albo by niezauważonym porzucić czyjeś zwłoki.

Honoriusz minął gęsty iglasty zagajnik, po czym wyszedł na tył budki dróżnika. Była to drewniana budowla o wielkości małej chaty, kryta dziurawą papą i chyląca się ku upadkowi. Jej dni były policzone. Zapewne solidna nawałnica lub kilka kolejnych zim miały przypieczętować jej los. Szyby w oknach zostały w znacznej mierze stłuczone, tylko gdzieniegdzie sterczały ostre kawałki szkła. Mimo to ze względu na grę świateł wewnątrz tonęło w półmroku.

Początkowo Mond zamierzał wejść do chaty właśnie przez jedno z okien, lecz uznał, że nie ma potrzeby ryzykowania zranienia się o wystające szkło. Tym bardziej że w większości rosły pod nimi gęste pokrzywy oraz krzaki.

Skierował się ku drzwiom. Te wisiały w wysuniętej z wnęki futrynie, jakby miały zaraz wypaść. Mimo to Honoriuszowi wydawało się, że widzi wiodące do nich wydeptane w trawie ślady. Rozejrzał się jeszcze raz, po czym sięgnął ku starodawnej, giętej klamce. Aż dziwne, że nikt nie ukradł jej na złom lub aby sprzedać na targach staroci. Mond nacisnął ją bardzo ostrożnie, tak że poruszyła się niemal bezgłośnie. Nawet jęknięcie zawiasów było cichsze, niż się spodziewał. Uchylił drzwi i stanął na kruszejącym betonowym stopniu. Momentalnie zamarł w bezruchu. Podświadomie wyczuł niebezpieczeństwo.



Honoriusz przeniósł ciężar ciała na prawą stronę i spojrzał pod nogi. Jego but zahaczył o cieką linkę rozwieszoną tuż ponad progiem. Zahaczył, ale jej nie zerwał. Wystarczyłoby jednak, aby przesunął się choć o centymetr, a żyłka uruchomiłaby jakiś mechanizm.

Jaki? Na to pytanie Mond usilnie starał się znaleźć odpowiedź. Niestety linka prowadziła w głąb niewielkiego holu i ginęła w półmroku. Gdyby została połączona z granatem, jak często robiono w chałupniczej produkcji bomb, materiał wybuchowy umieszczono by znacznie bliżej. To nie budziło wątpliwości.

Mond bez oznaki jakiegokolwiek zdenerwowania ostrożnie się pochylił. Badawczo przyjrzał się żyłce z najbliższej możliwej odległości. Musiał uważać, aby się nie potknąć ani choćby nie stracić równowagi.

Stojąc w nowej pozycji, nieznacznie się wychylił zza ściany, nie poruszywszy prawą nogą. Zaczynał niebezpiecznie manewrować, lecz ciekawość brała górę. Poza tym oczywistym było, że nie może tkwić w tej pozycji przez całą wieczność.

– Chyba że... – szepnął, ale zaraz umilkł.

Myśl, że mógłby stracić czas na wzywanie Szmit albo – co jeszcze gorsze – pirotechników, przyprawiła go o mdłości. Była znacznie bardziej bolesna i przerażająca od tego, że za moment mógł wylecieć w powietrze.

A może była to jedynie głupia zabawa jakichś wandalów, którzy rozwiesili zwykłą linkę, by wchodzący wywinął katalogowego orła? Taka wersja mogła pocieszyć, lecz Mond nie potrafił się oszukiwać. Po pierwsze, żyłka nie była kawałkiem zwykłego sznurka, a naprawdę mocnym wyrobem, podobnym do tych używanych przez profesjonalnych wędkarzy. Po drugie, poprowadzono ją idealnie równo, około sześciu centymetrów nad ziemią. Większość dzieciaków podobne pułapki montowała znacznie wyżej, nie zdając sobie sprawy, że łatwiej o coś zahaczyć butem niż nogą osłoniętą jedynie spodniami. Po trzecie wreszcie, dokładnie w taki sam sposób połączono żyłkę z projektorem w mieszkaniu prokurator. Już to przerabiał.

Nie. Amatorska pułapka nie wchodziła w grę. Mimo to Honoriusz nie zamierzał zwlekać. Miał dość. I tak zyskał sporo czasu i nie pakował się ślepo naprzód.

– Raz kozie śmierć.

Nabrał powietrza i w myślach postanowił policzyć do trzech.

Raz.

Momentalnie zmienił postanowienie. Nie było na co czekać. Napiął mięśnie i skoczył na bok, starając się jak najszybciej znaleźć za ścianą. Z tyłu rozległ się huk wystrzału, a Mond upadł na podłogę. Nie miał wątpliwości, że nic mu się nie stało. Co najwyżej mógł nabić sobie siniaka, lecz pułapka nie zadziałała. Uszedł z życiem.

Tyle że teraz nie było sensu ani się skradać, ani uciekać. W tej grze jedyną regułą była ta nakazująca grać dalej. Aż do końca, który stanowił całkowitą niewiadomą.

– Idę! – krzyknął i podniósł z podłogi kapelusz. Nałożył go na głowę, po czym poprawił krawat. Tak. Teraz był gotowy na śmierć. – Nie musisz się tak denerwować...

Powoli zbliżył się do załomu muru, skąd wydawało mu się, że padł strzał. Dopuszczał możliwość, że teraz padnie ponownie. Zważywszy na otwór po kuli w ścianie naprzeciwko, można było domniemywać, że strzelec znajdował się w głębi pomieszczenia, nieco po lewej. To powinno dać mu czas do ewentualnego odskoczenia.

Jego mózg pracował na szalonych obrotach, ale ręce nie drżały nawet minimalnie. Wyjrzał zza winkla i szeroko otworzył oczy. Spodziewał się wielu rzeczy, ale nie tego.

## 73



Mond spoglądał na trupa. Do tego był to trup osoby, której w tym momencie pilnie poszukiwał komisarz Berg. Głównego podejrzanego obecnie i przed paru laty.

Jan Egmont siedział na drewnianym krześle, a w dłoniach trzymał starą dubeltówkę, z której padł strzał. To właśnie do niej prowadziła żyłka zamontowana w progu, a być może również do samych drzwi. Mężczyzna miał na szyi pętlę zrobioną z kabla, który podwieszono do sufitu. Jego wytrzeszczone, przekrwione oczy były kompletnie mętne



i nie pozostawiały wątpliwości, że Egmont jest martwy. Gdyby ktoś potrzebował innych dowodów, można by wskazać na strużkę krwi w kąciku ust, fioletową twarz, a wreszcie opuchnięty język tkwiący między wargami niczym kołek.

– Tu jesteś!

Głos Allegrы przeciął mistyczną, pełną napięcia ciszę. Mond powoli się do niej odwrócił i nieco przesunął. Już trzymany przez niego w dłoniach kapelusz zwrócił uwagę kobiety, ale teraz, gdy dostrzegła truposza, kompletnie zdębiała.

– Boże Śnięty! To Egmont.

– Tak, to właśnie on. A ty miałaś zaczekać na mnie w aucie.

– Usłyszałam strzał, dzwoniłam do ciebie i... Jasna cholera! Przecież to on miał być mordercą...

Szmit zazwyczaj była kompletnie odporna na wszelkie obrzydliwości, widok zwłok oraz resztek pozostałych z wszelkiej materii żywej i martwej, lecz teraz drżała na całym ciele. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko i niespodziewanie. Mond założył fedorę i spojrzał na przyjaciółkę z przyganą. Nie lubił słabości, a na jakiegokolwiek pocieszenie nie potrafił się teraz zdobyć. Wskazał na żyłkę biegnącą tuż nad ziemią.

– Weź się w garść i uważaj – rzucił cierpko. – Jemu już nie pomożesz ani nie zaszkodziś... To kawałek materii wyciętej z chaosu wszechświata.

– Włączył ci się tryb kaznodziei?

– Może. Czasem przychodzą mi do głowy podobne zdania. Może to poezja?

– Powinieneś zacząć je spisywać, zrobiłbyś furorę...

Szmit powoli odzyskiwała rezon. Spojrzała na Monda i wyciągnęła telefon. Chciała powiadomić Berga, lecz najpierw o kilka kroków zbliżyła się do trupa. Uważnie mu się przyjrzała.

– Czy mógł w taki sposób upozorować samobójstwo? – zapytała, zerkając na poprowadzoną nad ziemią linkę. – Czy dokończył wszystko, co zaplanował, i zabił się sam, dybiąc przy tym na jeszcze jedną ofiarę po swojej śmierci?

Mortalista nie odpowiedział. Również bacznie wpatrywał się w Egmonta. Analizował sposób zawiązania żyłki na spuście dubeltówki, umocowanie broni do ręki truposza, wreszcie wiązanie liny do pękniętej deski sufitowej. Nagle przed oczy powrócił mu obraz sprzed lat. Martwej siostry leżącej przed nim na stole, jej obciętych starannie paznokci, umytych włosów...

Mond natychmiast się odwrócił i szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

– Zaczekaj tu na Berga i wszystko mu opowiedz – rzucił. – Ja muszę coś sprawdzić.

Po tych słowach, nie zważając na reakcję Szmit, wypadł na zewnątrz.

## 74



Mond nie lubił myśleć o przeszłości. Za każdym razem, gdy powracały wspomnienia, nabierał przekonania, że ludzie cierpiący na alzheimera są szczęśliwi. Pal licho niedogodności otoczenia oraz bliskich. Człowiek, który odcinał się od wszelkich relacji, zapominał je albo mieszał, mógł wreszcie być wolny. Tyle że w głębi duszy Honoriusz czuł, że to nieprawda. Logika nakazywała przyjąć właśnie tę perspektywę, lecz poza logiką istniały jeszcze uczucia. Ów nieprzenikniony przez Monda pierwiastek, który miał wpływ na życie każdego człowieka i miewał też – do czego nigdy by się nie przyznał – wpływ na życie jego samego.

Mógł pojechać odwiedzić ojca. Dlaczegoż by nie? Nie istniały fizyczne przeciwwskazania, lecz wiedział, że tego nie zrobi. Choć w pierwszej chwili, gdy wsiadł do jaguara i uruchomił silnik, przez głowę przeszła mu myśl, że powinien skierować się właśnie tam. Przez ułamek sekundy zaczął zastanawiać się nad właściwą trasą, ale błyskawicznie zarzucił ten pomysł. Nie, to nie wchodziło w grę.

Dodał gazu i pogrążył się w myślach. Analizował ostatnie wydarzenia, a szczególnie śmierć Jana Egmonta. Wszystkie ofiary były powiązane ze sprawą Telefonisty, a teraz ukoronowanie zbrodni stanowił główny podejrzany. Cóż... Można było ułożyć te morderstwa w pewną sensowną całość. Mond przyglądał im się niczym naukowiec oglądający z wszystkich kątów próbkę z odczynnikiem chemicznym. Nie chciał niczego przegapić ani postawić zbyt pochopnej tezy. Zawsze dążył do całkowitej pewności.

Z naprzeciwka minęły go dwa radiowozy pędzące na sygnale. Zapewne ludzie Berga już kierowali się do starej budki dróżnika. Czy technicy mogli na miejscu znaleźć coś istotnego?

Najważniejsze było ostatnie spojrzenie...

Ta myśl nieustannie gnębiła Honoriusza, jakby niosła jakieś niezwykle przesłanie. Jakby podświadomość podpowiadała mu, że kryje się w niej klucz do rozwiązania całej sprawy. Tyle że nie potrafił go teraz właściwie uchwycić i nie wiedział, co z nim zrobić.

Przed oczami stanęło mu Muzeum Zbrodni. W jego zbiorach nie było niby nic imponującego, a jednak... A jednak wywierały pewne wrażenie i pokazywały w obrazach chwile, które on odtwarzał tylko w wyobraźni. Ostatnie sekundy życia ofiar, momenty największego podniecenia morderców. No właśnie, ale czy o podniecenie w tym przypadku chodziło? To również budziło jego wątpliwości. Owszem, w przypadku kilku ofiar można się było doszukiwać ewentualnego pragnienia rozładowania napięcia seksualnego, lecz na pewno nie we wszystkich. Chyba że potraktować sprawcę jako biseksualistę, który nie zważa na wiek ani urodę. W takim razie co było sednem? Bycie związanym z dawnym śledztwem? Znowu powracało to jedno, irytujące pytanie.

Mond zdjął kapelusz i położył go na fotelu pasażera. Przeczesał palcami włosy. Tym razem do prowadzenia nie założył rękawiczek. Po niespełna godzinie drogi zwolnił i zjechał w wąską drogę prowadzącą do ogromnej kutej bramy. Kiedy do niej dojeżdżał, nacisnął zaprogramowany pilot i oba skrzydła zaczęły się powoli otwierać. Dwie

minuty później objechał gazon pełen pięknych róż angielskich. Zatrzymał auto u podnóża dość stromych schodów.

Pamiętał, jak to tu niegdyś zatrzymał się karawan. Pamiętał, jak...

– Koniec! – syknął do siebie. – Dość.

Wbiegł po schodach, pchnął wysokie drzwi i znalazł się w ogromnym holu. Otaczało go mnóstwo drogocennych obrazów oraz rzeźb. Spoglądali na niego przodkowie i całkiem obcy ludzie. Powinien przywitać się z nimi po wielu latach, ale ledwie skinął im głową i ruszył dalej. Wbiegł po kolejnych schodach, minął dwa wysokie kandelabry, po czym bez pukania otworzył białe, bogato rzeźbione drzwi.

– Dzień dobry, ojcie – odezwał się, wchodząc do środka.

## 75



Mond spędził w rodzinnej rezydencji mniej niż kwadrans. Tak jak nie pamiętał zbyt wiele z prowadzącej do niej drogi, tak, po opuszczeniu murów rezydencji, cała wizyta była dla niego niczym rozwiewający się sen. I to niezbyt przyjemny.

Ojciec siedział w wózku inwalidzkim przykryty całą masą koców oraz pledów. Z jednej strony przez lata nie zmienił się zbyt wiele, a z drugiej... Śmierć coraz odważniej zaczynała wyciągać po niego swe łapy. Miał mętny, pusty wzrok i nieruchomą twarz. Gładko ogolone policzki niemal zlewały się popielatą barwą z krótkim wąsikiem. Zdawało się, że ojciec delikatnie porusza dłonią w takt dobiegającej z gramofonu muzyki. W tym momencie płyta wygrywała *La Mer* Debussy'ego. Mond doskonale pamiętał ten utwór z dzieciństwa.

– Ojciec...

Podszedł do niego i uklęknął przy wózku. Delikatnie dotknął dłoni starego mężczyzny, lecz zaraz się cofnął. Nie. Tego nie powinien nigdy robić. W jego rodzinie kontakt fizyczny był ograniczony do minimum

i zarezerwowany wyłącznie do kontaktów z dziećmi oraz chorymi. No i oczywiście do prokreacji.

„Jakby on był zdrowy” – przeszło przez myśl Honoriuszowi.

– Ojciec. Muszę się czegoś dowiedzieć. Wiem, że nie widzieliśmy się od dawna, że czeka nas wiele dłuższych rozmów, na których może nigdy nie będzie czasu, ale muszę to wiedzieć. – Mond mówił szybko, a jednocześnie bardzo cicho, jakby z przesadnym respektem dla miejsca oraz ojca. – Czy moja siostra... Czy... Proszę, powiedz mi, czy przed jej zaginięciem odebrałeś jakiś telefon? A może to mama z kimś rozmawiała? Wiesz, do czego zmierzam...

Ojciec patrzył na niego tak samo beznamyślnie jak wtedy, gdy Honoriusz wszedł do pokoju. Przestał jedynie poruszać dłonią. Przypominał kamienny posąg rzucony na wózek i przybrany ubraniami.

– Tato... – Mond jeszcze bardziej ściszył głos i pochylił głowę. – Jeśli gdzieś tam jesteś, proszę... Wróć teraz do mnie i powiedz mi to. Nigdy o to nie zapytałem, bo obawiałem się odpowiedzi. A teraz...

Za plecami Honoriusza rozległy się kroki. Do pokoju weszła wysoka brunetka o długich włosach i prostej grzywce zakończonej tuż nad oczami. Przypominała filmowe obrazy Kleopatry.

– On panu nie odpowie – odezwała się, mierząc go wzrokiem. – Nie powiedział ani słowa od trzech miesięcy. Ale czekał na pana...

– Skąd pani wie, kim... – Mond nie dokończył pytania. Kiwnął głową i wstał z kolan. – No tak, zdjęcia.

Przynajmniej rozwiązał tę drobną zagadkę, skąd kobieta wiedziała, kim jest. To również było coś. Nie mówiąc nic więcej, jeszcze raz zerknął na ojca i wyciągnął dłoń ku jego ramieniu. Nie dotknął go jednak. Odwrócił się i niespełna minutę później wyjechał jaguarem z terenu rezydencji. Komputer pokładowy odnotował kilka nieodebranych połączeń od Allegry, lecz Mond postanowił oddzwonić, gdy będzie już w hotelu. Teraz zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie.

Nawet nie wiedział, kiedy pokonał kilkudziesięciokilometrową trasę. Zostawił auto na parkingu i ruszył w stronę plant. Nastawił się na

krótki spacer, lecz nagle usłyszał za sobą kroki. Kiedy minął budkę strażnika, ktoś niespodziewanie chwycił go za ramię.

## 76



– Daria Nowak. – Mond odezwał się, nawet się nie odwracając. – Ma pani drobne dłonie i długie palce. Co ciekawe, główny nacisk powoduje palec środkowy, a nie wskazujący. To nietypowa cecha.

Stał przez chwilę w bezruchu, wreszcie spojrzął przez ramię. Rzeczywiście tuż obok niego stała Daria Nowak. Miała na sobie tę samą bluzę z kapturem co ostatnim razem. Jej spojrzenie było tak samo rozbiegane, a niepewna mina zdradzała narastające przerażenie.

– Dlaczego on to robi? – zapytała, cofając się od Honoriusza o kilka kroków. – A jeśli to pan... Nie, w sumie mogę panu ufać. Może jako jedynemu... Ale mam dość. Mam całkowicie dość.

Słowotok kobiety zrobił na Mondzie przykre wrażenie. Nie wiedział, jak się zachować. W pierwszej chwili chciał wyciągnąć ku niej dłoń, lecz nie wiedziałby, co z nią zrobić. Pokrzepiająco poklepać po ramieniu? Objąć? Nie. To nie było w jego stylu.

Więc? Przystąpił z nogi na nogę i spuścił głowę. Wreszcie ruszył wzdłuż kamienic, dając Nowak znać, żeby poszła za nim. Ta się zawahała, lecz po chwili namysłu zrównała się z nim krokiem.

– Dlaczego mnie ostrzegł? – zapytała szeptem. Pociągnęła nosem i rękawem bluzy otarła łzy. – Ja pieprzę! Czy chce mnie wykończyć psychicznie? Dał mi znać, że mogę zginąć każdego dnia, o każdej porze... Mam się bać. Ciagle i nieustannie, prawda? O to właśnie mu chodziło? To forma tortur...

– Proszę żyć.

– Co takiego?

– Po prostu, proszę żyć. – Mond sądził, że kateryczny, mocny ton wszystko wyjaśni. Sam przekonywałby siebie właśnie w ten sposób. – Nie ma niczego cenniejszego od życia, a na razie radzi sobie pani z tym naprawdę doskonale. Policja złapie tego szaleńca. Wtedy strach wyda się krotocwilny.

Nowak wyprzedziła Honoriusza i przez chwilę szła przed nim tyłem. Zaśmiała się nerwowo, a przede wszystkim znacznie głośniej niż zwykle. Jakby już nie obchodziło jej to, że mogą ją usłyszeć postronne osoby albo że zwróci na siebie czyjąś uwagę.

– Wszystkie demony przeszłości wróciły – rzuciła i z rezygnacją wzruszyła ramionami. – Rozumie pan? Ożyły i w jednej chwili uczepliły się mnie jak przed laty... Pamiętam każdy szczegół... Każdy ruch i zapach...

– Zapach? Czym pachniał ten człowiek?

Mond po raz pierwszy wydał się nią mocniej zainteresowany. Zwolnił kroku i kciukiem zsunął fedorę na tył głowy. Nie miał pojęcia, dlaczego jego pytania oraz zachowanie wywołały kolejną falę nerwowego śmiechu. Nowak zatoczyła się, jedną dłonią wsparła się o mur kamienicy, a drugą uderzyła w nią pięścią.

– Nie powinnam żyć, to w tym rzecz – wycedziła. – Nie mam prawa żyć i to prześladowuje mnie jeszcze mocniej niż sam fakt, że żyję... Ale tego nie pojmie żaden psycholog. Ani pan.

Nagle kobieta się wyprostowała i sięgnęła do kieszeni bluzy. Wyciągnęła z niej mały przedmiot, który błysnął w świetle nieodległej latarni.

– Ubiegnę go. Niech się sukinsyn nie nastawia! – krzyknąwszy, zamachnęła się brzytwą w stronę swojej szyi.



Szmit wytłumaczyła Monda przed Bergiem, po raz kolejny opowiedziała komisarzowi wydarzenia ostatnich godzin i dała słowo, że zrobi wszystko, by zeznania Honoriusza trafiły do akt. Amen. Tak jej dopomóż Bóg. Oczywiście nie mogła za niego odpowiadać. W końcu nie miała nawet pojęcia, co teraz porabiał Mortalista ani dlaczego jak oparzony dokądś pognał. Na pytanie komisarza: „Gdzie jest Mond?” mogła odpowiedzieć jedynie wzruszeniem ramion. Albo wymownym cmoknięciem, choć Bergowi było tego zbyt mało.

– Kto go tam wie... – bąknęła po chwili. – Rozumie pan, co mam na myśli.

Berg rozumiał. Choć można było odnieść wrażenie, że pozostaje odrobinę nieufny. Jakby spodziewał się, że po raz kolejny Allegra spiskuje z Mortalistą i tak naprawdę doskonale się orientuje, co się z nim dzieje. W końcu wspólnie odnaleźli zwłoki Egmonta. A to mógł być punkt przełomowy w dedukcji Monda.

Mimo to w końcu komisarz dał jej spokój. Skończył z maglowaniem i pozwolił jej odejść bez zbędnego piętrzenia formalności. Nakazał nawet jednemu z podwładnych odwiezienie Szmit do centrum, co stanowiło z jego strony wyraz najgłębszej poufałości. Allegra jednak zdawkowo mu podziękowała i wezwała taksówkę. Nie lubiła być od nikogo zależna, a wszelkie zobowiązania, przysługi i dobre gesty wymagały wzajemności lub zwyczajnie ją krępowały.

Co gorsza, był dopiero wczesny wieczór i nie miała co ze sobą zrobić. Tym razem jej grafik pozostawał pusty, a wszelkie zlecenia stłoczyła w okolicznych dniach. Zgodnie z przyjętą strategią czasem pracowała nawet w niedziele, uznając, że należy obchodzić święta wszelkich religii. Dlatego czasem odpoczywała w poniedziałki, piątki lub soboty. Dzisiejszy dzień kompletnie wyleciał jej z głowy.

Zadumana spacerowała między ogromnymi krzesłami na placu Bohaterów Getta. To tu przed ponad stu laty istniał słynny Bar Zgoda, w okresie międzywojennym działał dworzec autobusowy „Karpaty”,



a w trakcie drugiej wojny światowej utworzono punkt koncentracji Żydów przed wywozem do obozów koncentracyjnych. To właśnie na tym placu przeprowadzono pierwszą selekcję i rozstrzelano podczas niej ponad sto osób. Zwłoki pomordowanych przewieziono na teren obozu w Płaszowie, gdzie wrzucono je do zbiorowej mogiły.

Pod jej stopami kroczyła śmierć. Mond często wspominał, że powietrze oraz ziemia są nią znacznie mocniej nasączone niż życiem. Coś w tym było, choć Szmit na ogół starała się o tym nie myśleć. Czerpała z życia, korzystała z niego i jak większość ludzi wołała pomijać aspekty człowieczej kruchości. Ponure tematy nie były nikomu potrzebne. Choć przecież według Monda w śmierci nie było znowuż niczego ponurego.

Allegra dotknęła jednego z mnóstwa amuletów – tego, który przypominał kilka splecionych ze sobą jaszczurek. Był to majański symbol szczęścia i przychylności dobrych duchów. Jednocześnie zatrzymała się przy jednym z krzesel, oparła się o nie dłonią, po czym zwiesiła głowę. Każdy Bóg był tak samo dobry, o ile miał czuwać nad ludzkością. Szmit nie akceptowała bóstw zazdrosnych i mściwych. Nie akceptowała istnienia demonów ani szatana.

Przymknęła oczy i dotknęła krzesła-pomnika. Zaczęła się cicho modlić. Za Monda, za ofiary mordów i za samego mordercę. Modlitwa pochłonęła ją całkowicie. Tak mocno, że nie spostrzegła cienia kogoś, kto przemknął tuż obok niej.



– Przestań. Nie bądź głupia.

Mond chwycił Darię Nowak za nadgarstek i brutalnie wykręcił jej rękę. Kobieta pisnęła, lecz nie wypuściła brzytwy. Usiłowała ją nadal kierować ku szyi. Wtedy Honoriusz zacisnął dłoń jeszcze mocniej. Któryś

z podrażnionych nerwów sprawił, że kobieta mimowolnie wyprostowała palce. Ostrze wypadło na chodnik.

– Nie możesz! – wrzasnęła.

– Mogę. O ile chcesz się zabić tuż obok mnie, mogę cię przed tym powstrzymać. – Mond mówił cicho, ale zdecydowanie. – Kiedy nie będzie mnie przy tobie, rób, co chcesz. Twoja wola i święte prawo. Ale samobójstwo jest dziecinne i głupie.

– Niczego nie rozumiesz. Po co mam żyć? Czym jest pieprzone życie, jeśli jedynym, co się robi, jest czekanie na to, aż ktoś mnie zabije?

– To wcale nie takie głupie.

Honoriusz westchnął i chwycił Nowak pod ramię. Niemal przeciągnął ją kilka metrów po chodniku. Nagle przystanął i spojrzał jej prosto w oczy. Przez parę dłużeńych się sekund milczał, jakby usiłował wyczytać w spojrzeniu jej myśli.

– Śmierć naznaczyła każde z nas – odezwał się jeszcze ciszej niż wcześniej. – Słyszałaś coś o mnie albo gdzieś znalazłaś te informacje i pomyślałaś, że jestem dla ciebie bratnią duszą. Że wspólnie będziemy mogli pogrążyć się w depresji. Dlatego jedyne, co mogę, to przeprosić cię, że się rozczarowałaś. Nie jestem dla ciebie ani bratem, ani nawet odległym kuzynem. Nic o mnie nie wiesz.

Nowak patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami i szeroko rozwartymi nozdrzami. Wyglądała, jakby miała go za chwilę uderzyć. Mimo to w końcu spuściła wzrok i ponownie załkała.

– Mylisz się – jęknęła. – Wiem, że tkwi w nas śmierć i że towarzyszy ci tak samo jak mnie... To mi wystarczy.

Mond przecząco potrząsnął głową.

– Nie. Ty nie masz żadnego pojęcia o śmierci – wycedził. – Masz pojęcie o strachu przed śmiercią. Nic więcej.

– Ty gnoju!

– Ukrywałaś się, więc chciałaś żyć, prawda? Strach to życie. Ci, którzy chcą umrzeć, nie czują strachu.

Te słowa sprawiły, że Nowak aż odskoczyła od Honoriusza. Zaciśnęła pięści, lecz gniew opadł z niej tak szybko, jak został pobudzony.

Odrzuciła kaptur i otarła twarz dłońmi.

– Jak możesz tak mówić? – zapytała słabym głosem. – Znam twoją historię i... Ja naprawdę nie łapię, jak możesz twierdzić, że cieszysz się z życia, wiedząc tyle o śmierci.

– Wiesz, co znaczy Mond? – Honoriusz się uśmiechnął. – Księżyc. A księżyc ma swoją jasną i ciemną stronę. Uwierz mi, że tak jak człowiek widzi tylko jasną stronę księżyca, tak i ty widzisz ją we mnie. O mroku, który przepelnia moje trzewia, nie masz nawet pojęcia.

Nowak zagryzła wargę i kilkukrotnie zamrugowała. Walczyła z tym, by nie wybuchnąć histerycznym płaczem.

– Chodź. – Mond skinął głową w głąb ulicy. – Odwiozę cię do ośrodka i wezwiemy policjantów, żeby cię pilnowali. A tego, kto ci to zrobił, złapiemy.

– Możesz mi to obiecać?

Honoriusz potrząsnął kluczykami i ruszył przed siebie.

– Nie – odparł bez namysłu. – W żadnym wypadku nie mogę tego obiecać.

– I taka szczerłość mi odpowiada.

Nowak jakby całkowicie zmieniła nastrój. Uśmiechnęła się i ochoczo podążyła za Mondem, który myślami był już całkiem gdzie indziej. Nie zwrócił nawet uwagi na przemianę towarzyszącej mu kobiety. Dostrzegł nieodebrane połączenia od Szmit i postanowił do niej oddzwonić tak szybko, jak tylko będzie znów sam. Był bardzo ciekaw, czy Berg poczynił jakieś postępy w śledztwie. Szczerze w to wątpił.



Po powrocie do hotelu Mond usiadł przy szpinecie. Nie zaczął jednak grać. Zapalił dwie stojące na nim świece i oddzwonił do Szmit. Allegra odebrała niemal od razu.

– Przed chwilą byłam w hotelu i pytałam o ciebie, szukałam cię jak matka zagubione dziecko...

– Właśnie wróciłem. Co się wydarzyło?

– Ty pierwszy.

– Ale...

– Ty pierwszy. Wiem, że zżera cię ciekawość, i będę bezwzględna. Nie zacznę gadać, póki nie uzyskam informacji od ciebie.

Honoriusz, chcąc nie chcąc, zdał jej relację z ostatnich godzin. O wizycie w rodzinnym domu wspomniął tak oględnie, jak się tylko dało, choć Szmit i tak zapewne domyśliła się sedna. Nieco dokładniej opowiedział o spotkaniu z Darią Nowak oraz tym, że odwiózł ją do ośrodka. Tam mieli niebawem zjawić się policjanci. Mond umyślnie nie zadzwonił do Berga, lecz do znajomego prokuratora, aby kobiecie zapewniono bezpieczeństwo. Wolał uniknąć dania komisarzowi okazji do wypytywania go o rozmaite szczegóły. Owca

– Gdzie jesteś? – zapytał na koniec. W słuchawce słyszał szmer wiatru i, jak się okazało, Allegra przebywała w okolicy Wałów Wiślanych.

– A chcesz się spotkać?

– Może. Może bezpośrednia rozmowa pomogłaby mi usystematyzować myśli.

– I tylko o to ci chodzi? – Szmit była wyraźnie rozczarowana. – Jak zwykle we wszystkim mamy swój interes, no nie? Twoja złota zasada zawsze się sprawdza.

– Wybacz.

Mond wstał od szpinetu i przeszedł dokoła pokoju. Założył dłonie za plecy, po czym zerknął za okno na kościół pijarów. Lubił jego zwartą, nieco włoską bryłę. Z niedaleka dobiegał stukot pędzącej po bruku dorożki. Ciche rzenie konia pomagało wyobrazić sobie, jak to miejsce wyglądało ponad sto lat temu. W czasach monarchii austro-węgierskiej, gdy czuwał nad nim poczciwy Franciszek Józef, a czas płynął innym tempem.

Rozważanie przeszłości w takiej chwili mogło jedynie irytować. Honoriusz drgnął i przyłożył mocniej telefon do ucha.

– Egmont nie popełnił samobójstwa – oznajmił nagle. – Mam pewność, choć niektóre przesłanki opieram na domysłach. Ale wiem, że sekcja musi to potwierdzić.

– Mhm.

– To cała twoja reakcja?

– Tego się spodziewałam. Zamiast domysłów mam silne przeczucie. – Szmit cicho się zaśmiała. Czasem przypominała Honoriuszowi beztroską dziewczynkę.

– Abstrahując od obrażeń oraz innych śladów... – Mond zawiesił głos, nieprzekonany, czy powinien mówić dalej, lecz Allegra natychmiast go pośpieszyła. – Gdyby Telefonista chciał pozbawić się życia... – podjął po chwili – zrobiliby to, patrząc w lustro. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Kontakt wzrokowy był dla niego kluczowy.

– Ale przecież w przypadku ostatnich ofiar...

Allegra nie dokończyła.

– Halo, jesteś tam? – Mond wsłuchał się w szmer dobywający się z mikrofonu. – Allegro?

Odpowiedział mu sygnał zakończonego połączenia.

## 80



Mond z niezwykłym namaszczeniem odłożył telefon komórkowy na szpinet. Po chwili zastanowienia jeszcze raz po niego sięgnął i wybrał numer Szmit. Z mikrofonu dobiegł go komunikat o niedostępności abonenta. Allegrze musiał rozładować się telefon. Chyba że...

Odgonił nieprzyjemną myśl rodzącą się w głowie. Nie potrzebował teraz zbędnych domysłów ani analiz. A przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że nie potrafi bez nich żyć. Że to one stanowią sedno jego natury i gdyby nie analityczne myśli, z jego osobowości pozostałoby tylko dumanie o śmierci. Dumanie o śmierci oraz o nicości z nią związanej.

Mortalista. To wszystko, czym był. Nie miał co do tego złudzeń. Życie uczyniło go takim, jakim jest, i jego wpływ na to był jedynie znikomy. Tak jak znikomy był wpływ każdego, nawet najwybitniejszego człowieka na własny los. Ambicje, plany, a nawet myśli samobójcze nie mogły tego zmienić. Zabijając się, tworzyło się jedynie swój los. Wykuwało się go zgodnie z odwiecznym planem. Jednak myśl samobójcza nigdy nie stanowiła przejawu natury ludzkiej, lecz zawsze była zdeterminowana przez okoliczności zewnętrzne. Człowiek z pewnością stworzony był do życia, nie do umierania. To świat i czas przynosiły pierwiastek śmiertelności. Choć przecież życie i umieranie wcale nie stanowiły oddzielnych bytów. Jeżeli w śmierci było tyle samo pierwiastka życia co w odmiennej konfiguracji, stanowiło to pokrzepiającą perspektywę.

Niegdyś Mond czytywał pisma filozofów. Zagłębiał się w koncepcje dotyczące sensu życia i sensowności umierania. Szukał odpowiedzi na pytania, lecz zamiast nich znalazł jedynie kolejne wątpliwości. To była zła droga. Ani najdoskonalszy z możliwych światów Leibnitza, ani teorie etyczne Kanta lub tym bardziej Kartezjusza nie były dla niego wystarczające. Oczekiwał czegoś więcej.

Stworzenie katedry mortalistyki było przełomem. Sprawilo, że odnalazł przynajmniej śladowy sens trwania i działania. Zaczął zgłębiać kolejne dziedziny wiedzy i przekazywać ją młodym adeptom. Zyskał sławę oraz uznanie, choć nigdy ich nie potrzebował. Jego metodami badawczymi zainteresowały się FBI oraz Interpol. Jeździł po całym świecie, aby udzielać konsultacji i dawać wykłady. A potem jego katedra decyzją polityczną została zlikwidowana. Pewni ludzie zrobili wiele, aby świat jak najszybciej o nim zapomniał. Tak jak jego ojciec zapomniał o świecie...

Myśl o ojcu była niczym szpilka wbita pod paznokieć. Oprzytomniła go i przywróciła świadomość miejsca i czasu. Przeglądał palcem wieko szpinetu, myśląc o wszystkich osobach, które na nim grały. Jego umysł potrzebował odpoczynku, by wyrwać się ku bezpiecznym rejonom wyobraźni. Uciekał ku nim od lat, szczególnie wtedy, gdy powracały wspomnienia siostry. Tej strony jego natury nie znał żaden człowiek

i nikt nie mógł jej poznać. To między innymi o świecie fantazji myślał, gdy wspomniał Darii Nowak o swej mrocznej stronie. Nie zamierzał jednak udać się teraz w tamte światy. Nie mógł sobie na to pozwolić ani...

Z zadumy wyrwał go dźwięk wibracji telefonu. Mond aż się skrzywił. Okropny fałsz wżynał się głęboko w jego duszę. Dzwoniła Allegra. A przynajmniej połączenie wykonywano z jej numeru.

## 81



– Chyba musimy się spotkać. Takie są reguły gry.

To nie był głos Szmit. Z głośnika dobiegał ten sam dziwny ton, który Honoriusz usłyszał w kwaciarni. Momentalnie zerwał się od szpinetu i podszedł do okna, jakby spodziewał się zobaczyć rozmówcę na dole, przed hotelem. Odruch, który nakazywał mu poszukiwać wrogiego spojrzenia.

– Kto mówi? – zapytał ostro.

– Sam wiesz. Choć możesz nie chcieć tego powiedzieć na głos.

– Odpowiedz.

– Myślisz, że możesz mi rozkazywać? Że możesz oczekiwać, że to ja zagram do twojej muzyki? Nie wygłupiaj się...

Głos rozmówcy zapewne zmieniała jakaś aplikacja. Kiedyś policyjny informatyk pokazał Mondowi, że skorzystanie z podobnych urządzeń jest dziecinnie proste. Choć dla kogoś takiego jak on wydawało się niesamowitym wyczynem godnym inżynierów NASA.

– Co z Allegrą? – zapytał tonem niezdradzającym najmniejszego zdenerwowania. – Daj mi ją do telefonu.

– Czy nie powiedziałem, że nie możesz mi rozkazywać? Ogłuchłeś?

Rozmówca zaczynał być rozdrażniony. A jego dalszego drażnienia należało zdecydowanie unikać. Mond powoli ruszył do wyjścia i cicho

otworzył drzwi pokoju. Uważając, aby nie było tego słyhać, wyszedł na korytarz. Przekręcił klucz, po czym skierował się ku schodom.

– W porządku, żadnych rozkazów. Tylko prośba. Gdzie jest Allegra?

– Tak lepiej – odpowiedział zmodyfikowany głos. – Tylko prośby.

– To już mamy ustalone. Czy możesz mi odpowiedzieć?

– Powiem ci tylko tyle, żebyś nie silił się na żadne kombinatorstwa. Ona i tak zginie... Właśnie to chciałem powiedzieć ci przez telefon.

Mond powstrzymał się przed podniesieniem głosu albo zbesztaniem rozmówcy. Musiał teraz nad sobą panować jeszcze mocniej niż zwykle. Wypadł z hotelu i niemal biegnąc, skierował się w stronę parkingu. Był już późny wieczór, ale wokół kręciło się mnóstwo turystów. Ciepła, lecz sucha pogoda sprzyjała zabawie.

– Skoro i tak zginie... – Honoriusz podjął temat. – Ta gra nie ma sensu. Od początku mówiłeś o jakichś regułach. Brak reguł wcale nie jest regułą...

– Zginie, ale łagodnie, bez cierpień. To już coś, prawda?

– Przecież...

Nim Mond dokończył, połączenie zostało zakończone. Nie roztrząsając pojawiających się w ekspresowym tempie domysłów, co sił w nogach pędził ku jaguarowi. Gdy wreszcie wpadł na parking, poczuł w dłoni wibrację odebranej wiadomości tekstowej. Natychmiast ją odczytał. Nagle wiele elementów się zazębiło i cała sprawa wydała się jaśniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. A zarazem Mortalista poczuł, że po raz pierwszy od lat przeszył go dreszcz emocji. Prawdziwych, brutalnych emocji, które przypominały, że jest jedynie człowiekiem.



Mond wyciągnął cygaretkę i nabił nią srebrną lufkę. Rzadko to robił, ale zdarzało mu się palić w trakcie jazdy. Aromat montecristo



traktował jako wyjątkowe perfumy. Sprawiały, że się rozluźniał i wracała mu jasność myślenia. Nie potrzebował teraz niczego więcej. Dlatego prowadził lewą ręką, a w prawej trzymał lufkę, z której raz po raz głęboko się zaciągał. Wstrzymywał dym w płucach i wypuszczał go w stronę fotela pasażera. Nigdy nie rozumiał osób, które cygaretki traktowały tak jak cygara i nigdy się nimi nie zaciągały. To nie miało dla niego sensu. Teraz jednak w ogóle się nad tym nie zastanawiał, a wbrew skłonności do delektowania się palił zupełnie mechanicznie. Kiedy tylko to sobie uświadomił, zgasił palcami montecristo i wrzucił lufkę do kryształowej popielniczki schowanej w podłokietniku.

Westchnął i skupił się na prowadzeniu. Jechał szybko, lecz nie brawurowo. Choć auto pewnie trzymało się drogi, nie przekraczał stu czterdziestu kilometrów na godzinę, uważnie obserwując pobocze. Od samego przybycia do celu znacznie ważniejsze było zebranie porozrzucanych fragmentów sprawy. Całościowy obraz sytuacji mógł stanowić atut zdecydowanie większy niż kilka minut zyskanych rajdowym tempem jazdy. Właściwie czas w tej grze nie grał roli. Podobnie jak w życiu, biegł gdzieś obok, nie mając wpływu na warunki rozgrywki. Tę ograniczały tylko jej start oraz koniec.

Minąwszy las, wjechał w teren zabudowany i natychmiast zwolnił do równej setki. Nie robił tego z obawy przed utratą prawa jazdy, lecz z jakiejś ogólnie pojętej moralności. Moralności, która wbrew skłonnościom zmuszała go do trzymania się pewnych ryzów. To był jednak system tak skomplikowany, że sam Mond nie potrafiłby go jednoznacznie opisać.

Po prawej stronie ciągnęły się porozrzucane zabudowania, w których paliły się pojedyncze, blade światła. Po lewej wznosiła się nieprzenikniona ciemność gęstego lasu. Mond znał to miejsce, przejeżdżał przez nie wielokrotnie i poczuł nieprzyjemne ukłucie w klatkę piersiową. Wspomnienia mogły wrócić w każdej chwili. Mogły niespodziewanie wylać się z jego przeszłości i zatopić teraźniejszość. Ten komunał wyjątkowo dobrze obrazował jego stan.

Do rodzinnej posiadłości wiodła wąska droga w prawo. Honoriusz jedynie zerknął na znak, lecz nie skręcił. Wciąż jechał prosto.

– Jeszcze jakieś dwa, trzy kilometry – szepnął do siebie. – Już prawie...

Zacisnął dłonie na kierownicy i starał się skupić na prowadzeniu. Odganiał powracające obrazy z przeszłości, lecz tym razem nie potrafił kontrolować swojego umysłu tak dobrze, jak zwykle. Czuł przez to złość oraz rozczarowanie samym sobą. Aby odegnąć wspomnienia, przywołał wiadomość tekstową, którą otrzymał z numeru Allegrы. Była rymowana i bardzo wymowna.

*Tam, gdzie bałeś się przez lata skryć,  
Tam, gdzie strach oblewał cię,  
Tam, gdzie kończy się żywota nieć,  
właśnie tam – spotkamy się.*

Rymowanki stanowiły zapewne element gry. Być może jedyny jasny i ustalony od samego początku. Ale czy w tej grze w ogóle istniał początek? Czy wydarzył się on kilka dni czy wiele lat temu?

To nie miało teraz znaczenia. Istotnym było, że Mond doskonale wiedział, jakie miejsce ma na myśli szalencie. Nie potrafił jedynie sobie wytłumaczyć, w jaki sposób tak łatwo przychodziło mu z nim pogrywać. Czy to Kanclerz maczał w tym palce? Czy sprawa miała związek z jego przeszłością i Kuzynką? Kolejne pytania bez odpowiedzi pojawiały się jedno za drugim. Zbaczały od obecnych wydarzeń, ale tylko po to, by zatoczyć koło.

– Tak, właśnie tam oblewał mnie strach – powiedział głośno, jakby ktoś siedział obok niego. – I owszem, nigdy tam się nie schowałem, choć później w podobnych miejscach czułem się najlepiej. Skąd o tym wiesz, do licha? Skąd możesz o tym wiedzieć?

Zwolnił i w tym samym momencie dostrzegł znak informujący o skręcie w drogę podporządkowaną. Dokładnie tam, gdzie go

zapamiętał. Mimo upływu lat pewne rzeczy pozostawały niezmiennie. Współczesne drogi wiodły szlakami dawnych dyliżansów, na ich rozstajach stały chylące się ku upadkowi kapliczki, a pod warstwami asfaltu znajdował się stary bruk. Gdzieś tam nawet z czasów Imperium Rzymskiego.

– Ile lat minęło, odkąd byłem tu po raz ostatni? – zapytał samego siebie. – Dwadzieścia pięć? Trzydzieści...

A może nigdy tu nie był, lecz w wyobraźni starał się usprawiedliwić fikcyjnymi wycieczkami? Przez te wszystkie lata... Drogę mógł znać jedynie z opowiadań.

– Nigdy – szepnął. – Być może nigdy...

Zatrzymał auto i zgasił silnik. Był na miejscu.

## 83



Mond bardzo ostrożnie zamknął drzwi samochodu – tak jakby nie chciał nimi trzasnąć. W jego ruchach nadal nie było nerwowości ani zbędnego pośpiechu. Postanowił jednak zostawić w aucie kapelusz i nocny powiew wiatru rozwiął jego włosy. Przez kilka sekund stał ze spuszczoną głową. Nagle wyprostował się, po czym przeniósł wzrok na wysoką bramę mającą przed nim w rozproszonym świetle księżyca. W głębi rozciągało się morze nagrobków zebranych na niewielkim wzniesieniu niczym igły na grzbiecie jeża. Kaplice, pochylone krzyże, ponure kamienne figury...

– To tu. – Honoriusz ruszył w jej stronę. – Tyle lat.

Szedł szybko, nie zważając, że pod stopami chręści mu żwir. Stawiał długie, pewne kroki i po chwili znalazł się na terenie cmentarza. Był już tu kiedyś. Znał rozkład ścieżek oraz nagrobków. Pamiętał kilka drzew, które wycięto, lecz po których jeszcze pozostały spróchniałe pnie. Tak

dokładnej orientacji w terenie nie mógł oprzeć jedynie na cudzych opowieściach.

Po prawej, niedaleko za wejściem do nekropolii, znajdowała się drewniana kapliczka o strzelistym kształcie. Lokalny rzemieślnik wykonał ją przed ponad stu laty, wzorując się na proporcjach wież bazyliki Mariackiej. Wiele mówiono o jego kunszcie, choć jego nazwisko przepadło gdzieś w mroku przeszłości.

Mond nieco zwolnił i podązał przed siebie, co rusz uważnie się rozglądając. Gdzieniegdzie paliły się znicze, których chybotliwe światło rozjaśniało mrok. Cienie falowały i gięły się. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanego szkła, plastiku oraz parafiny. Czasem zalatywał aromat gnijących kwiatów złożonych na świeżym grobie. Wszystkie cmentarze miały niemal ten sam zapach.

Honoriusz założył dłonie za plecy, jakby wybrał się na przyjemny spacer. Z perspektywy lat, choć wspomnienia ożywały, miejsce to nie wydawało się straszne. Pamiętał moment, gdy ścieżką, którą teraz szedł, przenoszono trumnę ze zwłokami jego siostry. Pamiętał ojca, który podązał tuż za nią, trzymając dłoń na czerwonym, lśniącym drewnie. Jakby po raz ostatni zaciskał malutką dłoń córki. Czy właśnie o tym wtedy myślał?

– To tu – rzekł Honoriusz po raz kolejny, po czym podniósł głos i dodał:  
– Jestem.

Rodzinną kryptę Mondów była kwadratem o bokach mierzących mniej więcej cztery metry na pięć, przeszklonych witrażowych okienkach oraz kutyh wrotach przypominających dawne furty zamkowe. Czarna smolista smuga wskazywała, że te są teraz lekko uchylone. Jakby zapraszały go do środka.

– Na czyj pogrzeb? – zapytał samego siebie Mortalista i pchnął ciężkie skrzydło drzwi. To z głuchym jękiem otworzyło się na oścież. Nie było sensu się skradać.

Wtem z wnętrza krypty poniósł się echem dźwięk dzwonka telefonu Allegry. Wesołe tony *Singing in the rain* ponuro kontrastowały z otoczeniem. Wydawały się upiornie nierealne.



– Pan Wiktor Richter? Jest pan tu, prawda? – Mond wszedł do krypty i starał się przeniknąć wzrokiem całkowitą ciemność. Zatrzymał się tuż za progiem, usiłując odgadnąć, skąd dobiega dźwięk dzwonka telefonu Allegry. *Tony Singing in the rain* wciąż rozbrzmiewały gdzieś z głębi budynku. – Nie mylę się, to pan?

– Niech pan wejdzie. Śmiało, Mortalisto.

Głos zapraszający go do środka był zaskakująco łagodny i miły. Należał do kogoś znajdującego się przed nim, po prawej. Mniej więcej stamtąd, gdzie wznosiły się dwa kamienne sarkofagi kryjące szczątki dwunastu członków rodu Mondów. Piątki dorosłych oraz siedmiorga dzieci.

– Pan doktor Richter – poprawił się Honoriusz. – Dokładnie wiem, kim jesteś i dlaczego to robisz. Ale całkowicie nie rozumiem, z jakiego powodu porwałeś Allegrę. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Jest tak samo niewinna jak twoja ukochana i wciągając ją w swoją grę, łamiesz wszelkie reguły.

Nagle w miejscu, gdzie Mond spodziewał się dostrzec mordercę, rozbłysło światło latarki. Jego snop padł prosto na Honoriusza, który musiał przysłonić oczy. Nie cofnął się jednak, lecz stał niemal nieruchomo.

– Boisz się, że wygram tę grę i to zgodnie z twoimi zasadami. Sądzisz, że jeżeli pozbędziesz się mnie oraz Allegry, wszystko się skończy. Mylisz się. Jesteś naiwny albo skrajnie zdesperowany, gdyż jako lekarz dobrze wiesz, że analiza śladów śmierci Egmonta dowiedzie, że nie popełnił on samobójstwa.

– Jako lekarz wiem, że opinia nie będzie mogła być jednoznaczna. Zadbalem o to.

Po tych słowach rozległ się cichy szmer i w świetle latarki pojawił się zarys wysokiej, szczupłej postaci. W jednej ręce trzymała telefon, a w drugiej przedmiot przypominający pistolet. Jednak w mroku Mond nie mógł ocenić tego z całą pewnością.

– Znałeś Egmonta? – zagadnął z autentycznym zainteresowaniem. – To jedna z niewiadomych, których nie mogłem na razie ustalić.

– Owszem. Pracowałem z nim przez kilka lat i zyskałem pewność, że to on jest Telefonistą.

– Cóż... Chyba doskonale rozumiem, dlaczego zrobiłeś to wszystko. Nie pochwalam tego, ale rozumiem. – Mond zawiesił głos i kiwnął głową. – Gdybym był bardziej empatyczny, zapewne mógłbym ci nawet współczuć.

## 85



– Chciałeś się na nim zemścić? – Słowa Monda były ni to pytaniem, ni stwierdzeniem. – Chodziło tylko o to?

Richter parsknął, po czym zbliżył się o kolejny krok w stronę Honoriusza. Oddychał głośno i szybko.

– Zbyt surowo mnie pan ocenia. Gdy jego żona i córka zginęły w wypadku... Byłem jego najbliższym przyjacielem. Chciałem go pocieszyć i robiłem to z pełną serdecznością.

– A w rewanżu on zamordował pańską narzeczoną? Była jedną z jego pierwszych ofiar, prawda? A może nawet pierwszą? – Mond stał całkowicie nieruchomo, obserwując ruchy lekarza. Wszystkie jego domysły zdawały się właśnie potwierdzać. – Egmont nie mógł znieść tego, że kto inny jest szczęśliwy, gdy on jest pogrążony w rozpacz. Nikt nie mógł kochać, skoro jemu odebrano miłość życia. Dlatego odebrał życie pańskiej narzeczonej za pomocą grubego kabla. To stanowiło odrażający refleks rozmowy telefonicznej, w której powiadomiono go o śmierci bliskich?

– Tak.

Krótką odpowiedź została wypowiedziana cicho i drżącym tonem. Richter po chwili odchrząknął.

– Tak – powtórzył głośniejszym głosem. – A potem w śledztwo wmieszała się ta nieudolna prokuratura i pożałujcie Boże grupa śledcza... Banda cholernych partaczy, którzy nie potrafili wyciągnąć oczywistych wniosków. Tym bardziej że ten człowiek bez wątplenia był świrem. Potrafił gadać sam ze sobą... Wiele razy to słyszałem. Widziałem jego napady szaleństwa i zdaje się, że zdawał sobie z tego sprawę. Nie sądzę jednak, by próbował się leczyć.

– Ale to pan skierował śledczych na jego trop? Wysłał pan anonim?

– Mniej więcej. Zadzwoiłem do tego komisarza.

– No tak. Po prostu.

Mond westchnął. Wszystko było jasne. Doskonale pojął mechanizm rozumowania doktora. Odcisk palca Egmonta na obrączce policjanta, wątpliwości z oceną przyczyn jego zgonu, wreszcie dawne tropy i podejrzenia, wszystko to z łatwością mogło doprowadzić do zamknięcia sprawy jak rozwiązanej. Uznano by, że to Egmont był Telefonistą, po latach wznowił działalność, polując na tych, którzy polowali na niego, a gdy ich dopadł, skończył sam ze sobą. Prosta i ładna historia. Tyle że nieprawdziwa.

Honoriusz przesunął się nieco w bok, starając się opuścić najbardziej oświetlone miejsce krypty. Z tej perspektywy światło mniej go raziło i nieco lepiej widział zarys postaci Richtera.

– Aby dodatkowo zmącić obraz, ostrzegłeś Darię Nowak – odezwał się szorstko. – Stałeś się taki sam jak Telefonista, rozumiesz?

– Przestań.

– Dobrze wiesz, że tak jest.

– Przestań!

– Jesteś taki sam jak on. Zniszczyłeś życie niewinnych ludzi. Ludzi, którzy mieli żony, mężów i dzieci. Brzydzę się tobą.

– Wiedziałem, że będziesz usiłował tak mówić. – Richter starał się zaśmiać, lecz z jego ust dobył się jedynie szaleńczy rechot. – Ale to ja

ciebie wykorzystałem, więc nie myśl, że teraz wpędzisz mnie w poczucie winy... Nie, nie...

– Wykorzystałeś? – Mond przesunął się o kolejne kilkanaście centymetrów i dotknął zimnej, kamiennej ściany. – O nie. Sądziłeś, że podążę tropem Telefonisty i doprowadzę policję do Egmonta. Ale poszedłem nieco dalej... Wtedy uznałeś, że musimy się skonfrontować. Po co? Chcesz mnie zabić? Tak będziesz świętował kolejną rocznicę śmierci narzeczonej? To naprawdę świetny sposób.

– Ja...

– Gdzie jest Allegra?

Richter pociągnął nosem i odbezpieczył broń.

– Czekałem prawie piętnaście lat – szepnął. – To kawał czasu...

– Gdzie jest Allegra? – Mond powtórzył pytanie, unosząc głos. – Odpowiadaj!

Jego krzyk poniósł się głuchym echem po krypcie. W tym samym momencie Honoriusz poczuł gorzki odór dymu.

## 86



Mond, nie bacząc na reakcję Richtera, wyciągnął telefon. Włączył latarkę i oświetlił nią posadzkę. Gdzieś spomiędzy kamiennych płyt wydobywał się dym.

– Uwięziłeś ją tam? – Padł na kolana i zaczął ostukiwać płyty wokół siebie. – Gdzie? Wypuść ją! Jest niewinna, rozumiesz? Tak samo jak twoja narzeczona.

– Wszyscy są winni. Dobrze pan o tym wie.

Richter stał kilka kroków dalej. W dłoni trzymał komórkę, na której wybrał jakiś numer. Po chwili spod podłogi ponownie dobieły się wesołe tony *Singing in the rain*. Honoriusz rzucił się w stronę, gdzie były najgłośniejsze. Jeszcze mocniej i szybciej ostukiwał kamienie. Nie miał



wątpliwości, że pod nimi znajduje się pusta przestrzeń. Pamiętał nawet, że gdzieś obok są stare inskrypcje z imionami członków jego rodziny.

– Szlag.

Nagle uświadomił sobie, co musi zrobić, aby dotrzeć do Szmit. Przypomniawszy sobie wydarzenia sprzed wielu lat. Trumna jego siostry nie mogła zostać umieszczona w sarkofagach, gdyż brakowało w nich miejsca. Dlatego na polecenie jego ojca ustawiono ją w nowym, przeszklonym kubiku. Matka Honoriusza głośno protestowała przeciw temu pomysłowi, lecz na niewiele się to zdało. Ojciec był nieprzejednany.

„Robisz z krypty jakieś cholerne mauzoleum, a z naszej córki zabawkową mumię! Wypchałeś ją? Zabalsamowałeś jak te inne swoje trupy?! Gratuluję ci, naprawdę ci gratuluję!”

Mond doskonale pamiętał te awantury. Jego ojciec jako wybitny balsamista mógł mistrzowsko zakonserwować zwłoki, lecz Honoriusz wiedział, że tego nie zrobił. Trumna została zabita i obłożona specjalną zabezpieczającą siatką. Spełniono wszelkie przepisy sanitarne. Nakryto ją atłasem, po czym umieszczono w szklanej skrzyni.

Mortalista odkaszlnął. Dym był coraz gęstszy i gdzieś w szczelinie błysnęły języki ognia. Przewiew pod kryptą musiał być na tyle duży, że tlenu wystarczało na mocne podsycanie płomieni.

– Pomóż mi! – krzyknął Mond.

Omijając wzrokiem trumnę siostry, napał na tafłę szkła, by przesunąć całą gablotę. To pod nią znajdował się zaczep otwierający płytę zakrywającą posadzkę. Pozostałe mieściły się na specjalnym metalowym stelażu, stanowiącym zarazem strop swoistego podpiwniczenia krypty. Konstrukcja pochodziła sprzed ponad wieku i była imponująca.

Kłęby dymu były tak gęste, że światła latarki przedzierały się przez nie z ogromnym trudem. Mond musiał zasłonić nos rękawem, a i tak zaczynało kręcić mu się w głowie. Do tego kamienne płyty robiły się coraz bardziej gorące. Telefon Allegry przestał dzwonić. Pod ziemią musiało być całkowite pogorzelisko.

– Przepraszam. – Richter bez pośpiechu przeszedł tuż obok Honoriusza i skierował się ku wyjściu z krypty. – Przepraszam, ale tak musiało być.

Nie mogłem nic na to poradzić...

W tym momencie Mondowi udało się minimalnie przesunąć gablotę. Wystarczyło to, by odsłonił się metalowy uchwyt płyty. Honoriusz chwycił go przez rękaw koszuli i pociągnął. Płyta ustąpiła, lecz spod ziemi buchnęły płomienie.

## 87



– Boże! Co z nią zrobiłeś?!

Mond osłonił twarz rękawem i zastygł pochylony nad odkrytym włazem. Tuż pod nim rozlewało się morze ognia. Dopływ tlenu sprawił, że pojedyncze płomienie strzeliły wysoko w górę, muskając jego twarz. Poczł swąd spalonych włosów.

– To wszystko – szepnął Richter. – Koniec...

Lekarz nie wyszedł z krypty, lecz stał tuż za nim. Ogień doskonale oświetlał wnętrze, jakby był środek dnia. Witraże odbijały blask płomieni niezwykle grą światła. Tu i ówdzie dym przybierał kolorowe barwy niczym odpalone race.

Nagle Honoriusz przesunął się na samą krawędź otworu i wykonał ruch, jakby chciał wskoczyć do środka. Zastygł nad przepaścią ognia. W tej samej chwili Richter chwycił go za ramię i z impetem odrzucił na bok. Był zaskakująco silny.

– No tak... – Mond chwycił się za bolące ramię. – Mogłem się domyślić.

Powoli się podniósł i spojrzał w pociągłą twarz lekarza o mocnych kościach policzkowych i wydatnym podbródku. Wydawała się teraz pomalowana czerwoną farbą.

– Potrzebowałeś mnie, aby się usprawiedliwić... – wyszeptał Honoriusz. – Nie ściągnąłeś mnie tutaj, żeby mnie zabić, ale aby się upewnić, że dobrze rozumiem, co się stało.

– Tak. – Richter mruknął coś niezrozumiale, kilkakrotnie odkaslnął, po czym odezwał się silniejszym głosem: – Telefon to zawsze złe wieści. Wiem o tym równie dobrze jak Egmont. Kiedyś trwało całymi dniami, nim człowiek dowiedział się, że kilkadziesiąt kilometrów dalej zmarł jego kuzyn... Sprawy międzynarodowe niosły się po świecie przez całe tygodnie. A dziś... Pstryk i już wiesz, że śmierć jest tuż obok. Ale to bardzo złudne...

– Złudne? – Honoriusz nie był pewny, czy nadal nadaża za rozumowaniem Richtera. – To jak zasłanianie oczu przez dziecko, które chce, by znikły upiorne cienie. Złudne jest poczucie, że o ile nie wie się o śmierci, to ona nie istnieje. Albo że odpowiada za nią ktokolwiek inny niż morderca.

– Tak, ale teraz to ja jestem mordercą.

– Wcale nie musisz...

Mond nie dokończył. Dostrzegł, że Richter odwraca się ku wnętrzu w posadzce i stanowczo zaciska pięści. Właśnie podejmował decyzję. Honoriusz błyskawicznie rzucił się ku niemu, lecz już było za późno.

Lekarz wskoczył wprost w czeluść ognia. Rozległ się huk uderzenia o posadzkę niższego piętra, a następnie w powietrzu poniósł się swąd palonego mięsa i tkanin. Tak, to z pewnością był koniec.

## 88



Mond się wyprostował i spojrzał na przeszklony sarkofag, w którym tkwiła trumna jego siostry. Na wieku znajdował się duży wieniec uschniętych róż. Tuż obok leżała zakurzona, rozpadająca się szmaciana lalka. Ojciec nie potrafił się z nią rozstać, tak jak nie potrafił rozstać się z ciałem córki.

Płomienie strzelały już ponad metr nad poziom posadzki i Honoriusz, aby uniknąć ciężkiego poparzenia, musiał się cofnąć. Zaczynały parzyć

go podeszwy butów, a ich skóra zaczynała przywierać do kamiennych płyt. Swąd spalenizny był nie do wytrzymania. Mimo to Mond stał jeszcze przez kilka sekund niby sam szatan pośród piekielnych ogni. Jego twarz rozświetlał przerażający czerwony blask.

Honoriusz wyciągnął dłoń, by chwycić lalkę, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Wierzchem palca dotknął jedynie jej sukienki. Miliony wspomnień ożyły, nakłaniając go, by pozostał w krypcie do końca. Nie musiał nigdzie iść. Wreszcie mógł skończyć z bólem, cierpieniem oraz przeszłością. Śmierć stanowiła immanentny element jego życia, a teraz wreszcie mógł się jej oddać całkowicie.

Nie. Wcale tego nie pragnął. Choć...

Gdy kolejna kusząca myśl rodziła się w jego głowie, kątem oka dostrzegł leżący na ziemi telefon komórkowy. Mechanicznie go podniósł, a następnie obrócił w dłoni. Nim spojrzał na ekran, jedna z belek stropowych kaplicy niebezpiecznie zatrzęszczała. To mogło być ostatnie ostrzeżenie, jakie dawał budynek przed zawaleniem się.

Mond zerknął w górę, po czym, ociągając się, ruszył do wyjścia. Szedł powoli, jakby płomienie w ogóle go nie przerażały. Jakby okropny swąd ani gorąc nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Kiedy tylko znalazł się na dworze, głęboko zaczerpnął powietrza. Odkaszlnął, a następnie skierował się ku wyjściu z cmentarza. Pożar było widać z daleka. Języki ognia smagały zewnętrzne ściany krypty. Wtem jeden z witraży pękł z przerażającym trzaskiem.

– Żegnajcie. – Honoriusz po raz ostatni rzucił wzrokiem w stronę budynku, po czym odwrócił się i przeszedł przez bramę cmentarną.

Tak jak przypuszczał, niedaleko parkingu odnalazł kolejną zatoczkę, a w niej stare czarne kombi. Tylne drzwi od strony pobocza były lekko uchylone. W świetle pobliskiej latarni dostrzegł zarys sylwetki zwiniętej na kanapie.

– Allegra?

Rzucił się ku niej i szarpnął za pas, do którego przywiązane były gumowe kable krępujące kobietę. Nie patyczkował się. Z kieszeni marynarki wydobyl niewielki scyzoryk i pośpiesznie odciął kawałek

materiału. Następnie przeciął jeden z kabli, dzięki czemu węzły się poluzowały. Usłyszał pisk i pojął, że w ustach Szmit tkwi knebel. Pomógł jej go wypluć, po czym wyciągnął ją z auta.

– Wszystko w porządku? Jesteś cała?

Szmit przytaknęła ledwie słyszalnie. Energicznie rozcierała zdrętwiałe kostki oraz łydki. Miała zmierzwione włosy i rozdartą sukienkę. Zdawało się jednak, że nic jej nie jest.

– Co z nim? – zapytała zaniepokojona. – Co z tym człowiekiem?

– Wybrał śmierć – odparł Mond oschle. – Tak sam zdecydował.

– Myślałam, że mnie zabije...

– I ja. A potem powiedział, że to złudne. Choć w takie złudzenia czasem trudno nie uwierzyć.

– Co takiego? Wyjaśnisz mi, co się stało?

Mond nie odpowiedział. W kieszeni poczuł wibrację. Przez ostatnie minuty całkowicie zapomniał o telefonie, który wyniósł z krypty. Wyciągnął go i zerknął na ekran. Połączenie pochodziło z numeru prywatnego. Honoriusz odebrał, po czym, nie śpiesząc się, przyłożył komórkę do ucha.

– Halo?

– Nie wybaczę ci ani twojej kuzynce – odezwał się dźwięczny, metaliczny głos, jakby ktoś mówił zza tafli grubego szkła. – I nie wybaczę lukom w pamięci twojego ojca. Wiedz, że zawsze jestem tuż obok. Naprawdę tuż, tuż.

Dzwoniący zakończył połączenie. W tym samym momencie gdzieś w głębi lasu przed Mondem rozległo się złowrózbnne pohukiwanie sowy. Po chwili ciężki ptak przeleciał między gęstymi gałęziami.

– Co się stało? – dopytała Szmit. – Co z tobą?

– To Kanclerz. Powiedział, że...

– Co ty pleciesz? – Allegra podniosła się i zerknęła w stronę łuny pożaru widocznej nad częścią cmentarza. Po chwili ponownie zwróciła się do Monda: – Jaki Kanclerz? Przez kilkanaście sekund stałeś bez ruchu, jakbyś zamienił się w indiański totem. Nie słyszałeś, co do ciebie mówię?

– Przecież... Rozmawiałem z nim.

Honoriusz zerknął na trzymany w dłoni telefon. Jego ekran był całkowicie zaciemniony. Z odrazą wypuścił go na ziemię i zadumany spojrzał gdzieś w dal. W tę stronę, skąd ponownie dobiegło pohukiwanie sowy.

**—=FADE TO BLACK=—**

## POSŁOWIE

Znacie Państwo mój sentyment do bohaterów cykli. Wiecie też, że powieściowe postacie zawsze żyją swoim życiem, choć wielokrotnie utrudnia mi to prowadzenie fabuły lub całkowicie uniemożliwia jej kontynuowanie.

W jednej z ostatnich książek mało brakowało, by główny bohater zginął mniej więcej po pierwszych czterdziestu stronach. Ciężka sprawa – pomyślicie. Ano, ciężka. Ale w tym przypadku wszystko wydawało się iść całkiem dobrze, dopóki Zło nie obrało sobie za cel Allegry. Wówczas wszystko posypało się nawet nie jak domek z kart, lecz jak konfetti rozrzucone z helikoptera w trakcie uroczystości otwarcia nowej drogi gminnej. Cóż...

Byłem niemal pewny, że „Fade to black” pojawi się, by uciąć scenę, w której ucięte zostaje również życie Szmit. Jakże się zaskoczyłem, gdy okazało się, że wtedy jeszcze historia nie znalazła końca. Że może nadejść pewna wolta i wszystko zmieni perspektywę. Poczułem ulgę.

Jednak ostatnie zdanie ponownie wiele wywróciło. Nie planowałem go. Tak jak długo myślę nad pierwszym zdaniem każdej powieści, tak ostatnie zazwyczaj powstają całkowicie poza moją świadomością. Stanowią rezultat całej fabuły, która – jak wierzę – od dawna tkwiła gdzieś we mnie. Czy to zdanie lub akapit są symboliczne? Czy stanowią kolejny zwrot w sposobie postrzegania bohaterów? Nie wiem.

Wiem na pewno, że sam pragnę poznać dalsze losy tego duetu. Nie mogę tego zostawić bez wyjaśnienia, ale nie mam pojęcia, co przyniesie kolejna strona. Być może to Mond lub Szmit będą tymi bohaterami, których będziemy musieli pożegnać już na początku kolejnej powieści. W końcu pierwsze razy zawsze muszą się zdarzyć. Chyba że dopisze im szczęście. Ich los jest przecież zapisany w mojej i Państwa wyobraźni.

Bez niej żaden z tych bohaterów nie istnieje. Tak jak autorzy nie istnieją bez czytelników. Za to wspólne trwanie wśród sztormów emocji jak zawsze serdecznie Państwu dziękuję.

Do następnego – jak najrychlej. W końcu po każdej z książek (zarówno po napisaniu, jak i po przeczytaniu) jesteśmy inni. Czy lepsi? Nie wiem. Ale inni. A to pokazuje moc literatury, wrażeń oraz procesu czytelniczego. Czy nie będziecie Państwo wyglądać w trakcie spacerów po lesie palców umarlaka znanych naukowcom jako *Xylaria polymorpha*? Ja będę. Mond stworzył mnie na swoją miarę i po kolejnych spotkaniach autorskich wiem, że nie mnie jednego. Jest nas wielu. A może jesteśmy jedynie wieloraką osobowością książkowego bohatera?

Ukłony  
Max Czornyj



## SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytat

### DZIEŃ PIERWSZY

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

## DZIEŃ DRUGI

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

## DZIEŃ TRZECI

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

POSŁOWIE

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2023  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Pola i Daniel Rusiłowiczowie  
Zdjęcie na okładce: © artbalitskiy / Adobe Stock

Redakcja: Marta Akuszevska  
Korekta: Agnieszka Luberadzska, Jarosław Lipski  
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-051-8

**FILIA**

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.